

OLGIERD ŁUKASZEWICZ
PiS BEŁTA
W GŁOWACH WYBORCOM

**ILE TRACI POLSKA
PRZEZ RAJE PODATKOWE**

DR HAB. EWA STACHOWSKA
W CO WIERZY
ŚRODOWISKO AKADEMICKIE

**GŁUCHOŁAZY – PIONIERSKI
OŚRODEK LECZENIA PO COVIDZIE**

UKRAINA JEDNO PAŃSTWO DWA NARODY



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115



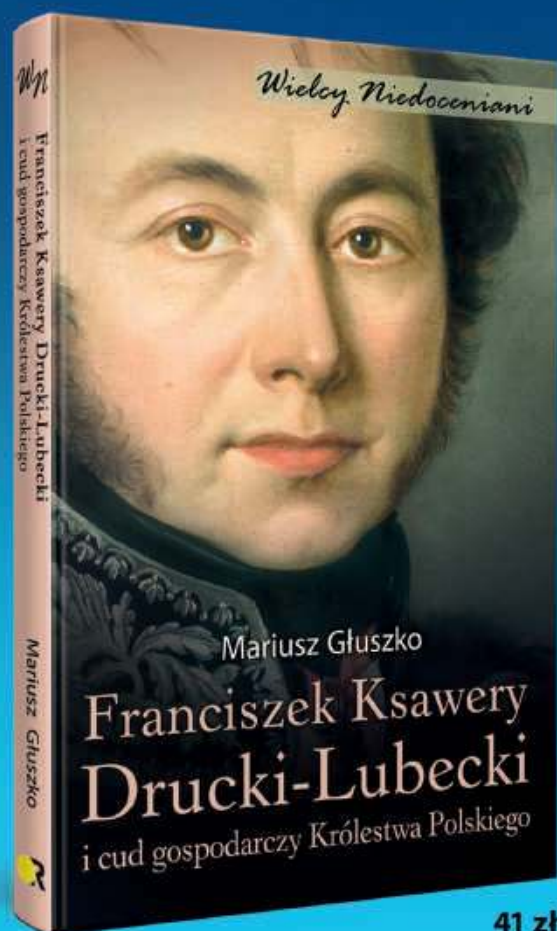
9 771509 311201

06 >

**KSIĄŻKI W KONTRZE DO IPN
I MINISTRA CZARNKA**

**Biblioteka
PRZEGLĄDU**

Kupuj, czytaj, poleć znajomym!



41 zł



51 zł

**WYBITNI UCZENI
I WAŻNE KSIĄŻKI**

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,

Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł

lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Geopolityka puka nadaremnie

W polityce nie za wiele jest punktów stałych. Stała jest tylko rywalizacja. W państwach, w których wykształciły się dojrzałe instytucje, politycy mają dobre narzędzia do skutecznego działania. A cel jest zawsze ten sam. Jak najlepiej zabezpieczyć interesy swojego państwa. Te interesy, które są długoterminowe i trwałe. Zmieniają się tylko środki wykorzystywane przez polityków, których oceniamy po efektach. Jeżeli wygrywają, to nie patrzymy na metody. Żeby daleko nie szukać, wystarczy przypomnieć, że większość Polaków przymyka oko na barbarzyńskie traktowanie uchodźców na wschodniej granicy, bo nie chce ich mieć w Polsce.

Rozpad ZSRR Zachód i Polska uznały za rozstrzygnięcie geopolitycznie trwałe. A podchodzenie z bazami wojskowymi aż do granic Rosji za oczywisty element tej polityki. Miałoby to może jakiś sens, gdyby Rosja była państwem upadłym. Ale jest akurat odwrotnie. Mając niezbyt mocne karty, znowu wyrosła na ważnego globalnego gracza. I co z tym teraz mogą zrobić Amerykanie, Chińczycy czy Niemcy? Każde z tych państw ma własne interesy i prowadzi w stosunku do Rosji taką politykę, która jest dla niego najkorzystniejsza. Różnice widać gołym okiem.

Na tym tle najbardziej bojowi są reprezentanci polskiej prawicy. Zamiast chłodnej, pogłębionej analizy i zdefiniowania naszych interesów mamy epitety na poziomie

piaskownicy. Co dobrego można powiedzieć o ludziach, którzy, patrząc na mapę świata, nie widzą, że Polska leży między Niemcami a Rosją i nic tego nie zmieni? Można uznać, że jest to położenie koszmarnie i żyć tu się nie da. A nam zostaje tylko wojowanie z sąsiadami. Dla prawicy takie półmyślenie to raj. Niczego tak nie kocha jak przegranych powstań. Setki tysięcy ofiar są później dla tych głupków mitami założycielskimi. I szansą na ogłupianie kolejnej generacji Polaków.

Niestety, w Polsce z wielkim trudem przebija się myślenie pragmatyczne. Że można i trzeba tak sobie ułożyć relacje z Rosją i Niemcami, by Polacy mogli z tego położenia czerpać wymierne korzyści. W sprawie Ukrainy nie śpiewamy w głupawym chórze prawicy i powiązanych z nią mediów. Zachęcam do przeczytania naszych analiz. Wielu Polaków ma bezpośredni kontakt z Ukraińcami, którzy masowo migrują za pracą. Przyjeżdżają, bo muszą. Mają nowych prezydentów i premierów, ale biedę starą. I coraz bogatszych oligarchów. Korupcja nie maleje. Naród okradany jest dodatkowo przez zagraniczny desant, który trafił na Ukrainę pod hasłem budowy demokracji i pomocy. Na liście hańby są Amerykanie i są Polacy, *vide* Sławomir Nowak. A poziom polskiej dyplomacji najlepiej opisać słowami wiceministra Marcina Przydacza: „Nikt nam nie może zarzucić źle prowadzonej polityki wschodniej”.

BAKOWSKI



KUP

po specjalnej cenie
99,90 zł

**E-PRENUMERATĘ
ROCZNĄ PRZEGLĄDU
i odbierz
DARMOWY E-BOOK**

sklep.tygodnikprzeglad.pl

E-PRENUMERATA

W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8** Jedno państwo, dwa narody
W konfrontacji z Rosją
Ukraina jest i będzie sama
- 12** Wojna nerwów
Dlaczego Rosjanie nie zaatakują Ukrainy
- 36** Antonowicz przez w
Litwa legalizuje polskie nazwiska
- 38** Pół wieku szkolnego fenomenu
Fiński system edukacyjny
- 40** Nazwy własne
Kolonializm na mapach świata

KRAJ

- 14** Oblaci w lesie
Świętokrzyska enklawa Kościoła
- 16** Kto się boi opodatkowania
wielkich korporacji
System podatkowy postawiony na głowie
- 20** PiS beta w głowach swoim wyborcom
– rozmowa z Olgierdem Łukaszewiczem
- 24** Czcciele zbrodniarzy
Poglądy pracowników IPN
- 26** Prawo znowu zabija kobiety
Historia Agnieszki
- 28** Między wiarą i niewiarą
społeczności akademickiej
– rozmowa z dr hab. Ewą Stachowską
- 30** Skrzywdzeni przez system
Odsiadka za cudze winy

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 34** Trudno o optymizm,
ale nie tracimy nadziei!
Czas na odważne decyzje

HISTORIA

- 44** Gry na szczytach władzy
Zamachy polityczne w PRL
- 46** Szwadrony śmierci
Fala niemieckiego terroru
na Górnym Śląsku

ZDROWIE

- 48** Cieszymy się, gdy pacjenci
wracają do normalnego życia
Pocovidowa rehabilitacja w Głucholazach
- 51** Ta choroba pozostawia ślady
– rozmowa
z prof. Janem Szczepielniakiem

KULTURA

- 54** Dość powieści z happy endem
– rozmowa z Łukaszem Barysem
- 57** Kulturalia
- 66** Monika Szwed. Prace z lat 2005-2021

ZWIERZĘTA

- 58** Kastrujemy bezdomność
– rozmowa z Beatą Krupianik

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Geopolityka puka nadaremnie
- 23** Jan Widacki
Sejmowa komisja śledcza
- 35** Roman Kurkiewicz
Odwracanie Pegasusa piosenką
- 43** Andrzej Romanowski
Przeżyjemy to jeszcze raz
- 53** Tomasz Jastrun
Atomowe problemy



38
ZAGRANICA

PÓŁ WIEKU SZKOLNEGO FENOMENU

Fiński system edukacyjny

54
KULTURA

DOŚĆ POWIEŚCI Z HAPPY ENDEM

– rozmowa
z Łukaszem Barysem



58
ZWIERZĘTA

KASTRUJEMY BEZDOMNOŚĆ

– rozmowa z Beatą Krupianik

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. STRINGER/SPUTNIK RUSSIA/EAST NEWS, AFP/EASTNEWS





Rozum poszedł w siną dal

Zgadzam się z opinią Olgi Lipińskiej. Własnymi rękami rozwaliliśmy niejedno. Jan Dworak (Unia Wolności, PO, niby „nasz”) zafascynowany samofinansowaniem się kultury i sztuki zepsuł telewizję. „Wiedział tylko, że w telewizji można dobrze zarobić”, mówi pani

Lipińska i ma rację. Zaniedbania i lekceważenie kultury doprowadziły nas tu, gdzie jesteśmy – na margines Europy.

Lidka Ukleja

Zgoda co do naszego nabzdyczenia i bogoojczyźnianego ządęcia. To wszystko podlane jeszcze sosem katolickiego obskurantyzmu daje piorunującą mieszankę. Z drugiej strony może to jest ogólna cecha zbiorowości ludzkich? Który naród nie wykazuje się małostkowością i głupotą czy wręcz psychopatycznym brakiem skrupułów? *Vide* nasz zachodni sąsiad, naród oświecony, liberalny, progresywny, lokomotywa Europy. A tymczasem (już pomijając historię) Ukrainę bez ceregieli oddaje w łapy dyktatora. Nie wiem, co gorsze...

Krzystian Makowski



Jedna lista, jeden wódz

Platformie marzy się powrót do przeszłości. Tym, którzy na własnej skórze odczuli „troskę” Tuska o ciężko pracujących ludzi, już nie. Polska to nie tylko PO-PiS. Każda opcja ma swoich

wyborców, którym nie po drodze z Tuskiem. Wspólna lista, którą będą reprezentować stare twarze PO, doprowadzi do tego, że część wyborców, dla których ten pomysł jest nie do przyjęcia, pozostanie w domu. A chyba nie o to chodzi.

Ewa Cha

Głosujemy na listy partyjne, zamiast wybierać swoich przedstawicieli. I mamy to, co mamy – cyrk. ONI – obojętnie jakiej proveniencji – zawsze będą ONYMI. Zawsze będą pięknie obiecywać i kłaniać się przed wyborami. A po wyborach będą kłaniać się komu innemu. Ja nie głosuję na listy partyjne.

Józef Brzozowski

Fundusz na rzecz Upamiętnienia Karola Modzelewskiego

Pod koniec kwietnia miną trzy lata od śmierci mojego Męża, Karola Modzelewskiego. Moim pragnieniem jest uczcić Jego pamięć pomnikiem nagrobnym, który nie byłby jedynie płaską płytą z wypisanymi na niej zasługami Zmarłego, ale równocześnie pozwoliłby uniknąć monumentalizmu. Zleciłam wykonanie rzeźby nagrobnej Krzysztofowi Bednarskiemu, rzeźbiarzowi, który już zasłynął z kilku prac znajdujących się na różnych cmentarzach w Polsce. Ponieważ przedsięwzięcie to znacznie przekracza moje zasoby finansowe, ośmielam się zwrócić do Was z prośbą o wsparcie tego przedsięwzięcia darowizną do Funduszu na rzecz Upamiętnienia Karola Modzelewskiego.

Fundusz został utworzony w ramach Fundacji dla Polski (KRS 0000039342), która zgodnie ze swoim statutem działa m.in. na rzecz rozwoju społeczeństwa obywatelskiego i rozwoju demokracji. Fundacja prowadzi na potrzeby Funduszu osobny rachunek bankowy w **mBanku**, o nr.: **06 1140 1010 0000 5294 4600 1024**. Wszelkie wpłaty dokonane pod hasłem: Darowizna na cele statutowe – Fundusz K. Modzelewskiego można odliczyć od podatku (jako osoba fizyczna do 6% od dochodu, jako osoba prawna – do 10%). Za wszelkie wpłaty z góry serdecznie dziękuję.

Małgorzata Goetz

ZDJĘCIE TYGODNIA



30 lat minęło jak jeden dzień. Rok 1992, przygotowania do I Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Architekt Robert Konieczny wygrał konkurs portalu architektonicznego Archello na najpiękniejsze budynki świata.

Monika Strzępka, reżyserka o lewicowych poglądach, została nową dyrektorką Teatru Dramatycznego w Warszawie. Zapowiada stworzenie „wzorcowej, feministycznej, nieprzemocowej instytucji kultury”.

Najpopularniejszymi markami samochodów, które kupowali Polacy w 2021 r., były Toyota (cztery pierwsze miejsca, ponad 74,5 tys. egzemplarzy, wzrost o 21,5%), **Kia** (32,3 tys., wzrost o 34%), **Hyundai** (26,8 tys., wzrost o 45%), **Škoda** (spadek o 20%) i **Volkswagen** (spadek o 7,5%).

W rankingu techników „Perspektywy 2022” wygrało Technikum Nowoczesnych Technologii z Kleszczowa, przed Technikum Mechatronicznym z Warszawy, Technikum Łączności z Krakowa, Technikum Elektronicznym z Bydgoszczy i Technikum Elektronicznym z Lublina.

14 045 ciągników rolniczych sprzedano w 2021 r. To wzrost o 41%. Niestety, nie ma wśród nich Ursusa ani jakichkolwiek polskich traktorów. Fabrykę Ursusa, która w latach 1967-1987 wyprodukowała 332 tys. ciągników, zniszczyli działacze Solidarności.

23% Polaków jeździ rowerem również zimą (badania na zlecenie Rometu).



Według wstępnych wyników Narodowego Spisu Powszechnego 31 marca 2021 r. mieszkało w Polsce 38 179 800 osób (51,5% to kobiety, 48,5% mężczyźni). W ciągu 10 lat ubyło nas ponad 330 tys.

2125 przedsiębiorstw ogłosiło w 2021 r. niewypłacalność. Najwięcej w rolnictwie (414), handlu (399) i produkcji (385). Takiej skali bankructw nie było od lat 90.

Artur Soboń został ósmym wiceministrem finansów. Od 2018 r. jest to już piąte ministerstwo, w którym zarabia na życie jako wiceminister. Położył Mieszkanie+ i program transformacji górnictwa węglowego, to i Polskiemu Ładowi też da rade.

Sąd Okręgowy w Warszawie w składzie Wanda Janowska-Bebeszo – przewodnicząca, oraz Urszula Myśliwska i Piotr Bojarczuk prawomocnie uniewinnił Roberta N., ps. Frog, pirata, który łamiąc wszelkie przepisy, jeździł po Warszawie i po kraju. Ścigany listami gończymi Frog został złapany. Nie odbył jeszcze wcześniejszej kary dwóch i pół roku więzienia.

Bp Jacek Kiciński skutecznie wpłynął na producenta chemii gospodarczej, niemiecki koncern Henkel. Pralnia Społecznie Odpowiedzialna dla bezdomnych we Wrocławiu, którą wyposażył Henkel, została uroczystie poświęcona. Bezdomnych nikt nie pytał, czy tego chcą.

PRZEBŁYSKI



Szastanie kasa

Jedzie pociąg, jedzie, a w nim wagony z kassą. Jeden ma trafić do klubów piłkarskiej Ekstraklasy i I ligi. W ciągu pięciu lat będzie to 750 mln zł (!). Pierwszy „sukces” Cezarego Kuleszy, prezesa PZPN. I potwierdzenie, że bliżutko mu do PiS, skoro piłkę dopisano Morawieckiemu polska liga kojarzy się z jakimś wielkim stadionem. Dodatkowa ekstrakasa do wydania egzotycznych piłkarzy, na prowizję dla agentów i na płace wzięte z kosmosu. Tak się bawi.



Żerowanie na rolnikach

Na początek pytanko. Czym może się zajmować „Spi-
chlerz”, magazyn spółki Elewarr? Jeśli ktoś myśli, że
rolnikami, którym państwo płaci grosze za zboża, to
jest w tzw. mylnym błędzie. Nie ma kasy za plony, ale
jest na wypasione pisemko na kredowym papierze.
Rozsyłane na wieś jako przesyłka marketingowa. Rol-
nicy toną w kredytach i kupują po zbrojeckich cenach
 nawozy, a Daniel Korona i Monika Parafianowicz,
prezesi Elewarru, wciskają im, i to za ich kasę, pro-
A w nim całostronicowe portrety pisowskich bonzów:
wiceministra z ORDO IURIS Marcina Romanowskiego,
wa Anny Gembickiej i szefa IPN. Rolnicze tematy to:
ka i IPN. Tak się bawi Robert Wyrostkiewicz, redaktor
a” i autor rozmówek. Jakoś nie do śmiechu jest tym,
likt głupoty.

Dziedziczna posada

Pytają nas młodzi, jak szybko zostać ministrem. Tak jak ludzie w ich wieku, dla których pierwszą pracą w życiu jest posada wiceministra. Albo ważnego dyrektora. Są pytania – jest odpowiedź. Przede wszystkim musicie mieć tatę (lub mamę) już na ważnej posadzie. Tak jak minister Łukasz Schreiber, sekretarz stanu w Kancelarii Premiera. Tatuś Łukasza, czyli Grzegorz Schreiber, był posłem ZChN w latach 1991-1993, a później posłem PiS, który za wierność partii dostał posadę ministra ds. parlamentarnych w Kancelarii Premiera. A gdy odszedł, bo go wybrali na marszałka województwa łódzkiego, przekazał ministerialną fuchę... synowi Łukaszowi. I teraz on jest ministrem, łącznikiem premiera z Sejmem. Dyskretna kariery Schreiberów mocno zakłóciła żona premiera Marianna. Niespełniona modelka. Celebrytka, która zamęcza świat swoimi półgółymi fotkami.



Amnezja Bobera



Są wspomnienia, które mają walor dokumentu minionych czasów. I są wspomnienia Andrzeja Bobera. Dziennikarza, o którym kiedyś było głośno. A jego dzisiejsze wspominki? Literatura z półki: bajki i farmazony. Jakże z nią kontrastuje „Telewizyjny poker”, książka Jana Purzyckiego, prezesa TVP za Wałęsę, a w ogóle scenarzysty „Wielkiego Szu” i „Piłkarskiego pokera”. Purzycki w 1993 r. napisał, że „Bober należy do grupy sfrustrowanych, których ambicje niczym balony wędrują hen, hen nad chmurami. Jakiś czas był nawet dyrektorem generalnym Telewizji Polskiej, ale jego inteligencja i, powiedzmy wprost, szczególnie rodzaj cwaniactwa są po prostu nierozwojowe (...). Wobec jego aluzji do 13 grudnia potwierdzam, że Bober pobierał pensję w telewizji do 30 czerwca 1983 r. Nie został negatywnie zweryfikowany ani w pierwszym, ani w drugim rzucie. Nie był też nigdy internowany”.



PYTANIE TYGODNIA | Jakimi wynalazkami z ostatnich kilku lat Polacy mogą się pochwalić?

PROF. MICHAŁ KLEIBER,
mechanik i informatyk, były minister nauki i były prezes PAN

Na pierwszym miejscu wymieniałbym Olgę Malinkiewicz i jej perowskitowe ogniwa fotowoltaiczne, pozwalające generować energię zarówno ze słońca, jak i ze światła sztucznego. We Wrocławiu powstała nowa linia produkcyjna tych ogniw, więc możemy już mówić o innowacji, a nie jedynie o pomysle. Istotnymi wynalazkami są opracowywane w szpitalu MSWiA w Warszawie testy identyfikujące pacjentów narażonych na ciężki przebieg COVID-19 oraz dzieło naukowców z Politechniki Gdańskiej i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, którzy opracowali aparat umożliwiający bezpieczne monitorowanie oddechu u osób dotkniętych problemami oddechowo-kръżeniowymi. Ważny w dzisiejszych czasach jest także wynalazek badaczek z Politechniki Łódzkiej: biodegradowalne opakowanie wytwarzane z odpadów roślinnych. Nie zanieczyszcza ono środowiska, a dodatkowo pozwala oszczędzać surowce wykorzystywane w przemyśle spożywczym.

DR MONIKA A. KOPERSKA,
chemiczka, popularyzatorka nauki

Odejdę od wychwalania wynalazków dlatego, że potencjalnie przydadzą się światu, bo wiele takich pomysłów trafia do szuflady. Wybrałam wynalazki polskich firm, które już znalazły inwestorów komercyjnych albo trafiły na giełdę. Pierwszym jest maszyna umożliwiająca selektywne oznaczanie przełamanych miejsc w nici DNA, opracowana przez Magdalенę Kordon-Kiszalę z intoDNA. Jej metoda jest ok. 100 razy bardziej czuła od wcześniej używanych, co więcej, jest metodą bezpośrednią: patrząc przez mikroskop, możemy zobaczyć poprzerywane DNA w jądrze komórkowym. Wspomniana technologia jest wykorzystywana przez koncerny farmaceutyczne do sprawdzania, jak leki antynowotworowe działają na komórki rakowe, a jak na zdrowe. Drugi wynalazek to osiągnięcie firmy Sygnis New Technologies, zajmującej się drukiem 3D i biodrukiem. Stworzyła ona pierwsze na świecie urządzenie do niskotemperaturowego druku w szkło, które może znaleźć zastosowanie w fotowoltaice i elektronice.

DR PAWEŁ BARCZYŃSKI,
fizyk, Centrum Nauki i Techniki EC1

Polacy mogą się pochwalić wieloma wynikami prac naukowych. Przykładem z ostatnich lat jest opracowanie i wdrażanie nowatorskich ogniw fotowoltaicznych. Ich budowa opiera się nie na kryształach krzemu (jak w tradycyjnych panelach), ale na innych krystalicznych minerałach – perowskitach. Odkrył je Lew Perowski prawie 200 lat temu, ale dopiero zespół polskiej fizyki Olgi Malinkiewicz wytworzył pierwsze na świecie ogniwa tego typu. Czym różnią się one od instalowanych dzisiaj? Mogą być setki razy cieńsze niż krzemowe odpowiedniki, co czyni je niezwykle lekkimi. Krystaliczne warstwy można nanosić za pomocą specjalnej techniki druku na różne materiały: szyby, fasady domów, dachy, karoserie aut. A wydajnością już teraz dorównują najlepszym panelom krzemowym. Pozostaje życzyć twórcom sukcesów w dalszych badaniach i aplikacjach, zarówno na Ziemi, jak i w technologii kosmicznej czy w podboju Marsa. Ciekawe, czy tam też uda się nam znaleźć perowskity.

Not. Michał Sobczyk

JEDNO PAŃSTWO, DWA NARODY

W konfrontacji z Rosją Ukraina jest i będzie sama

Marek Czarkowski

Naprawdę będziemy toczyć wojnę o jakiś skorumpowany wschodnioeuropejski kraj, który jest dla nas strategicznie nieistotny? Sondaże pokazują, że większość Amerykanów jest całkowicie przeciwna wojnie z Rosją o Ukrainę, bo nie są obłąkani. Ale wiecie, kto bardzo to popiera? Kontrahenci z branży obronnej, w tym byli pracodawca szefa Pentagonu Lloyda Austina, Raytheon. W ciągu zaledwie kilku ostatnich lat USA wydały ponad 2 mld dol. na pomoc wojskową dla Ukrainy, której większość ludzi nie potrafi zidentyfikować

Stany Zjednoczone nie mogą nic nie zrobić, jeśli Rosja napadnie na Ukrainę, ale byłibyśmy szaleni, gdybyśmy przyłączyli się do wojny po stronie Ukrainy („NYT”).

na mapie... Nie, to nie fragment anglojęzycznego programu rosyjskiego kanału telewizyjnego RT (dawniej Russia Today) ani „Wiadomości” prowadzonych przez Dmitrija Kisielowa, nazywanego „Ustnikiem Putina”, ale opinia Tuckera Carlsona, guru trumpistów i czołowego komentatora FOX News, najpopularniejszej dziś informacyjnej stacji telewizyjnej w Stanach Zjednoczonych, wygłoszona 21 stycznia br. I bynajmniej nie jest on odosobniony w poglądach.

Na stronie internetowej dwumiesięcznika „Foreign Policy” Samuel Charap i Scott Boston, pracownicy think tanku RAND Corporation, współpracującego z armią i administracją amerykańską, opublikowali artykuł „Zachodnie uzbrojenie nie zmienia sytuacji na Ukrainie”, w którym piszą, że warta

2,5 mld dol. pomoc wojskowa, którą od 2014 r. Stany Zjednoczone przekazały Ukrainie, miała na celu zwiększenie skuteczności armii ukraińskiej w relatywnie statycznym konflikcie ze wspieranymi przez Rosję separatystami w Donbasie, uzbrojonymi głównie w broń strzelecką i artylerię oraz broń pancerną pamiętającą czasy ZSRR. Nawet według szacunków Kijowa większość z nich to miejscowi, a nie żołnierze regularnej armii rosyjskiej, która dotychczas zaangażowała się bezpośrednio w walki tylko dwa razy – w sierpniu i we wrześniu 2014 r., a także w styczniu i lutym 2015 r. – i to z ograniczonym potencjałem. Oba starcia zakończyły się

miażdżącymi porażkami Ukrainy. Jeśli zatem dojdzie teraz do wojny, jej wynik jest łatwy do przewidzenia.

22 stycznia br. na łamach „New York Timesa” ukazał się komentarz zatytułowany „Jak wycofać się z Ukrainy”, którego autor, Ross Douthat, przekonuje, że „w geopolityce dobre intencje są zawsze na dalszym planie w stosunku do realiów władzy. Niezależnie od tego, czego pragnie rząd Ukrainy – czy też my – po prostu nigdy nie był on w stanie w pełni przyłączyć się do Zachodu – jest zbyt słaby ekonomicznie, zbyt wewnętrznie podzielony i po prostu znajduje się w niewłaściwym miejscu. (...) Stany Zjednoczone nie mogą nic nie zrobić, jeśli Rosja napadnie na Ukrainę, ale byłibyśmy szaleni, gdybyśmy przyłączyli się do wojny po stronie Ukrainy”. Jaki płynie z tego wniosek? Ross

Douthat wyjaśnia: „Wciąż zbyt dużą wagę przywiązujemy do koncepcji, że tylko NATO może decydować o tym, kto jest w NATO, że samo wykluczenie członkostwa Ukrainy jest w jakiś sposób niemożliwym ustępstwem. To przekonanie jest anachronizmem, artefaktem okresu postzimnowojennego, kiedy na krótko wydawało się możliwe, że – jak to ujął historyk Adam Tooze – kluczowe granice świata będą wyznaczone przez zachodnie potęgi, Stany Zjednoczone i Unię Europejską, na ich własnych warunkach i zgodnie z ich własnymi siłami i preferencjami”.

W niemieckich, brytyjskich i francuskich mediach znajdziemy więcej podobnych opinii. Najgłośniejsza to wypowiedź byłego już dowódcy niemieckiej marynarki wojennej, wiceadmirala Kaya-Achima Schönbacha, który stwierdził, że Półwysep Krymski zajęty przez Rosję w 2014 r. został utracony przez Ukrainę. „Już przepadł, nigdy nie wróci, to jest fakt” – za to stwierdzenie Schönbach zapłacił stanowiskiem, bo oficjalnie Berlin nie uznaje aneksji Krymu.

Rzecz jasna, cytowane poglądy nie dominują w debacie na temat zagrożenia Ukrainy, ale też nie można ich uznać za margines. Jedno jest pewne: Zachód nie zaryzykuje wojny nuklearnej o Donbas. A to oznacza, że w konfrontacji z Moskwą Kijów jest i będzie sam.

Kraj podzielony na pół

Kłopot Ukrainy polega na tym, że w jednym państwie żyją dwa narody. W połowie grudnia 2021 r. Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii opublikował wyniki badań, wskazujące, że 55% Ukraińców jest gotowych stawić opór w wypadku rosyjskiej



Obchody Dnia Obrońcy Ukrainy i rocznicy utworzenia Ukraińskiej Powstańczej Armii, Kijów, 14 października 2021 r.

agresji. Z czego 33% z bronią w rękę, a 22% uczestnicząc w akcjach obywatelskiego sprzeciwu. Reszta albo nie zrobiłaby nic, albo uciekła w bezpieczniejsze rejony kraju lub wyjechała za granicę. To zaskakująco kiepski rezultat, zważywszy że od 2014 r. rządzący Ukrainą politycy włożyli wiele wysiłku w przekonywanie obywateli, że Rosja to odwieczny wróg i agresor. Tymczasem większość Ukraińców nadal mówi po rosyjsku, ogląda rosyjskie stacje telewizyjne, a spora część nie uważa Rosjan za wrogów.

Mieszkańcy wschodniej Ukrainy różnią się od współobywateli z zachodu kraju. Lepiej znają język rosyjski niż ukraiński, czują się częścią historii i kultury rosyjskiej, mają swoich bohaterów. Sekretarz generalny KPZR Leonid Breżniew urodził się w mieście Kamieńskie. Konstruktor lotniczy Oleg Antonow prowadził swoje biuro w Kijowie. W Dniepropietrowsku (obecnie Dnipro) Michaił Jangiel, jeden z najbardziej utalentowanych radzieckich konstruktorów, zbudował zakład produkujący rakiety dla Armii Radzieckiej i radzieckiego programu kosmicznego. Charków był jednym z najważniejszych centrów naukowo-przemysłowych ZSRR.

Mieszkańców wschodniej Ukrainy nie zraził do Rosji nawet wywołany przez Stalina Wielki Głód, który

w latach 1932-1933 pochłonął miliony ofiar. Dlaczego tak się stało? Bo wschodnia Ukraina od połowy XVII w. była częścią imperium carów. 18 stycznia 1654 r. w Perejaśławiu hetman Bohdan Chmielnicki podpisał z Wasylem Buturlinem, pełnomocnikiem cara Aleksego I, umowę, na mocy której kontrolowana przez Kozaków część Ukrainy została poddana władzy Kremla. Akt ten przeszedł do historii jako ugoda perejaśławska. Na jej podstawie i w wyniku późniejszego rozejmu andru-

lwano-Frankiowsk), w rodzinie uboższego greckokatolickiego kapłana Andrija Bandery przyszedł na świat Stepan Bandera, ikona ukraińskiego nacjonalizmu. Także Jewhen Konowalec, Jarosław Stećko, Andrij Melnyk, Roman Szuchewycz, Łew Rebet i inni działacze Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów pochodzili z zachodniej Ukrainy.

Jej mieszkańcy dopiero w 1939 r. stali się obywatelami Związku Radzieckiego. Przy czym nikt ich nie pytał o zgodę. W czasie II wojny

Większość Ukraińców nadal mówi po rosyjsku, ogląda rosyjskie stacje telewizyjne, a spora część nie uważa Rosjan za wrogów.

szowskiego z roku 1667, kończącego wojnę Rzeczypospolitej z Rosją, Moskwa uzyskała województwo czernihowskie oraz połowę województwa kijowskiego wraz z Kijowem.

Ukraina Zachodnia z Brodami, Lwowem, Stanisławowem i Kołomyją należała do Polski aż do rozbiorów, by pod koniec XVIII w. znaleźć się pod panowaniem imperium Habsburgów. Dlatego to Lwów, a nie Kijów, stał się kolebką ukraińskiego nacjonalizmu. 1 stycznia 1909 r. we wsi Uhrynów Stary, niedaleko Stanisławowa (dziś

światowej setki tysięcy pochodzących z Donbasu, Kijowa, Ługańska i Odessy Ukraińców walczyło w szeregach Armii Czerwonej. A dziesiątki tysięcy Ukraińców z zachodu kraju wstąpiło w szeregi Ukraińskiej Powstańczej Armii i dywizji SS Galizien, służyło w formacjach pomocniczych Wehrmachtu, a nawet w oddziałach strażniczych obozów zagłady. Ukraińcem był zbrodniarz wojenny Iwan Demianiuk, znany jako „Iwan Groźny z Treblinki”. Rok 1945 nie oznaczał końca wojny na zachodzie Ukrainy. Oddziały UPA walczyły tam ▶

► z wojskami NKWD do 1955 r. Setki tysięcy Ukraińców trafiło do łagrów.

Rozpad ZSRR w 1991 r. mieszkańców Lwowa i całej zachodniej Ukrainy przyjęli z entuzjazmem. Uważali się za strażników idei ukraińskiego patriotyzmu i nacjonalizmu. Bardzo szybko na powierzchnię wypłynęły skrywane przez lata urazy. Tych ze wschodu zaczęto nazywać „watinikami”, „sówkami” (pogardliwe określenia obywateli radzieckich). A dla tych z Charkowa, Doniecka i Odessy mieszkańcy zachodniej Ukrainy stali się „banderowcami” i „faszystami”. Kraj podzielił się na pół, co nie wróżyło nic dobrego.

Nie jest tajemnicą, że ogromne wpływy na Ukrainie mają Amerykanie.

W ukraińskiej polityce szczególną rolę odgrywają miliarderzy. Jeśli w Rosji władza decyduje, kto jest oligarchą, to na Ukrainie oligarchowie decydują, kto będzie rządził krajem. Pod koniec lat 90. Anders Åslund, jeden z czołowych ekspertów zajmujących się Rosją i Europą Wschodnią, w studium przygotowanym dla fundacji Carnegie Endowment for International Peace pisał tak: „W Rosji finansowo-przemysłowe grupy finansują różne partie i rząd. Natomiast na Ukrainie grupy ekonomiczno-polityczne skłaniają się raczej do posiadania własnych partii. Paweł Łazarzenko i Julia Tymoszenko utworzyli parlamentarną partię Hromada jako partię kompanii United Energy Systems of Ukraine, Wadim Rabinowicz podobno »kupił« Partię Zielonych. Grigorij Surkis i Wiktor Miedwiedczuk podobno posiadają Zjednoczoną Socjaldemokratyczną Partię Ukrainy. Charakterystyczne, że wszystkie te oligarchiczne partie są centrystyczne, co stawia je w wygodnej pozycji do robienia dobrych interesów, bez żadnej rzeczywistej ideologii”.

Tu nic się nie zmieniło. Były prezydent Petro Poroszenko w 2019 r. założył partię Europejska Solidarność i z jej ramienia zasiada dziś w Radzie Najwyższej Ukrainy. Oligarchowie Rabinowicz i Miedwiedczuk są liderami Opozycyjnej Platformy – Za Życie, a obecny prezydent Wołodymyr Zełenski, kojarzony z oligarchą Ihorem „Benią”

Kołomojskim, ma własną formację polityczną o nazwie Sługa Narodu.

Rządzący Ukrainą nawet nie próbują jednoczyć społeczeństwa. Za to doceniają potencjał tkwiący w radykalnym nacjonalizmie. W ostatnich latach zarówno Poroszenko, jak i Zełenski zrobili wiele, by zrazić do państwa ukraińskiego obywateli, którzy identyfikowali się jako Rosjanie czy choćby tylko byli rosyjskojęzyczni. W listopadzie 2018 r. Poroszenko doprowadził do powstania autokefalicznej ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, niezależnej od Patriarchatu Moskiewskiego. Po czym przez kraj przetoczyła się fala brutalnych przejęć świątyń przez patriotycznie nastrojonych obywateli, którzy wypędzali duchownych nieznaną nową porządku. Dochodziło do gwałtownych starć z obrońcami świątyń, a policja nie interweniowała. Łatwo sobie wyobrazić efekt tych działań na wsi i w małych miasteczkach.

25 kwietnia 2019 r. Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła ustawę o zapewnieniu funkcjonowania języka ukraińskiego jako państwowego, której celem było wyeliminowanie języka rosyjskiego z jak najliczniejszych sfer życia społecznego, zwłaszcza ze szkolnictwa i mediów. Uderzyło to w miliony obywateli posługujących się tym językiem na co dzień.

Rządzący Ukrainą nawet nie próbują jednoczyć społeczeństwa. Za to doceniają potencjał tkwiący w radykalnym nacjonalizmie.

Po przegranej Poroszenki w wyborach prezydenckich liczone, że pochodzący z Krzywego Rogu – czyli wschodniej części Ukrainy – Wołodymyr Zełenski przynajmniej złagodzi część tej ustawy. Tak się nie stało. Zełenski oparł swoją karierę polityczną na popularności serialu komediowego „Sługa narodu”. Wcielił się w nim w postać nauczyciela Wasyla Gołoborodki, który został prezydentem Ukrainy. Lecz jako prawdziwy prezydent nie spełnia oczekiwań wyborców i według najnowszego sondażu z 24 stycznia br. 60% ankietowanych nie chce słyszeć o jego drugiej kadencji. Dla niego wzrost zagrożenia ze strony Rosji to szansa na odzyskanie poparcia. Choć nie może

być pewien, jak zareagują mieszkańcy Charkowa na widok rosyjskich czołgów. Na Krymie opór był żaden. Być może jeśli wojska rosyjskie zajmą wschodnią Ukrainę z Kijowem i Odessą, nie będzie potrzeby fałszowania wyników referendum za przyłączeniem tych terenów do Federacji Rosyjskiej. Zwłaszcza że Ukraina z PKB na mieszkańca na poziomie 3727 dol., ponad cztery razy niższym niż w Polsce, jest dziś najbiedniejszym krajem w Europie.

Kuratorzy

Nie jest tajemnicą, że ogromne wpływy na Ukrainie mają Amerykanie. Gdy Departament Stanu ogłosił ostatnio częściową ewakuację pracowników ambasady USA i ich rodzin, kijowska ulica zareagowała dowcipem: „W końcu odzyskaliśmy suwerenność. Kuratorzy wyjechali”.

W rządzie premiera Arsenija Jaceniuka ministrem finansów została amerykańska obywatelka Natalie Jaresko. Wołodymyr Hrojsman, który zastąpił na stanowisku Jaceniuka, pełnienie obowiązków ministra zdrowia powierzył innej obywatelce USA Ulanie Suprun.

Symboliem amerykańskich wpływów na Ukrainie stał się Hunter Biden, syn obecnego prezydenta USA, który od 2014 r. zasiadał w zarządzie Burisma Holdings, jednego z największych producentów gazu ziemnego nad Dnieprem. Biden junior miał zarobić na tym kilka milionów dolarów. Jego biznesowa kariera skończyła się podejrzeniami o korupcję. Zwolennicy Donalda Trumpa twierdzili, że posada w Burisma Holdings była ukrytą formą łapówki dla ówczesnego wiceprezydenta Joego Bidena.

Uległość kijowskich władz dobrze ilustruje przypadek zaporoskich zakładów Motor Sicz produkujących nowoczesne silniki samolotowe i śmigłowcowe. Firma została sprywatyzowana, lecz w 2020 r. chiński koncern Skyrizon Aircraft Holdings Limited przez podstawionych pośredników wykupił ponad 50% akcji spółki. Wtedy Amerykanie skłonili rząd



Mieszkańcy wschodniej Ukrainy czują się częścią historii i kultury rosyjskiej. Obchody Dnia Zwycięstwa w Doniecku, 9 maja 2015 r.

w Kijowie, by zablokował to przejęcie. Obawiali się, że nowoczesne rozwiązania opracowane przez ukraińskich inżynierów trafią do Pekinu. W marcu 2021 r. Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy aresztowała należące do Chińczyków udziały i państwo przejęło kontrolę nad Motor Sicz. Chińczycy protestowali, ale kto by się tym przejmował.

Amerykanie wspierali prezydentów Wiktora Juszczenkę i Petra Poroszenkę. Na ich względy nie mógł liczyć Wiktor Janukowycz. Obecny prezydent Wołodymyr Zełenski cieszy się akceptacją Waszyngtonu. Pytanie, jak długo.

Wojna to dobry interes

Napięcie między Rosją a Stanami Zjednoczonymi i NATO nie jest groźne, o ile z fazy zimnej nie przejdzie w gorącą. Wydaje się, że Kreml uznał, że sytuacja, w której znalazł się „kolektywny Zachód” – pandemia, kłopoty gospodarcze krajów Unii Europejskiej, osłabienie pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie – to okazja, by ugrać swoje.

Moskwa chce od Amerykanów gwarancji, że Kijów nigdy nie wejdzie do NATO, wycofania wojsk amerykańskich z Europy Środkowej, otwarcia gazociągu Nord Stream 2 i zniesienia

choć części sankcji wprowadzonych w 2014 r. po zajęciu Krymu. Zajęcie wschodniej Ukrainy to z pewnością jedna z rozpatrywanych opcji.

Kreml stara się wykorzystać fakt, że głównym zmartwieniem Waszyngtonu są dzisiaj Chiny, które politycy amerykańscy uważają za największe zagrożenie. Rzeczywiście Chiny rosną w siłę i wywierają coraz silniejszy nacisk na Tajwan. Niemal codziennie chińskie myśliwce naruszają przestrzeń powietrzną wyspy, co może być wstępem do inwazji. Amerykanie przyznają, że nie są w stanie prowadzić jednocześnie dwóch wojen, więc gdzieś będą musieli ustąpić. Kijów nie jest tak ważny jak Pekin, dlatego zostanie sam przeciw Moskwie.

Jednak ponad 100 tys. żołnierzy rosyjskich, którzy pojawili się w bezpośredniej bliskości granicy z Ukrainą, zrobiło wrażenie w Waszyngtonie i stolicach państw NATO. Rosję na to stać. Jej międzynarodowe rezerwy walutowe na początku listopada ub.r. wyniosły 624,2 mld dol. i były najwyższe w historii. Zadłużenie zagraniczne zaś to zaledwie 4% PKB. Armia chwali się nowymi rodzajami uzbrojenia, „które nie mają odpowiedników na świecie”, takimi jak pocisk hipersoniczny Awangard czy hipersoniczne rakiety Cyrkon mogące niszczyć amerykańskie lotniskowce.

Obie strony prężą muskultury, lecz nikt nie chce rzeczywistej konfrontacji. To wojna nerwów, w której zwycięży ten, kto narzuci swoje warunki stronie przeciwnej. Warszawa, Londyn, Praga, Wilno, Ryga – choć nie Berlin i Paryż – straszą Kreml wizją surowych sankcji, wraz z odłączeniem od sieci SWIFT, która umożliwia międzynarodowe przelewy międzybankowe. Rosjanie grożą wstrzymaniem dostaw gazu do Europy, co pograżyłoby gospodarkę unijną w chaosie.

Polska się nie liczy. Nasza dyplomacja okazała się nieprzygotowana. Nie mamy Kijowowi nic do zaoferowania. Możemy jedynie się przyglądać, jak poważni gracze nad naszymi głowami załatwiają swoje interesy. Kreml postawił Waszyngtonowi bardzo ambitne, by nie rzec bezczelne warunki. Zgoda na nie oznaczałaby przywrócenie rosyjskiej strefy wpływów w Europie Środkowej, do czego nie dojdzie. Lecz spełnienie nawet części życzeń będzie sukcesem Rosji.

Pozostaje mieć nadzieję, że jakiegoś ukraińskiemu albo rosyjskiemu żołnierzowi lub miejscowemu ochotnikowi przypadkiem nie wystrzeli kałasznikow.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Wojna nerwów

Dlaczego Rosjanie nie zaatakują Ukrainy

Marcin Ogdowski

Na niezbyt szczegółowych informacjach publikowanych w mediach sytuacja wygląda dramatycznie. Rozmieszczenie wojsk Federacji Rosyjskiej wzdłuż północnej, wschodniej i częściowo południowej granicy ukraińskiej wywołuje skojarzenia z fatalną sytuacją strategiczną II Rzeczypospolitej w przededniu niemieckiej inwazji z 1939 r. Lecz jeśli uważniej prześledzimy informacje na temat koncentracji armii rosyjskiej i poznamy specyfikę terenu, na którym przyszłoby jej operować, rychła agresja na Ukrainę przestaje być „przesądzonym faktem”.

Miasto – koszmar generałów

Weźmy Kijów, który – wraz z dyslokacją rosyjskich oddziałów na Białoruś – miał się stać celem potencjalnego ataku, wyprowadzonego z pozycji oddalonych o mniej niż 100 km. Co mówi mapa? Na północ od stolicy, aż po granicę z Białorusią, rozciągają się rozlewiska Dniepru i Prypecy. To tam znajduje się Czarnobyl, do którego najlepsza droga wiedzie po drugiej, wschodniej stronie Dniepru i wymaga przejazdu trasą bądź linią kolejową przez terytorium białoruskie. Ów skrawek Białorusi jest najdalej wysuniętym na południe fragmentem Poleskiego Państwowego Rezerwatu Radiacyjno-Ekologicznego, lepiej znanego jako Czerwony Las. Mający ponad 200 tys. ha obszar to pozostałość po czarnobylskiej katastrofie, podobnie jak przyległa do niego ukraińska Strefa Wykluczenia, częściej określana mianem zony. W rezerwacie nie sposób skoncentrować wojsk, a ich przemarsz przez strefę i okolice jest zwyczajnie niemożliwy. I nie chodzi wcale o skażenie, które obecnie mieści się w akceptowalnych normach. To teren z kiepskimi drogami, zalesiony, podmokły i bagnisty.

Tak naprawdę próba uchwycenia Kijowa wymaga dość głębokiego oskrzydlenia, bo najlepsze drogi do miasta prowadzą z zachodu (z kierunku Żytomierza), południa i południowego wschodu (trasa M03 Kijów-Połtawa-Charków). Tym sposobem z mniej niż 100 km robi się co najmniej 150-200. A to dopiero początek potencjalnych wyzwań. Ukraińska stolica jest sporą metropolią, podzieloną szeroką wstęgą Dniepru, rozpostartą na wielu wzgórzach, z dużą ilością terenów zielonych. Pełną monumentalnych budowli z szerokimi alejami, ale i zwartej, ciasnej zabudowy. Ma też niemal 70-kilometrowe metro, a stacja Arsenalna – znajdująca się 105 m pod ziemią – jest najgłębiej położonym tego typu obiektem na świecie. Szturmowanie takiego miasta to koszmar dla każdego generała, który nie jest gotowy na straty idące w dziesiątki tysięcy zabitych i rannych.

Czeczenia? Niemożliwe

Czy Kreml zaakceptowałby takie koszty? Potoczne wyobrażenie o rosyjskim podejściu do strat, ujęte w popularnym powiedzeniu „Ludzi u nas nie brakuje”, nijak ma się dziś do rzeczywistości. Rosyjska armia przeszła przez ostatnich kilkanaście lat głęboką modernizację

Ukraina jest nie celem, lecz narzędziem w wojnie nerwów z Zachodem.

techniczną, ale też poddana została procesowi westernizacji. Ostatecznie nie wszystkie rozwiązania się przyjęły, czego przykładem może być porzucenie brygadowej struktury wojsk lądowych i powrót do dywizyjnej, lecz w wymiarze mentalnym rosyjskim generałom bliżej obecnie do zachodnich odpowiedników niż do radzieckich poprzedników. Trudno orzec, na ile zmiany



wynikają z humanistycznego namysłu, a w jakim wymiarze są pragmatycznym skutkiem profesjonalizacji służby i rosnących kosztów szkolenia na nowoczesnym sprzęcie – tak czy inaczej, życie pojedynczego żołnierza ma w Rosji znaczenie. Dowiodła tego wojna w Syrii, dowiodły operacje w Donbasie, prowadzone przez regularne jednostki rosyjskiej armii. Trudno zatem, nawiązując do wypowiedzi brytyjskiego premiera Borisa Johnsona o Ukrainie jako „drugiej Czeczenii”, oczekiwać powtórki noworocznego szturm na Grozny z przełomu 1994 i 1995 r., kiedy to oddziały pancerne z marszu i bez odpowiedniego wsparcia usiłowały zająć zbuntowaną czeczeńską stolicę, co skończyło się ich masakrą.

Gros sił zgromadzonych wzdłuż ukraińskich granic stanowią wojska pancerne i zmechanizowane, co może sugerować zamiar szybkich ataków manewrowych. Niemniej jednak pomni fatalnych doświadczeń Rosjanie nie zaryzykowałiby takich rajdów bez przygotowania. Bez „oczyszczenia” nieba i potwierdzenia swojej dominacji w powietrzu, bez zniszczenia przy użyciu rakiet i artylerii celów i obiektów na ziemi, które mogłyby stanowić przeszkodę



Rosjanie mają 12,5 tys. czołgów,
Ukraińcy – 2,5 tys.

(Rosjanie poza odpowiednimi samolotami dysponują całą siecią satelitów) i zdolności do walki radioelektronicznej. Zaznaczyć jednak należy, że rosyjską przewagę częściowo niwelują naziemne zestawy rakiet przeciwokrętowych oraz pomoc Sojuszu Północnoatlantyckiego – wsparcie wywiadowcze, loty rozpoznawcze, przekazywane w znacznej liczbie przenośne rakietowe zestawy przeciwpancerne i przeciwlotnicze. Rosyjscy generałowie dobrze o tym wszystkim wiedzą.

Wie też Władimir Putin – i z pewnością nie jest ślepy na ewentualne skutki konfliktu rozpętanego pomimo wspomnianych uwarunkowań. Swoje wiedzą także kijowska i moskiewska ulica, których spokój dramatycznie kontrastuje z coraz bardziej panicznymi relacjami zachodnich mediów. Potencjalne ofiary wojny i jej polityczno-gospodarczych następstw zdają się dobrze wiedzieć, w co gra rosyjski prezydent. Że choć zamienił pionki na żołnierzyki, wciąż jest to ta sama geopolityczna rozgrywka, w której Ukrainie nie grozi rozległa fizyczna agresja. Bo jest ona nie celem, lecz narzędziem w wojnie nerwów z Zachodem. Znamienna w tym kontekście jest zapowiedź kolejnych manewrów rosyjskiej marynarki – na początku lutego, tym razem na Atlantyku, w pobliżu Irlandii. Dokładnie nad miejscem, gdzie schodzą się podmorskie kable łączące amerykańskie giganty technologiczne z ich centrami danych na Wyspach.

m.ogdowski@tygodnikprzeгляд.pl

dla czołgów i wozów pancernych. Tymczasem „w tym interesie ruchu nie widać” – rosyjskie lotnictwo nie opuszcza miejsc stałej dyslokacji, a liczba jednostek raketowych i artyleryjskich nadal odbiega od standardów kontyngentów przewidzianych do zadań ofensywnych. Wciąż brakuje też rozwiniętej logistyki i zaplecza medycznego. Co więcej, mimo że sumaryczne zestawienie rosyjskiego potencjału zgromadzonego „na Ukrainę” może robić wrażenie, warto sobie uświadomić, że spośród ok. 130 tys. żołnierzy tylko jedna trzecia znajduje się do 40 km od granicy. Reszta garnizonów – stałych i tymczasowych – przebywa w odległości do 120 km, co nawet przy rosyjskich umiejętnościach przeprowadzania błyskawicznych uderzeń wyklucza możliwość zaskakującego ataku.

Znamienny spokój ulicy

A tylko taki dawałby przyzwoitą gwarancję redukcji strat. Wojsko po drugiej stronie jest dziś bowiem zupełnie inne niż w 2014 r. Na poziomie pojedynczego żołnierza nie ma żadnych różnic między Rosjanami a Ukraińcami. Armia ukraińska może dziś walczyć w nocy, do czego nie była zdolna przed kilku laty. Może przeprowadzać rozpoznanie

taktyczne za sprawą licznych bezzałogowców, dzięki radarom pola walki chronić się przed ogniem artyleryjskim przeciwnika i dość skutecznie nań odpowiadać. W kwestii umiejętności taktycznych – dzięki programom szkoleniowym NATO oraz doświadczeniu z Donbasu Ukraińcy górują nad Rosjanami. Dramatyczna jest za to dysproporcja twardego potencjału – samych czołgów (w służbie i zapasie) Rosjanie mają 12,5 tys., Ukraińcy 2,5 tys., samolotów i śmigłowców – odpowiednio 4 tys. i 300 sztuk. Piętą achillesową Ukrainy jest marynarka wojenna, jak również rozpoznanie strategiczne

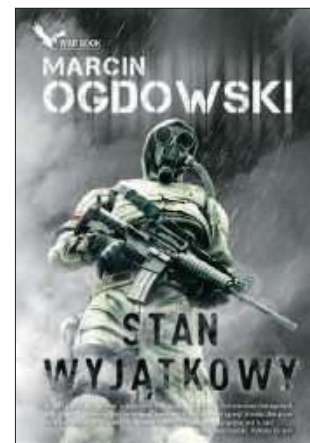
Marcin Ogdowski

Stan wyjątkowy

War Book, Ustroń 2021

Polska, 2021 r. Kiedy komisarz Paweł Danielewski usiłuje rozwikłać sprawę niewygodnego zabójstwa w krakowskiej kurii, na drodze stają mu dwie plagi. Pierwszą jest nowy, tajemniczy wirus, nazwany przez prasę turbocovidem. Drugą – polska zmowa milczenia i polityczne machlojki.

Autor z rozmachem maluje obraz Polski czarnej i skrzywionej. To kraj ogarnięty przez postpandemiczny chaos i dezinformację kierowaną ze Wschodu. Pograżony w wewnętrznych konfliktach, sparaliżowany fałszem, uprzedzeniami i fanatyzmem. To Polska, jakiej nie znamy. Ale czy na pewno?



Oblaci w lesie

Rząd wyrwał z serca Świętokrzyskiego Parku Narodowego enklawę dla Kościoła

Przemysław Miller

Przyszłość Świętokrzyskiego Parku Narodowego jest bardzo zagrożona, dokonał się bowiem jego częściowy rozbiór. To smutne pokłosie rozporządzenia podpisanego przez Mateusza Morawieckiego. Pokazuje ono bezpardonowy stosunek rządzących do ochrony najcenniejszych zasobów przyrodniczych Polski.

W myśl tego dokumentu obszar ŚPN powiększy się o ok. 62 ha, ale z parku zostaną wyłączone trzy działki na szczycie Łysej Góry. Działki te trafiły do zasobu skarbu państwa, po czym o ich wykup za niewielkie pieniądze zaczęli wkrótce się ubiegać zakonnicy. Tym samym utworzony przez państwo w 1950 r. ŚPN straci na Świętym Krzyżu teren o powierzchni 1,3 ha.

Rządowi eksperci utrzymują, że takie działanie jest podyktowane koniecznością uregulowania spraw natury administracyjnej. Prawda wygląda jednak zupełnie inaczej, bo dotyczy partykularnego interesu oblatów ze Świętego Krzyża, którzy dzięki tej decyzji będą mogli się ubiegać o wykup wszystkich znajdujących się tam zabudowań. I to z dużym upustem. Podjęte działania są niczym innym jak kolejnym ukłonem w stronę ponad miarę miłującego dobra ziemskie kleru. W ten oto prosty sposób zakonnicy dostaną niezwykle wartościowy prezent od przychylnego im rządu.

Budzi to oburzenie wśród społeczeństwa oraz całej rzeszy naukowców zajmujących się ochroną środowiska naturalnego w kraju. Na niekorzystny efekt zmiany granic ŚPN zwracały uwagę m.in. Rada Naukowa ŚPN, Komitet Biologii Środowiskowej

i Instytut Ochrony Przyrody PAN czy Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Nie da się bowiem wyciąć z parku jakiegokolwiek kawałka bez nieodwracalnego uszczerbku dla środowiska naturalnego. Wdrożenie tego planu spowoduje bezpowrotne naruszenie struktury tutejszych ekosystemów, które do dziś zachowały bardzo wysoki stopień naturalności i doskonale funkcjonują w warunkach ochrony bierniej,



W Świętokrzyskim Parku Narodowym znajduje się najwyższe drzewo w kraju, mierząca 51 m 270-letnia jodła.

bez jakichkolwiek zabiegów ochronnych. Tu właśnie występuje unikatowy – reliktowy podgatunek modrzewia polskiego, którego najstarsi przedstawiciele mają ponad 250 lat. W parku znajduje się również najwyższe rosnące drzewo w kraju, mierząca 51 m 270-letnia jodła. Natomiast przeciętne drzewostany tego gatunku liczą tu sobie od 80 do 120 lat.

Barbarzyńskie przejęcie działek doprowadzi również do tego, że zaczną na tym terenie obowiązywać liberalne przepisy ochrony środowiska, które umożliwią realizację dowolnych inwestycji na przejętym przez oblatów terenie. Zakonnicy nie kryją, że chcą

wybudować tu duży dom pielgrzyma, który tak naprawdę będzie obiektem hotelowym świadczącym pod pozorem turystyki religijnej standardowe usługi. Będą tu restauracje, bary, spa, sale konferencyjne itd. Obecne przepisy wynikające z faktu, że jest to integralna część parku, uniemożliwiają prowadzenie tego typu niezwykle dochodowej działalności komercyjnej.

Mglistą rekompensatą za utracę na Świętym Krzyżu teren ma być dla parku 62 ha lasu w gminach Waśniów i Nowa Słupia. Problem polega na tym, że nie można dowolnie zmieniać granic parku narodowego. Odnoszą się do tego m.in. konkretne zapisy w Ustawie o ochronie przyrody. Pisowski resort ochrony środowiska próbuje posłużyć się prostackim wytrychem polegającym na tym, że mówi się nie o pomniejszeniu powierzchni parku, ale o powiększeniu. Rządzącym wydaje się, że gdy do parku zostanie włączony jakiś większy fragment, a wycięty mniejszy, to takich zapisów prawa się nie stosuje. Otóż nic bardziej mylnego. Taka argumentacja ze strony rządu jest najzwyczajniej niepoważnym traktowaniem społeczeństwa, które *de facto* jest właścicielem tego szczególnie chronionego obszaru, bo bynajmniej nie jest nim PiS ani tym bardziej zachłanny kler.

Pikanterii całej historii dodaje fakt, że jest to swoista zemsta za to, że w 2002 r. Komisja Majątkowa nie przychyliła się do roszczeń diecezji sandomierskiej w sprawie tutejszego klasztoru, ponieważ z mocy ustawy mogła ona rozpatrywać kwestie przejęcia majątku kościelnego w wyniku działań władzy ludowej, a kasata klasztoru została dokonana na mocy... bulli papieża Piusa VII, wydanej na wniosek cara Rosji w 1818 r.

Realizacja przychylnego Kościołowi planu doprowadzi w niedalekiej przyszłości do tego, że identyczną procedurę będzie można stosować do każdego innego parku narodowego na terenie kraju, np. wigerskiego lub drawieńskiego, które szczególnie upodobał sobie za młodu Karol Wojtyła. Będzie to również początkiem planowego demontażu funkcjonującego w strukturach Unii Europejskiej systemu ochrony najcenniejszych zabytków krajowej przyrody. ■

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy informację o śmierci 12 stycznia 2022 r. w wieku 39 lat



Karola Nowakowskiego

**naszego pacjenta i Przyjaciela.
Wielkiego Ambasadora Polskiej Nauki i Medycyny na świecie.**

Karol był pierwszym na świecie pacjentem, któremu z powodu zniszczenia nerwów słuchowych przez niezwykle skomplikowaną chorobę nowotworową (*Neurofibromatosis* typu drugiego) wszczepiono obustronnie implanty słuchowe do pnia mózgu. Uzyskane przez Niego znakomite wyniki słuchowe były efektem osobistej odwagi i decyzji o zgodzie na usunięcie zmian nowotworowych z jednoczesnym wszczepieniem implantów słuchowych, podjętej wspólnie z bliskimi. To pokazało nam i naszym przyjaciołom z zagranicy oraz tysiącom pacjentów na świecie nowe możliwości w nauce i medycynie, przesunęło granice wskazań do takiej terapii, do tamtego czasu uznawanych na świecie za nieprzekraczalne.

Karol był młodym, niezwykle wszechstronnie uzdolnionym człowiekiem – był wielkim artystą. To wszystko sprawiło, że z wielką dumą mogliśmy wspólnie z Nim prezentować Jego nieprzeciętne wyniki po odzyskaniu słuchu oraz pokazywać „cud medycyny” na licznych kongresach światowych i europejskich, które organizowaliśmy w Warszawie. Jego utwory muzyczne i płyty nagrane przed chorobą, kiedy jeszcze słyszał, oraz po wszczepieniu implantu do pnia mózgu do pierwszego ucha, a następnie drugiego, stanowią Jego osobisty dorobek, jak również dorobek oddanego Mu otoczenia artystycznego, wielu przyjaciół, których spotykaliśmy na scenie, poza nią oraz podczas odwiedzin w Światowym Centrum Słuchu. Karol był również laureatem i częstym gościem Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego „Ślimakowe Rytm”. Nie opuścił żadnej naszej rocznicy. Karol po prostu był wszędzie. Jego zaangażowanie w prezentowanie uzyskanych wyników słuchowych podczas kongresów naukowych było zachowaniem wybitnego człowieka, który rozumiał, jakie ma to znaczenie w promowaniu jednego z największych osiągnięć nauki i medycyny, jaką to niesie nadzieję i szansę dla tysięcy ludzi na świecie. Jesteśmy Mu za to bardzo wdzięczni i zobowiązani, bo te osiągnięcia, tak jak dotychczas, zapisują się złotymi zgłoskami na kartach historii nauki i medycyny. Zaawansowane zmiany nowotworowe atakowały Jego kolejne struktury nerwowe, niestety nie można ich już było opanować...



Spotkanie z pierwszym na świecie pacjentem słyszącym dzięki bilateralnemu wszczepieniu implantów słuchowych do pnia mózgu podczas Europejskiego Kongresu Implantów Słuchowych w Warszawie. Od prawej: prof. Henryk Skarżyński, Karol Nowakowski, prof. Robert Behr (Fulda, Niemcy), prof. Artur Lorens.

Składamy najszczerze wyrazy współczucia całej wspaniałej, wspierającej Karola rodzinie – żonie Magdzie, Rodzicom i bliskim, gronu niezwykle oddanych Mu przyjaciół i wielkiej rzeszy wielbicieli Jego nieprzeciętnego talentu.

Żegnaj, Przyjacielu

*prof. Henryk Skarżyński, prof. Robert Behr, prof. Artur Lorens, prof. Waldemar Koszewski, prof. Piotr H. Skarżyński
oraz przyjaciele ze Światowego Centrum Słuchu IFPS*

Pogrzeb Karola Nowakowskiego odbył się 24 stycznia 2022 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Na zakończenie tej niezwykle wzruszającej uroczystości z głośników rozbrzmiał „Sen o Warszawie” Czesława Niemena, a przyjaciele – kibice warszawskiej Legii – odpalili czerwone race. W ostatniej drodze raperowi towarzyszyli rodzina, fani i liczne grono przyjaciół.

Kto się boi opodatkowania wielkich korporacji

Polski system podatkowy postawiony jest na głowie. Bogaci płacą niskie podatki, klasa średnia i słabo zarabiający wysokie, a korporacje prawie w ogóle

Nikodem Szewczyk

W 2015 r. w ramach podatkowych zniknęło prawie 40% zysków dużych korporacji. To ok. 600 mld dol. Polska przez raje podatkowe traci ok. 10% przychodów z tytułu podatku CIT. To prawie 6 mld dol., czyli ok. 24 mld zł. Na sam program 500+ polski rząd wydaje 41 mld zł rocznie. Gdyby korporacje uczciwie płaciły podatki w Polsce, co roku moglibyśmy zmniejszyć koszt programu 500+ o połowę. To jednak wierzchołek góry lodowej. Polski system podatkowy postawiony jest na głowie. Bogaci płacą niskie podatki, klasa średnia i słabo zarabiający wysokie,

aż 92% mieszkańców Polski uważa, że podatki należy płacić. Równocześnie 90% respondentów uważa, że trafiające do budżetu pieniądze są wydawane nieracjonalnie, a 87% twierdzi, że podatki są zbyt wysokie jak na to, co w zamian jest zapewniane obywatelom.

Widzimy więc, że „paleoliberalną” wizję świata, w której podatki są kradzieżą i formą państwowej przemocy, podziela wąska grupa społeczeństwa (ok. 8%). Niestety, właśnie wiele osób z tej grupy ma dostęp do opiniotwórczych mediów i tworzy fałszywe wrażenie co do poglądów całego społeczeństwa, podczas gdy większość Polaków chce płacić podatki, ale niespecjalnie widzi, aby

czymś innym są wartości nominalne. Przecież wszyscy ludzie mają mniej więcej podobne potrzeby zdrowotne czy edukacyjne. Ale ekonomiści lubią odnosić wszystkie wartości do PKB. To taka sztuczka, za którą kryje się założenie, że ubożsi muszą wydawać mniej, bo na więcej po prostu ich nie stać.

Kiedy spojrzymy na to, ile państwa wydają nominalnie, szybko się przekonamy, że Polskę i bogate państwa dobrobytu dzieli przepaść. W Polsce na potrzeby publiczne wydaje się ok. 220 mld euro rocznie przy 38-milionowej populacji. W Szwecji państwo przeznacza na podobne wydatki ok. 230 mld euro przy 10 mln mieszkańców. Szwedzi zatem wydają tyle samo co Polska, ale jest ich cztery razy mniej. Podobne porównanie moglibyśmy zastosować w odniesieniu do Niemiec, Norwegii czy Francji. Rezultat byłby zawsze taki sam. Polskie państwo jest szalenie tanie. Trudno więc się dziwić negatywnemu stosunkowi do jakości świadczonych przez nie usług publicznych.

Wrażenie, że są one niewspółmierne do wysokości podatków, wzmacniać może konstrukcja polskiego systemu podatkowego. Polski system podatkowy jest regresywny. Co to oznacza? Jeżeli spojrzymy na niego całościowo, okaże się, że wyższe podatki płacą najmniej zamożni podatnicy. Dlaczego? Po pierwsze, podatki pośrednie (np. VAT) zawsze silnie obciążają osoby uboższe, ponieważ przy niskich zarobkach na konsumpcję wydaje się większą część dochodów. Po drugie, opodatkowanie dochodu podatkiem PIT było do tej pory praktycznie liniowe, czyli płaciło się tyle samo, bez względu na wysokość dochodu

Polska przez raje podatkowe traci mniej więcej 10% przychodów z tytułu podatku CIT.

a korporacje prawie w ogóle nie płacą. Dlaczego tak się dzieje? Czy jest nadzieja na zmianę? Jakie znaczenie dla systemu podatkowego w Polsce ma opodatkowanie korporacji?

Uzdrowić system podatkowy

Mówi się, że podatki są ceną, którą płacimy za cywilizowane społeczeństwo. Stosunek polskiego społeczeństwa do podatków wydaje się negatywny. Przykładowo na portalu NaTemat.pl Eliza Michalik pisze, że zwiększenie podatków dla najbogatszych doprowadzi do „bycia równymi w upokarzającej biedzie”. Wszyscy znamy tego typu komentarze. Pojawiają się ciągle, szczególnie w mediach głównego nurtu. Reprezentatywne badanie CBOS z 2016 r. pokazuje jednak, że

były one ceną za cywilizowane społeczeństwo. Wydaje się, że ta większość ma rację. Polskie państwo rzeczywiście jest pozbijane z dykty i do bólu tanie. Wielu z nas doświadczyło tego na własnej skórze w czasie epidemii, gdy rząd zwyczajnie abdykował. Dziś nikt już nawet nie udaje, że mamy środki na to, aby poradzić sobie z wirusem.

Jak tanie jest polskie państwo, widać po danych na temat wydatków publicznych. Według Eurostatu w 2019 r. wydatki polskich władz wyniosły ok. 42% PKB. To mniej niż średnia dla 27 państw UE, która wynosi 46,5%. W bogatych państwach na potrzeby publiczne wydaje się nawet połowę PKB – w Szwecji 49%, w Norwegii 51,5%, a we Francji aż 55%. To jednak wartości względne, odnoszące wydatki do PKB. Zupełnie

CORPORATE TAX

Przychody i zapłacony w Polsce podatek CIT w latach 2016-2020 w zł

Podmiot	Przychody	Podatek CIT	Zapłacony podatek w stosunku do przychodów
Firmy telekomunikacyjne			
T-Mobile Polska	43 342 858 185	30 801	0,0001
Orange Polska	49 695 667 219	16 638 055	0,03
Plus (Polkomtel)	38 934 483 604	596 202 729	1,53
Play (P4)	34 409 704 549	963 535 835	2,80
Sieci supermarketów			
Aldi	6 458 655 505	0	0%
Auchan Polska	59 315 146 749	29 342 336	0,05%
Carrefour Polska	51 043 551 583	94 623 501	0,18%
Lidl (FRF Beteiligungs)	72 158 246 616	348 774 993	0,48%
Kaufland	50 437 509 147	289 274 999	0,57%
Dino Polska	32 661 874 028	286 618 345	0,88%
Biedronka (Jeronimo Martins)	260 283 948 425	2 693 832 950	1,04%
Firmy e-commerce			
Allegro	4 103 666 401	232 771 878	5,67%
Empik	1 511 754 784	0	0%

Źródło: Ministerstwo Finansów

(przez możliwość odliczenia od podatku składki zdrowotnej). Po trzecie, opodatkowanie działalności gospodarczej było degresywne (średnio, biorąc pod uwagę różne formy rozliczania się).

Taka struktura polskiego systemu podatkowego budzi duże zastrzeżenia. Jeżeli chcemy opierać działalność aparatu państwowego na przychodach podatkowych rozłożonych w sposób efektywny i sprawiedliwy, powinniśmy zmierzać w kierunku wyższej progresji podatkowej. Wynika to m.in. z zasady zdolności płatniczej, która mówi o tym, że podatki powinny być wprost proporcjonalne

do zasobności portfela płatnika. W innym wypadku ciężar utrzymania państwa spoczywać będzie na barkach osób najmniej zdolnych do jego udźwignięcia. To z kolei rodzić będzie konflikty i niezadowolenie społeczne. Wysokich podatków nie mogą płacić głównie osoby, które najmniej na to stać.

Reforma systemu podatkowego powinna zatem zmierzać w stronę wyrównania obciążeń podatkowych. Wprowadzony na początku roku przez PiS Polski Ład zmienia w obecnym systemie niewiele. Nie ma tutaj miejsca na kompleksową ocenę powyższej reformy, ale

warto zwrócić uwagę na kilka kwestii. Po pierwsze, progresja podatkowa w wyniku zmian wzrośnie nieznacznie i nadal będzie bardzo niska (na tle innych państw). Po drugie, reforma PiS utrzymuje wiele przywilejów podatkowych dla przedsiębiorców (np. możliwość płacenia składki zdrowotnej w wysokości 4,9% zamiast 9%). Po trzecie, Polski Ład praktycznie nie dotyka problemu unikania płacenia podatków przez korporacje w Polsce. Na tym trzecim wątku warto się zatrzymać, ponieważ jest on istotny i rzadko poruszany w przestrzeni publicznej.

Globalny minimalny CIT

Rozmowa o podatkach w Polsce wymaga rozważenia globalnego kontekstu. Polski system podatkowy podlega zasadom panującym na świecie. Przykładowo w krajach Unii Europejskiej podstawowa stawka VAT nie może być niższa niż 15%. Podobnie opodatkowanie korporacji jest silnie uzależnione od globalnych porozumień. W ostatnich latach w kwestii opodatkowania przedsiębiorstw dzieje się sporo. W kwietniu 2021 r. administracja nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych Joeego Bidena zaproponowała wprowadzenie globalnego minimalnego podatku CIT. W październiku ub.r. 130 państw zrzeszonych wokół OECD, w tym Polska, zgodziło się na to rozwiązanie.

► Reforma OECD jest szeroko komentowana, ale jej skomplikowanie może z początku odstraszać. Światowy system podatkowy to zbiór krajowych systemów połączonych w ramach zglobalizowanej gospodarki. W przypadku przedsiębiorstw ma to szczególne znaczenie, ponieważ mogą one zmieniać miejsce rejestracji swojej działalności. W ostatnich dekadach duże korporacje zaczęły transferować zyski do rajów podatkowych, czyli państw, w których podatki są wyjątkowo niskie, czasami

ustawowa stawka CIT w gospodarkach rozwiniętych spada z poziomu 32% do 23%. Reforma podatkowa w ramach OECD ma wprowadzić minimalny poziom podatku CIT na świecie w wysokości 15%. Oznacza to, że państwa, w których duże korporacje mają siedzibę, będą mogły domagać się zapłaty podatku w wysokości 15%, jeżeli korporacja ulokuje swoje zyski w raju podatkowym. Drugi filar będzie korzystny głównie dla dużych gospodarek (np. Stanów Zjednoczonych).

rząd był przeciwnikiem proponowanych rozwiązań, ponieważ nie gwarantowały wyłączenia realnej działalności gospodarczej z opodatkowania. Chodziło o to, aby przedsiębiorstwa, które realnie inwestują w Polsce (zastrzegając pracowników czy budując fabryki), nie musiały podlegać nowym zasadom podatkowym. Minister finansów Tadeusz Kościński twierdził, że globalny podatek CIT nie może ograniczać konkurencji podatkowej. W myśl tego podejścia kraje takie jak Polska zawdzięczają swój rozwój gospodarczy korzystnym rozwiązaniom podatkowym dla dużego biznesu. Nasuwa się natychmiast pytanie, ile w tym stwierdzeniu jest prawdy.

W ostatnich dekadach kolejne rządy tworzyły system zachęt inwestycyjnych w formie różnych ulg i preferencji podatkowych dla zagranicznych spółek. Większość tych zachęt skupiona jest wokół specjalnych stref ekonomicznych (SSE), które zaczęły wyrastać w Polsce jak grzyby po deszczu w latach 90. XX w. Obecnie funkcjonuje 14 takich stref. W 2013 r. ich działalność została przedłużona do 2026 r. Spółki działające w SSE otrzymują co roku wsparcie państwa w wysokości 2,5 mld zł. Dodatkowo w latach 1998-2012 skorzystały ze zwolnień podatkowych na łączną kwotę 12 mld zł. W 2020 r. ukazał się z kolei druzgocący raport Najwyższej Izby Kontroli, z którego wynika, że SSE zupełnie nie spełniają swojego zadania – zwiększyły dysproporcje regionalne w kraju, nie poprawiając konkurencyjności polskiej gospodarki.

To jednak nie wszystko. Zagraniczne korporacje korzystają ze zwolnień podatkowych i pomocy publicznej, a przy tym często po prostu nie płacą podatków. Ministerstwo Finansów publikuje dane dotyczące dużych podmiotów, które podlegają opodatkowaniu z tytułu CIT.

Spółki działające w 14 specjalnych strefach otrzymują co roku wsparcie państwa w wysokości 2,5 mld zł.

bliskie zera. Przyczyniło się to do zjawiska nazywanego podatkową niesprawiedliwością. Oznacza ona takie urządzenie systemu, że najsilniej obciążeni są ubodzy podatnicy, a pominięci najbogatsi. W efekcie budżety państw są uszczuplane i brakuje środków na transformację energetyczną oraz walkę z COVID-19.

Reforma pod egidą OECD ma na celu przeciwdziałanie powyższemu zjawisku. Składa się z dwóch filarów. W ramach pierwszego danemu państwu ma przysługiwać prawo do opodatkowania części zysków korporacji, które prowadzą działalność na jego terenie, ale transferują zyski gdzie indziej. Zachodzić ma to w ramach tzw. relokacji zysku. Co to oznacza w praktyce? Konkretnie powyższy filar dotyczyć będzie korporacji, które mają globalny obrót na poziomie 20 mld euro (łącznie wartość przeprowadzonych transakcji) i rentowność powyżej 10% (zyski podzielone przez wysokość obrotu). Państwa będą mogły dochodzić prawa do opodatkowania zysku, jeżeli dana korporacja osiągnie na ich terenie przynajmniej 1 mln euro dochodu rocznie. Wysokość podatku wyliczana będzie na podstawie dość skomplikowanej formuły.

Drugi filar dotyczy innego zjawiska – konkurencji podatkowej. Wraz z postępującą globalizacją państwa coraz silniej zaczęły konkurować o inwestycje przedsiębiorstw. To doprowadziło do obniżania stawek podatku CIT w ramach podatkowego wyścigu na dno. Z danych OECD wynika, że w latach 2000-2018

Celem reformy OECD jest ograniczenie działalności rajów podatkowych. Nie sądźmy jednak, że rozwiązania pokazywane przez najbogatsze państwa zlikwidują problem unikania płacenia podatków. Zaproponowana stawka minimalnego podatku jest relatywnie niska. Pierwotnie proponowano 21%, a wielu ekonomistów sugeruje, że minimalny CIT powinien wynieść nawet 30%. Z analiz Obserwatorium Podatkowego przy UE wynika, że przy stawce 30% wpływ podatkowy w państwach UE mógłby wynieść aż 320 mld euro. Przy obecnej stawce będzie to jedynie 83 mld euro. Dodatkowo reforma zawiera klauzulę wyłączenia realnej działalności gospodarczej, która, w dużym uproszczeniu, pozwoli wielu firmom płacić znacznie niższe podatki, niż powinny.

Polskie państwo kontra duży kapitał

W tym wszystkim dość ciekawie prezentuje się głos Polski, która dołączyła do porozumienia dopiero w lipcu 2021 r. Jeszcze w czerwcu nasz

Podatki i pomoc publiczna dla zagranicznych inwestycji w latach 2016-2020 w zł

Podmiot	Przychody	Podatek	Pomoc publiczna
Volkswagen Motor Polska	31 962 199 970	535 305	924 684 660
FCA Powertrain Poland	14 107 704 162	63 484 159	455 365 023
LG Electronics Mława	43 735 155 311	146 963 064	313 839 586
ZF Automotive Systems Poland	18 934 791 350	50 435 896	208 632 141

Źródło: Ministerstwo Finansów

Z tych liczb wyciągnąć można dwa wnioski. Po pierwsze, do polskiego budżetu dokładają się głównie duże państwowe spółki (np. lider, PGNiG, w 2021 r. zapłacił rekordowe 2,2 mld zł). Po drugie, niektóre spółki (Empik czy Canal+ Polska) w ogóle nie płacą podatków, a inne płacą marginalne kwoty (Orange Polska, T-Mobile Polska czy Auchan). Przykładowo, w latach 2015-2019 spółka Orange Polska zapłaciła ok. 77 mln zł podatku CIT, równocześnie otrzymując pomoc publiczną wartą 766 mln zł.

Polski Instytut Ekonomiczny oszacował, że w 2018 r. luka zagraniczna CIT (różnica między potencjalnymi wpływami podatkowymi a rzeczywistymi) wyniosła 3,2 mld zł. Wynika to ze sztucznego transferowania przez spółki zysków za granicę. W przypadku Polski to głównie transfery do Irlandii, Luksemburga czy Niderlandów. Luka zagraniczna stanowiła jednak tylko 15% całkowitej luki podatku CIT (ok. 22 mld zł). Oznacza to, że większe znaczenie miała luka krajowa. Ta z kolei dotyczy przypadków nieświadomego niewypełnienia zeznań podatkowych, obniżania podstawy opodatkowania czy zalegania

dwa razy tyle, ile luka zagraniczna. Luka polityczna to koszt, który ponosimy w związku z utrzymaniem konkurencyjności podatkowej na arenie międzynarodowej.

Tak trudno o porozumienie

W 2020 r. wpływy z podatku CIT wyniosły 41 mld zł. Całkowite wpływy budżetowe w tym samym roku zamknęły się kwotą ok. 420 mld zł. Podatek CIT gwarantuje więc państwu 10% obecnych przychodów. Jeżeli w powyższej kalkulacji

Niektóre spółki, np. Empik czy Canal+ Polska, w ogóle nie płacą podatków.

wzoględnym lukę CIT (zwykłą i polityczną), która wynosi łącznie ok. 29 mld zł, to podatek CIT mógłby gwarantować wpływy w wysokości ok. 70 mld zł, czyli ok. 17% całkowitych przychodów budżetowych. Jaki płynie z tego wniosek? Opodatkowanie spółek jest jednym z ważnych elementów pożądanej reformy polskiego systemu podatkowego, ale

to zbyt mało, aby mówić o sukcesie. W ostatnich latach obserwujemy konsekwentne osłabianie państwa dobrobytu w Polsce. Zamiast tego następuje prywatyzacja wielu usług publicznych, a obywatelom oferuje się transfery gotówkowe, aby mogli zapłacić za ochronę zdrowia czy edukację na wolnym rynku.

Opodatkowanie globalnych korporacji może się okazać możliwe, jeżeli porozumienie podpisane przez 130 państw zrzeszonych wokół OECD wejdzie w życie. Państwa te stanowią aż 90% światowej gospodarki.

Na drodze do tego stoi jednak kilka przeszkód. Po pierwsze, niektóre kraje (w tym Polska i Węgry) nie zgadzają się na wprowadzenie minimalnego podatku CIT, jeżeli w tym samym momencie nie zostanie zrealizowany pierwszy filar reformy (dotyczący relokacji praw podatkowych). Tyle że ów pierwszy filar wymaga zmiany międzynarodowych traktatów, więc mało prawdopodobne, aby prędko wszedł w życie. Na reformie OECD polski budżet mógłby zyskać 8 mld zł. To ok. 22% wpływów z CIT, ale jedynie 2% dodatkowych wpływów podatkowych ogółem.

Polski rząd powinien wspierać jak najszybsze wprowadzenie reformy, ale Ministerstwo Finansów obawia się, że wdrożenie wyłącznie jej drugiego filaru osłabi konkurencyjność podatkową polskiej gospodarki. Podobne obawy zgłaszają inne kraje Unii Europejskiej. Dodatkowo istnieje ryzyko, że prezydent Joe Biden nie wygra kolejnego głosowania w Kongresie nad ustawą The Build Back Better, na skład której wchodzi również rozwiązanie podatkowe z porozumienia OECD. W tym wszystkim brakuje jednak szerszego spojrzenia. Konkurencyjność podatkowa zubaża budżety wszystkich gospodarek, a preferencyjne traktowanie zagranicznych przedsiębiorstw nie odegrało dotychczas swojej roli.

O reformie fiskalnej państwa musimy zatem myśleć kompleksowo. Niestety, polski rząd ulega naciskom biznesu, a to cementuje niekorzystne *status quo*. Pozostaje mieć nadzieję na lepszą przyszłość. Z państwem dobrobytu z prawdziwego zdarzenia. Ale nadzieja bywa matką głupich.

Nikodem Szewczyk

W latach 2015-2019 spółka Orange Polska zapłaciła 77 mln zł podatku CIT, równocześnie otrzymując pomoc publiczną wartą 766 mln zł.

z płatnościami. O ile więc uzasadnione jest oburzenie się na duże zagraniczne podmioty, które unikają płatności podatkowych, o tyle warto pamiętać, że nie są one największym problemem.

Luka wyliczona przez Polski Instytut Ekonomiczny nie uwzględnia jednak preferencji występujących w systemie podatkowym. Co to oznacza? Państwo oferuje spółkom ulgi na działalność gospodarczą, obniżone stawki CIT czy możliwość odliczania strat z lat ubiegłych. Rozwiązania tego typu nie stanowią nieuzasadnionego obniżenia płatności podatkowych, zmniejszają jednak wpływy z podatku CIT, więc tworzą dodatkową lukę podatkową. Najczęściej nazywa się ją luką polityczną. Polski Instytut Ekonomiczny wskazuje, że taka luka wyniosła w zeszłym roku 7,2 mld zł, czyli prawie

zdecydowanie niejedynym. Bez kompleksowego podejścia do systemu nie uda się znacząco poprawić zdolności fiskalnych Polski. Tym samym trudno oczekiwać, że w najbliższym czasie nad Wisłą pojawi się państwo dobrobytu z prawdziwego zdarzenia.

Sytuacja jest niejednoznaczna. Z jednej strony, chaos wywołany podatkowym skomplikowaniem Polskiego Ładu jest tymczasowy. Równocześnie reforma ta nakreśla dobry kierunek dla dalszych zmian. Zmniejsza opodatkowanie najniższych dochodów i wykreśla część nieuzasadnionych przywilejów podatkowych dla przedsiębiorców. Niestety, na tym plusy się kończą. Z drugiej strony, Polski Ład to sumarycznie obniżka podatków, czyli pomniejszenie zdolności fiskalnych państwa. Nieznacznie bardziej wyrównane rozłożenie obciążeń podatkowych

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Cztery lata temu powiedziałeś, że nie odpuszcisz, i założyłeś fundację na rzecz Europy. Nie po to zagrzewałeś rodaków do udziału w referendum i wstąpienia do Unii, aby teraz biernie patrzeć, jak projekt europejski jest rozmywany. Pracowałeś nad podziw, ale czy nie czujesz rozczarowania, że antyeuropejski kurs PiS się wzmacnia, a opozycja chyba nie zdaje sobie sprawy ze skali zagrożeń?

– Ludzie nie wiedzą, czym jest piśmowski program Europy ojczyzn. PiS celowo zaciera różnicę między Unią Europejską a tzw. Europą ojczyzn. Jarosław Kaczyński mówi: nie wychodzimy z Unii Europejskiej, ale chce ją przekształcić we wspólnotę narodów Europy, czyli taką, w której poszczególne kraje mają absolutną swobodę w ustalaniu wewnętrznych reguł prawa. Wyrażnie zostało to powiedziane na konferencji w Świątyni Opatrzności Bożej, niestety pod patronatem kard. Nycza. Instytut Myśli Schumana z prof. Zbigniewem Krysiakiem na czele próbował wmówić, że Schuman był przeciwnikiem federacji europejskiej – choć to całkowicie sprzeczne z jego deklaracją z roku 1950.

Tak jak nasza konstytucja zobowiązuje obywateli do posłuszeństwa prawu, tak samo każdy nasz obywatel musi przestrzegać traktatów europejskich.

W programie PiS co prawda mowa jest o poszanowaniu traktatów, ale ta formacja ma na widoku nowe traktaty i nową organizację. PiS bełta w głowach swoim wyborcom. Niby deklaruje, że trwa przy Unii, jednak prowadzi się z Marine Le Pen, Orbánem i Salviniem.

Trzeba wyjaśnić wyborcom PiS, że nie jest możliwe zdemonstrowanie tej Unii, jak chce tego PiS, cofnięcie się do EWG, jak sugeruje Konfederacja – EWG była stowarzyszeniem państw bogaczy, nie proponowała słabszym pomocy, funduszy spójności ani wspólnego rynku.

Pytałem premiera Buzka, dlaczego informacja ze strony proeuropejskich ugrupowań pomija różnice między EWG i Unią – pewnie dla europosłów to oczywiste. Trzeba ostrzec rolników,

że skończą się dopłaty. Trzeba ostrzec biznes, że skończy się wolny rynek.

Kto ma to robić?

– W tym sęk. Fundacja i kilku entuzjastów nie dadzą rady.

Sytuacja jest jasna: dążenie do wzmocnienia więzi w Unii w stronę federacji zderza się z dążeniem do rozmontowania Unii. Czarzasty rzucił niedawno takie hasło: na początku chodziło o to, żeby było więcej Polski w Europie, teraz chodzi o to, żeby było więcej Europy w Polsce.

– To hasło całkowicie pasuje do mojej fundacji, od początku wypowiadałem się w tym duchu. Chodziło o to, żeby każdy sobie uświadomił, że jest obywatelem Europy. Obywatelstwo europejskie gwarantują traktaty.

Ale można zapytać, kto jest obywatelem. Wedle Jastrzębowskiego, patrona naszej fundacji, obywatelem jest ten, kto przyczynia się do dobra całego społeczeństwa. Ten, kto myśli o dobru wspólnym, jest obywatelem. Tak jak nasza konstytucja zobowiązuje obywateli do posłuszeństwa prawu, tak samo każdy nasz obywatel musi przestrzegać traktatów europejskich. Konstytucja w art. 91 ppkt 3 stanowi, że prawo traktatowe – jeśli jest w kolizji z ustawami – ma przed nimi pierwszeństwo. Zabełtano nam w głowie, że jest jakaś sprzeczność między prawem europejskim a konstytucją, gdy tymczasem zdarza się sprzeczność między ustawami a prawem europejskim.

To dlatego, nim przystąpiliśmy do Unii, trwały prace nad przystosowa-

niem polskich przepisów do prawa unijnego.

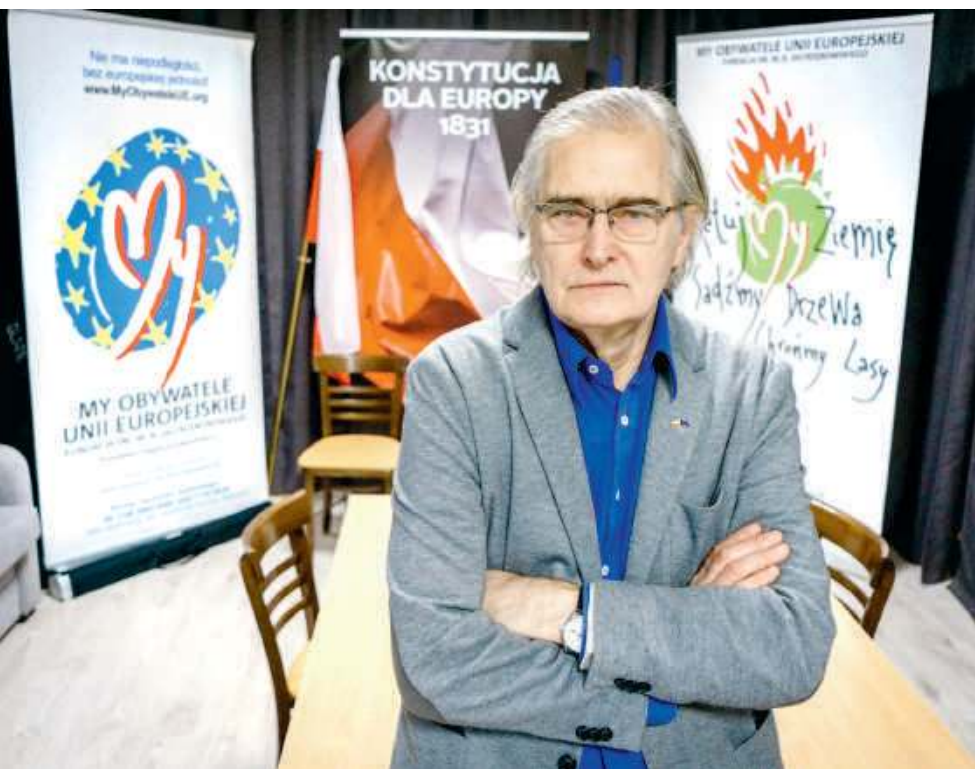
– I dlatego poprosiłem Jana Truszczyńskiego, który nas wprowadzał do Unii Europejskiej, aby odpowiedział na pytanie, do czego zobowiązała się Polska, wstępując do Unii. Powstała w ten sposób broszurka z wykładem pana Truszczyńskiego.

Problemem jest, kto tę broszurkę przeczyta.

– I trzeba zadać pytanie, jakimi narzędziami dysponujemy w dialogu obywatelskim, by tę wiedzę przekazać. Gdybyśmy mieli telewizję, moglibyśmy to stopniowo wyjaśniać, ale jej nie mamy. Ja działałem razem z ekspertami. Odbyłem ponad 100 spotkań w kraju – jeździłem sam i mówiłem, że jestem w identycznej sytuacji jak państwo zebrani w tej sali. Potem postanowiłem się skoncentrować na województwie mazowieckim – w naszej siedzibie wisi mapa, na której widać, w ilu miejscach byliśmy z własnej woli, a wymagało to rozmów z burmistrzami i samorządami z prośbą, aby zorganizowali dzień europejski. Program wyglądał zwykle tak, że z kolegą inscenizowaliśmy fragmenty „Konstytucji dla Europy” Jastrzębowskiego, a potem odbywała się rozmowa z ekspertem, np. Jerzy Stępień był z nami w Jedłance Starej koło Iłży. Przez ponad godzinę pan sędzia wyjaśniał, na czym polega praworządność i w jaki sposób jest ona w Polsce łamana. Podczas kolacji softys z sąsiedniej wsi szepcze mi do ucha: „Panie Olgierdzie, a czego te sądy chcą? Chcą być drugą władzą w Polsce?”. Czyli nie odrobiliśmy lekcji, jak jest skonstruowana demokracja, nie odrobiliśmy trójpodziału władzy.

Czyli co: orka na ugorze?

– To wszystko, co robię, można opisać w dwóch kategoriach:



OLGIERD ŁUKASZEWICZ

– aktor, założyciel My Obywatele Unii Europejskiej
– Fundacji im. Wojciecha B. Jastrzębowskiego

judymowskiej i w kategorii manifestacji, bo jestem znanym aktorem. Manifestacja ma na celu zwrócenie uwagi tych, którzy mogliby coś w tej sprawie zrobić, że wyrwa, która powstała po likwidacji Komitetu Integracji Europejskiej, nie została w żaden sposób wypełniona. Uznano, że weszliśmy do Europy, więc koniec z procesem integracji. A wiadomo było, że ta integracja jest zadaniem.

Tymczasem minister Czarnek w proponowanym szkolem programie podkreśla niepokojące zjawiska w Unii i radzi nauczycielom zwracać na nie uwagę. Raczej więc stawia na dezintegrację niż integrację.

– Zaraz, zaraz. Nie wyjaśniono niewykształconej części naszego społeczeństwa, co to znaczy integracja. Szkoda, że nie zastąpiono jej polskim

słowem, np. scalanie, jednoczenie, które pokazywałoby, na czym polega ten proces. Dzisiaj, kiedy szaleją ceny, wielu ludzi nie wie, co to znaczy inflacja, chociaż dotyczy to ich kieszeni. Wszyscy, którzy chcą racjonalnie rozmawiać z Zachodem, stoją przed zadaniem typowo pozytywnym. Doprowadziłem do tego, że marszałek Adam Struzik powołał Radę do spraw Europejskich – na naszą prośbę w prezydium jest prof. Roman Kuźniar – która wspiera urząd marszałkowski w sprawach proeuropejskich, zwłaszcza w tematach gorących, jest m.in. przeciw podziałowi Mazowsza. Członkowie rady, a są wśród nich naukowcy, byli ambasadory, artyści, dziennikarze, mieli być swego rodzaju emisariuszami, którzy jeżdżą po województwie i spotykają

się z miejscową ludnością. Marszałek Struzik zaapelował do samorządowców o organizowanie dni europejskich, ale w czasach pandemii planowane spotkania nie mogły dojść do skutku.

Wszystko zostało zawieszone?

– Edukacja pozostała zadaniem – na pierwszym posiedzeniu rady od razu padł postulat: szkoły. Swoją drogą, życzę, kiedy słyszę, że edukacja dotyczy wyłącznie dzieci, skoro dorośli nie rozumieją podstawowych słów. Jedyną odpowiedzią jest edukacja permanentna.

Sama fundacja nie jest w stanie objechać wszystkich szkół. Trzeba było pójść do Mazowieckiego Centrum Doskonalenia Nauczycieli i zachęcić centrum do udziału w edukacji europejskiej. Dzisiaj na portalu internetowym centrum można znaleźć materiały pomocne w tej edukacji, a wśród nich materiały filmowe związane z konstytucją Jastrzębowskiego.

Ściągnąłem podstawy programowe wiedzy o społeczeństwie dla szkół podstawowych i udowodniłem, że jeśli tylko nauczyciel chce, może oprzeć się na nich, by tłumaczyć, że postawy patriotyczne spełniają się w dwóch obywatelstwach: polskim i europejskim, i nie ma tu żadnej sprzeczności. Nauczyciel jest zobowiązany wyposażać ucznia w argumentację, żeby był gotów dyskutować o Unii Europejskiej. I teraz jest pytanie, kto chce z tego skorzystać, a kto się zaśłania: Czarnek, Czarnek. I to już polega na odwadze cywilnej.

Ale jest pewien kłopot. Burmistrz Żoliborza zachęcił mnie do spotkania w szkole im. Sempołowskiej, rozmawiamy na podwórku, bo covid, jest 20 osób, i podczas rozmowy podpowiadamy młodym ludziom, że na Żoliborzu mają skarb. Mianowicie mieszkaniowiec Marymontu wymyślił zjednoczoną Europę, idźcie jego śladem na Marymont. I co się okazało? Młodzież myślała, że ja chcę prowadzić kółko teatralne. Ja na to: chętnie wam urządzę „Dziady” w parku Kaskada, w miejscu, gdzie znajdował się Instytut Agronomiczny, w którym przez 22 lata wykładał Jastrzębowski, możemy tam zrobić inscenizację w duchu „Nocy listopadowej”, ale jak będziecie wiedzieli, o czym to jest. Przygotujmy się przez ileś miesięcy do tej treści, bo główną tego osnową będzie „Konstytucja dla Europy” ▶

Wojciech Bogumił Jastrzębowski (1799-1882) – polski przyrodnik, pedagog i krajoznawca, profesor botaniki, fizyki, zoologii i ogrodnictwa w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa na Marymoncie koło Warszawy (wcześniej Instytutu Agronomicznego i Leśniczego), jeden z twórców ergonomii, powstaniec listopadowy, autor jednego z najwspanialszych w historii projektów jedności Europy – „Konstytucji dla Europy” (1831).

► Jastrzębowski. Utwórzmy szkolny Klub Europejski. Tych klubów istniało bardzo dużo w Polsce. Kiedy już było po referendum, kluby wymarły.

Jak mawiał Czepiec w „Weselu”

Wyspiańskiego o panach: „Duza by juz mogli mieć, / Ino oni nie chcom chcieć!”.

– Otóż to. Najważniejsze pytanie brzmi: co zrobić, aby nasi samorządowcy, bo to w nich ostatnia nadzieja, stali się motorem upowszechnienia świadomości europejskiej? Polska ma swoją tradycję zjednoczeniowej myśli europejskiej. Dlatego wymyślił w ubiegłym roku wielkie samorządowe czytanie „Konstytucji dla Europy” Jastrzębowski, w którym wzięli udział prezydent Kwaśniewski, prezydent Komorowski, czytając ze wstępu „Wolne chwile żołnierza polskiego”, i 50 samorządowców.

Wymyślił wielkie samorządowe czytanie „Konstytucji dla Europy” Jastrzębowski, w którym wzięli udział prezydenci Kwaśniewski, Komorowski i 50 samorządowców.

Apelowałem na konwencji marszałków w Lubniewicach, żeby jako beneficjenci – może uszczuplonych przez rząd – funduszy europejskich przyłożyli się do świadomości europejskiej obdarowanych na swoim terenie. I właściwie mój apel znowu jest bez echa. Chodziłoby o utworzenie instytucji łączącej co najmniej kilka samorządów, o charakterze ponadregionalnym, która promowałaby działania proeuropejskie. Czyli to samo, co robi fundacja. Tyle że fundacja dysponuje kwotą 20 tys. zł, a nawet gdybyśmy się starali o projekt europejski i nasz wkład własny stanowiłby jedną trzecią, nie byłoby to środki oszałamiające. Za takie pieniądze nie da się prowadzić poważnej promocji i edukacji.

Chodzi więc o instytucję, która byłaby w stanie wywierać rzeczywisty wpływ, ze względu na skalę sił i środków.

– Rząd tego nie robi.

Przynajmniej nie ten.

– A poprzednie rządy zupełnie tego zaniechały.

Bo badania pokazywały, że 80% Polaków kocha Unię, więc po co?

– Kocha, ale wybiera potem do Sejmu partię antyeuropejską. W Sokołce po spotkaniu ze mną pewien starszy pan z pięknym zaśpiewem

podlaskim pyta: „A czemu ty nam pan opowiada o tej Unii, my to wiemy, my tu wszyscy jesteśmy za Unią, ta choćby droga – wszystko dzięki Unii”. Wtedy ja zapytałem: „To dlaczego wybieracie antyunijną partię?”. Tego nie wytłumaczyli nawet kandydaci na prezydenta. Podczas debaty telewizyjnej przed wyłączeniem kamery tylko pan Bosak zdążył obiecać swoim wyborcom: „Wyprowadzę Polskę z Unii”.

Trzeba bić na alarm?

– Dzwony już biją dookoła. Robię, co mogę. Nawet kandydowałem do europarlamentu, mimo że cztery lata temu zarzekałem się w wywiadzie dla PRZEGLĄDU, że nigdy nie będę próbował zostać posłem. Ale przekonano mnie, że to wzmocniłoby moją pozycję w walce o świadomość europejską. Kandydowałem, ale nie

wydrukowałem ani jednego plakatu, byłem na dziesiątym miejscu na liście Wiosny, na pierwszym była Wanda Nowicka, którą cenię za jej walkę o prawa kobiet – wspierałem ją, m.in. czytając podczas spotkań przedwyborczych fragmenty konwencji stambulskiej, nie wiem dlaczego tak odrzucanej i lekceważonej. Okazuje się, że jest słabo znana, a zawiera ważne zalecenia, mówi np. o tworzeniu przez samorządy izb dla kobiet prześladowanych przez mężów – notabene tworzenie takich izb postulował przed laty Bolesław Prus. Ten postulat Wiosny uznano teraz za zbyt radykalny, lewicowy – lewica stała się straszakiem.

Kto straszy?

– Prawica.

A Kościół?

– Mam na pieńku z Kościołem – zbyt często wykorzystuje ambonę do celów politycznych. Budzi to mój sprzeciw.

Nawet kiedy Kościół wspierał przystąpienie do Unii podczas referendum?

– Wspierał w sposób szczególny. Oto co powiedział po pierwszym dniu referendum prymas Glemp – przypomniał, że „niedziela to Dzień Zesłania Ducha Świętego, trzeba się modlić do Ducha Świętego, by oświecić

umysł”. Tak do dzisiaj trzeba by się modlić o oświecenie umysłów episkopatu. Jeżdżąc po Mazowszu, przypominałem fragmenty przemówienia Jana Pawła II – brzmią przejmująco: „Po obaleniu jednego muru powstał drugi mur. Z lęku przed wyznawcami innej religii, przed ludźmi innego koloru skóry”.

Czy wir misji, którą podjąłeś z własnej woli – nawiązując do tytułu naszej książki „Seks misja i inne moje misje” – nie oddala cię od misji twojego życia, czyli od aktorstwa? I od ZASP, któremu przez wiele lat prezesowałeś?

– Przede wszystkim nie zgadzam się z linią, którą obrał ZASP, uznając, że jest głównie organizacją zbiorowego zarządzania. To całkowicie sprzeczne z moimi intencjami – starałem się zbudować w ZASP myślenie o charakterze związkowym, oparte na instytucjach teatralnych. Tymczasem dorobek telewizyjny, audiowizualny zepchnął te instytucje na dalszy plan.

Moi poprzednicy związani byli z etosem profesji aktora, poświęcenia się sztuce. Czuli się obywatelami, brali udział w życiu narodu. Żadnej misji nie wytworzy organizacja zbiorowego zarządzania, dlatego dzisiaj jestem zdystansowany do tej organizacji. Ale płacę składki oczywiście.

A moje osobiste aspiracje artystyczne i możliwości dorabiania do emerytury? Zachowuję aktywność. Dzięki serialom coś zarabiam. Krystyna Janda – zdziwiona, że jestem wolny, zaprosiła mnie do „Alei Zasłużonych” w Teatrze Polonia, rola niewielka...

...ale jak tam pięknie mówisz wiersz! Zachwycająco.

– Teraz Krzysztof Warlikowski zaprosił mnie do spektaklu „Francuzi” – obejmuję rolę zmarłego Zygmunta Malanowicza. Rola nie jest duża, ale przysporzyła mi szumu w głowie, cieszę się na towarzystwo tak znanych koleżanek i kolegów.

Niemniej jednak to wszystko jest na drugim planie. Życia mam tyle, ile mam. Muszę poważnie myśleć, co zostanie po mnie. Kiedy wnuk będzie mnie odwiedzał w domu starców, może mi zadać kłopotliwe pytanie: Dziadek, Polska stawiała się nacjonalistyczno-katolickim, zamkniętym, zacofanym krajem. Co wtedy robiłeś?

Tomasz Miłkowski

Z Galicji



Jan Widacki

Sejmowa komisja śledcza

Piąta fala pandemii rozpęda się, rząd wykonuje tylko działania pozorne, ponieważ boi się swojego elektoratu, w dużej mierze antyszczepionkowego. Rozpęda się też inflacja, i to z dynamiką niewiele mniejszą od pandemii. Tymczasem polskiego inteligenta (bo reszta społeczeństwa ma to raczej w nosie) zajmują teraz dwie inne kwestie. Pierwsza to: wejdą – nie wejdą? Tym razem nie do nas, przynajmniej na razie, lecz na Ukrainę. I druga: czy powstanie sejmowa komisja śledcza w sprawie Pegasusa. Nawet temat białoruskiej granicy i gonionych po lasach uchodźców jakoś przestał być ważny.

„Wejdą – nie wejdą” to problem ważny, ale w tym momencie nie mamy na niego wpływu. Na razie jest to amerykańsko-rosyjski poker, w którym Joe Biden i Władimir Putin coś licytują. Na dobrą sprawę nawet nie do końca wiemy co. Ale i w tej licytacji jedność Europy okazuje się wątpliwa. Niemcy nie bardzo palą się do ewentualnych dalszych sankcji, chętnie już skorzystaliby z Nord Stream 2. Nie bardzo też palą się do udzielenia Ukrainie pomocy w formie sprzętu wojennego (ostatecznie zdecydowali się podesłać Ukraincom trochę hełmów, może jeszcze jakieś buty lub rowery). Nawet prezydent stosunkowo niedawno przyjętej do NATO Chorwacji odgraża się, że wycofa wojska chorwackie, choć nie bardzo wiadomo skąd, bo o ile wiem, nie ma ich nigdzie poza Chorwacją. Z NATO wycofa? Zresztą w licytacji Biden-Putin temu pierwszemu już się chlapnęło, że reakcja (USA? NATO?) będzie zależna od skali agresji. Czyli taka „mniejsza” agresja na Ukrainę będzie do strawienia? Obawiam się, że Putin licytuje rozważnie. Co będzie, czas pokaże. Pamiętać jednak trzeba, że w dalszej perspektywie Ameryka musi się dogadać z Rosją, bo problemem dla jednych i drugich są Chiny.

Drugi aktualny problem polskiego inteligenta to sejmowa komisja śledcza w sprawie użycia Pegasusa. Już się wydawało, że powstanie, że opozycja się dogadała, że udało się do tego pomysłu skaptować Kukiza (bez niego i jego dwóch kolegów opozycja nie będzie miała większości i niczego nie powoła). Kukiz się zgodził, ale chce badania nie tylko użycia Pegasusa, ale wszystkich podsłuchów i podglądów, poczynając od 2005 r. Chcąc nie chcąc, przyjęto ten szalony i niebezpieczny pomysł. Dlaczego szalony i dlaczego niebezpieczny, o tym za chwilę. Teraz Kukiz zrozumiał, że jest na fali i może dyktować warunki. Zażądał, by to on stanął na czele komisji. Tu opozycja ma zgryzotę. Po pierwsze, walory intelektualne Kukiza znane są nie od dziś, na pracy służb specjalnych zna się zapewne nie mniej niż na polityce, a jak się zna na polityce i na funkcjonowaniu państwa, już nieraz można było się przekonać. Po drugie, Kukiz jest nieprzewidywalny. Nie wiadomo, co, w którym momencie i w którą stronę nagle mu odbije. Nawet jeśli komisja powstanie, to badając „kontrole operacyjne” od 2005 r., do końca kadencji Sejmu do zakupu Pegasusa nie dojdzie. A po drodze ujawni całą masę tajemnic naprawdę istotnych dla bezpieczeństwa państwa. Poza tym jak to praktycznie

zrealizować? Albo nie wyjdzie się poza niewiele mówiące ogólne, np. ile było zarządzanych kontroli operacyjnych w danym roku, w ilu procentach przypadków sądy odmówiły zgody (tak, w procentach, bo obawiam się, że nawet liczby bezwzględne nie będą ujawnione), albo poujawnia się tajemnice państwowe, bo każdy przypadek trzeba będzie badać osobno, jak bowiem inaczej ustalić, kiedy podsłuch był stosowany zgodnie z prawem, a kiedy z jego naruszeniem?

Poza tym mamy już doświadczenie z sejmowymi komisjami śledczymi. Było ich wiele. Czy ktoś potrafi je wszystkie wyliczyć z pamięci? Czy z pracy którejkolwiek komisji wynikło coś pozytywnego dla państwa? Jaki był rzeczywisty dorobek dotychczasowych komisji śledczych? Stanowiły one dodatkowe forum „nawalanki” między władzą a opozycją, wylęgarnię teorii spiskowych, insynuacji, pomówień. Okazję do wylansowania się dla rozmaitych politycznych kreatur. Niby dlaczego tym razem miałyby być inaczej? Temat badań do takich celów nawet bardziej wdzięczny niż dotychczasowe. Ale obawiam się, że ze szkodą dla państwa. Nie dla państwa PiS, lecz dla państwa polskiego. Uważam, że większy pożytek byłby, gdyby powołano komisję, która przygotowałaby przepisy regulujące używanie przez służby techniki operacyjnych i stworzyła realne, a nie tylko takie jak dziś obowiązujące, iluzoryczne mechanizmy kontroli sądowej nad nimi. Byłoby to dla dobra państwa i jego obywateli w przyszłości. Ale politycy mają inne cele. Gdyby nie to, że wiem, jaką szkodą dla przyszłości państwa musi to się skończyć, uznałbym, że komisja śledcza pod przewodnictwem Kukiza może być nawet zabawna.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Jan Widacki, Anna Szuba-Boroń

Sprawy o szpiegostwo przed sądami wileńskimi w okresie II RP
Oficyna Wydawnicza AFM, Kraków 2020

„Niewiele wiadomo o dokonaniach polskiego wywiadu i kontrwywiadu w XX-leciu międzywojennym (...). I choć ostatnio kilka opracowań tego tematu się pojawiło, to jednak książka Jana Widackiego (napisana wspólnie z Anną Szubą-Boroń), opisująca niezwykle rzetelnie i szczegółowo działania sowieckiego wywiadu cywilnego GPU i wojskowego Armii Czerwonej (...), jest rzeczą, bez której autorzy scenariusza opisuującego tamten czas, nie dadzą sobie rady. Są więc tajnopisy, ataki terrorystyczne, tajne obserwacje i księgi szyfrów. Słowem: ekscytujący szpiegowski anturaż, tyle że podany naukowo i profesjonalnie” (Konrad Trojański, „Kraków”).



Czczyciele zbrodniarzy

Czy IPN jest gotów sprawdzić poglądy swoich pracowników?

Jakub Woroncow

16 grudnia 2021 r. śledczy IPN przesłuchali redaktorkę portalu Jewish.pl Katarzynę Markusz. Instytut sprawdzał możliwość popełnienia przestępstwa podważania zbrodni nazistowskich na Polakach poprzez wpis o treści: „Dla Polaków nie powstały nigdy obozy masowej zagłady, w czasie wojny mogli chodzić po ulicach, pracować, żyć. Nikt ich nie zabijał za to, że są Polakami. Polskich Żydów zginęło 90%, a etnicznych Polaków 10%”. Wpis był mocny, ale zawiera on informacje prawdziwe. Prawdą jest, że niemiecki okupant odmawiał Polakom wszelkich praw, a eksterminacją objął polską inteligencję i część społeczeństwa, jednak to Żydzi jako naród zostali poddani najpierw koncentracji i izolacji, a następnie prawie całkowitej eksterminacji.

Tymczasem to w IPN znajdują się osoby, które być może powinny zostać przesłuchane przez prokuratorów tej instytucji w pierwszej kolejności. Dr hab. Tomasz Panfil twierdzi, że sytuacja Żydów w czasie okupacji niemieckiej nie wyglądała źle, gdyż naziści „zezwolili na tworzenie judenratów, czyli organów samorządu”, podczas gdy Polaków „pozbawiono wszelkiej możliwości

W IPN są osoby, które powinny zostać przesłuchane przez prokuratorów tej instytucji: dr hab. Tomasz Panfil, dr Tomasz Greniuch, dr Mariusz Bechta, Arkadiusz Wingert.

organizowania się”. Jego były doktorant Tomasz Greniuch nazywa belgijskiego kolaboranta i esesmana Léona Degrelle’a „bojownikiem o tacińską Europę”. O Żydach pisał natomiast: „W zamierzonych czasach usłyszałem następujące pytanie: Czy Żydzi są ludźmi? Po tym, co robią kolejny raz w Palestynie, odpowiedź nasuwa się sama. Człowiek nie jest zdolny do takiego barbarzyństwa. Przetrawienie tego plemienia



Od lewej: Tomasz Panfil, Tomasz Greniuch oraz Jan Żaryn podczas spotkania w lubelskim IPN, 2018 r.

musi być pomyłką ewolucji”, a o salucie rzymskim: „Pozdrowienie aryjskiej Europy, wzniesiona ku słońcu prawica, nie jest gestem zamawiania piwa czy gestem szukania muchy na suficie”.

Pracownik Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie dr Mariusz Bechta zajmował się w przeszłości

walczyć z Sowietami”¹. Szacuje się, że uczestniczące w ludobójstwie Żydów Łotewskie Bataliony Policyjne, z których rekrutowano ochotników do legionu, odpowiadają za śmierć 26 tys. osób.

W IPN na wysokim stanowisku wicedyrektora wydawnictwa od 2017 r. pracuje Arkadiusz Wingert. Jego prywatne wydawnictwo z Międzyzdrojów opublikowało m.in. uznawane za mitomańskie wspomnienia Degrelle’a z frontu wschodniego czy pseudonaukową książkę „Homeopatia. Więcej niż leczenie: zasady leczenia, zależności społeczne i duchowe, przypadki z praktyki”, której autorem jest Jiří Čehovský. O ile wydanie źródeł historycznych może się obronić, o tyle nie sposób przemilczeć kontrowersji. Na przykład książki Josefa Fraisa, który pod pseudonimem Helmut Nowak publikował w Czechach fabularne wspomnienia żołnierza Wehrmachtu z frontu wschodniego², przedstawione są w wersji polskiej jako źródło historyczne. Wingert wydał też „Wśród asów Panzerwaffe”

dystybcją muzyki tworzonej przez neonazistów i wydawał pierwsze tłumaczenia prac Degrelle’a, do którego stosunku nie ukrywał także jako pracownik swojej instytucji. Jego wyższy rangą kolega z BBH, dr Wojciech Muszyński, twierdził, że Łotewski Legion SS „był stworzony, by walczyć z okupantem sowieckim. Nie po to wstępowano do Legionu Łotewskiego, aby mordować Żydów czy Polaków, tylko po to, aby

Franza Kurowskiego. Autor ten w swoich pracach milczy na temat jakichkolwiek zbrodni formacji wojskowych III Rzeszy, których walkę opisuje w tonie apologetycznym. Neguje również ludobójstwo ludności żydowskiej, a jego książki w Niemczech wydaje przeważnie skrajna prawica. Niemiec wywarł wielki wpływ na Brytyjczyka Davida Irvinga, który jest najśłynniejszą postacią współczesnego środowiska negacjonistów Holokaustu, a którego prace także wydawał obecny wicedyrektor Wydawnictwa IPN. W 1977 r. Irving w książce „Wojna Hitlera” postawił tezę, że wódz III Rzeszy miał nie wiedzieć o eksterminacji Żydów w Europie. Na odwrocie okładki edycji Wingerta można znaleźć szkic biograficzny, który trudno określić inaczej niż jako apoteozę autora i jego książki: „Jej publikacja wywołała protesty organizacji żydowskich i lewackich”. Irvingowi wytykano manipulację m.in. poprzez stwierdzenie, że brak pisemnego rozkazu wymordowania Żydów przez Hitlera jest dowodem na to, że taki rozkaz nigdy nie padł. Jeszcze gorzej przyjęło jego późniejsze prace, w których wbrew wszelkim źródłom zaniżał liczbę ofiar Holokaustu, negował istnienie komór gazowych lub twierdził, że większość Żydów zginęła na skutek bombardowań alian-tów. Publicznie nazywał Żydów, Romów, homoseksualistów i komunistów „ścierwem ludzkości”. W 2009 r., gdy Wingert wydawał polskie tłumaczenie „Wojny Hitlera”, Irving nazwał Hitlera „największym przyjacielem, jakiego Żydzi mieli w III Rzeszy”.

Czy w obliczu tych faktów IPN ma jeszcze mandat do przesłuchiwania kogokolwiek pod kątem negowania zbrodni nazistowskich? A może należałoby zacząć od weryfikacji kompetencji niektórych pracowników IPN i sprawdzenia ich pod kątem łamania prawa?

¹ web.archive.org/web/20170125183149/https://prawy.pl/44874-ekspert-ipn-ukrainie-będzie-potrzebna-denazyfikacja/

² www.slovníkceskéliteratury.cz/showContent.jsp?docId=1224

24 lata walki mieszkańców o ulicę Związku Walki Młodych

W 2017 r. na fali dekomunizacji, już kolejnej, ówczesny wojewoda Zdzisław Sipiera zgłosił do zmiany nazwy 47 ulic Warszawy. Na liście znalazła się również moja ulica na Ursynowie – Związek Walki Młodych (ZWM). Osobiście, jako przewodniczący, broniłem nazwy ZWM w ramach Społecznego Komitetu Obrońców.

W tej roli występowałem też znacznie wcześniej, już w 1998 r., przed wojewódzkim sądem administracyjnym. Wówczas to Rada Warszawy na wniosek ówczesnego prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego podjęła uchwałę o zmianie nazwy ulicy ZWM na Jana Józefa Szczepańskiego. Zgodnie z wolą zdecydowanej większości mieszkańców tej ulicy (2,2 tys. osób i instytucji prawnych) obroniłem pozostawienie dotychczasowej nazwy, powołując się na zapisy Europejskiej Karty Samorządu Lokalnego (Dz.U. 1994 nr 124 poz. 607). Zakłada ona obowiązkowe konsultacje z mieszkańcami, a takowe się nie odbyły. W WSA wygraliśmy jako mieszkańcy!

Radość trwała krótko, bo wkrótce ukazała się zdecydowanie ostrzejsza ustawa dezubekizacyjna. Nie uwzględniała ona przepisów prawa unijnego, w tym obowiązku konsultacji. Ustawa ta likwidowała każdą peerelowską i komunistyczną nazwę ulicy czy placu, jak również pomniki.

Likwidacja nazwy ulicy ZWM trafiała więc ponownie na wokandę WSA. Tym razem, mimo dużego oporu mieszkańców, przegraliśmy.

Wojewoda mazowiecki, nie czekając na uprawomocnienie się wyroku WSA, natychmiast wydał swoje rozporządzenie do wszystkich jednostek prawnych na terenie Ursynowa. Tym samym wymusił zmiany adresów z ulicy ZWM na ulicę Andrzeja Romockiego „Morro”. Koszt zmiany w kasach fiskalnych wynosił 1,5 tys. zł. Każdy przedsiębiorca poniósł też inne koszty, związane np. z wymianą pieczętek. Od SBM Stokłosy wojewoda zażądał zmiany tablic informacyjnych. To rygorystyczne zarządzenie wojewody zostało przez wszystkie jednostki prawne natychmiast wykonane.

W tym czasie m.in. na skutek działań Społecznego Komitetu Mieszkańców do Naczelnego Sądu Administracyjnego została skierowana apelacja od wyroku

WSA. I tym razem 7 grudnia 2018 r. wygrali mieszkańcy! Wojewoda Radziwiłł jednak nie odwołał bezprawnego wcześniejszego zarządzenia o zmianie nazwy ulicy ZWM na nową. Powstał bałagan prawny, bo zaczęły funkcjonować dwie nazwy tej samej ulicy.

Do dzisiaj otrzymuję korespondencję urzędową zaadresowaną na ulicę Andrzeja Romockiego „Morro”. Takiej nazwy nie ma w Warszawie. Niestety, nie wie o tym Poczta Polska. Pytam więc wojewodę i Poczta:

1. Jakim prawem Poczta Polska dostarcza pisma z adresem Andrzeja Romockiego „Morro”, skoro w Warszawie nie ma takiej ulicy?
2. Kiedy tę sprawę uporządkuje wojewoda Radziwiłł, kiedy unieważni swoje bezprawne rozporządzenie nakazowe po wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego?
3. Czy i kiedy wojewoda Radziwiłł zwróci koszty zmian nazwy ulicy SBM Stokłosy i przedsiębiorcom?
4. Czy wojewoda przeprosi 2,2 tys. mieszkańców i jednostki prawne za wywołany bałagan prawny?

W imieniu mieszkańców i przedsiębiorców z ulicy ZWM Sławomir Litwin, wiceprezes RN SBM Stokłosy

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Polski Ład składa się z kręactw, szachrajstw, oszukaństw, kanciarstw, łgarstw, szalbierstw, oszustw i bałamuctw.



#AniJednejWięcej

Prawo znowu zabija kobiety

Agnieszka trafiła do szpitala w pierwszym trymestrze ciąży bliźniaczej. Lekarze zwlekali z usunięciem obumarłych płodów



Anna Stachowiak

Protest zorganizowany przez Strajk Kobiet przed biurem PiS w Krakowie w związku ze śmiercią 37-letniej Agnieszki T. 26 stycznia 2022 r.

Informację o śmierci Agnieszki i jej tragicznych okolicznościach podała do wiadomości publicznej 26 stycznia rodzina. Siostra bliźniaczka Wioletta w mediach społecznościowych mówiła o tym, jak jej szwagier błagał lekarzy, by ratowali jego żonę. Rodzinie, jak podaje, utrudniano dostęp do dokumentacji medycznej.

Agnieszka „trafiła do Wojewódzkiego Szpitala w Częstochowie na Oddział Ginekologii w dniu 21 grudnia 2021 r. z powodu pogarszających się bóli brzucha i wymiotów. Wcześniej lekceważono jej skargi,

mówiąc, że to ciąża bliźniacza i ma prawo tak boleć”, pisze w apelu rodzina. Kobieta była w coraz gorszym stanie. 23 grudnia obumarł pierwszy płód, siedem dni potem – drugi. Przez tydzień nosiła martwy płód. Dwa dni po obumarciu drugiego wykonano zabieg. W tym okresie jednak był czas na to, by sprowadzić księdza i odprawić pogrzeb płodów. Jak pisze rodzina, Agnieszka – na co wskazywały podwyższone wyniki – miała stan zapalny, prawdopodobnie sepsę. Jej stan się pogarszał, w końcu trafiła na neurologię. 25 stycznia

zmarła. „Do końca miałam nadzieję”, mówi jej siostra.

Sprawę bada prokurator. W szpitalu zostanie przeprowadzona kontrola, choć prof. Krzysztof Czajkowski, konsultant krajowy w dziedzinie ginekologii i położnictwa, podkreśla w rozmowach z mediami, że należy wstrzymać się z oceną, nie wiadomo bowiem, czy doszło do zaniechania ze strony lekarzy. Szpital opublikował oświadczenie, w którym stwierdza, że „lekarze rozpoczęli indukcję mechaniczną i farmakologiczną. Pomimo zastosowania wyżej wymienionych

środków brak było odpowiedzi ze strony pacjentki pod postacią rozwierania się szyjki i skurczów macicy. W dniu 31.12.21 r. stało się możliwe wykonanie poronienia. Zabieg przeprowadzono w znieczuleniu ogólnym". Dyrekcja szpitala pisze także o tym, że w trakcie całego pobytu Agnieszki w szpitalu jej stan był monitorowany. Pojawia się również informacja, że 23 stycznia została zaintubowana z powodu duszności i spadku saturacji. Z badań wynikało, że była zarażona koronawirusem.

Rodzina zapowiada jednak, że winnych śmierci Agnieszki pociągnie do odpowiedzialności. „Bardzo po-

Federa – „pozostaje nam jedynie domyślać się, o ilu kobietach, które straciły zdrowie i życie w wyniku tego nieludzkiego zakazu, nie usłyszeliśmy". W federacji telefon dzwoni nieustannie, a przerażone kobiety, którym odmówiono aborcji – nawet kiedy zagrożone jest ich zdrowie i/lub życie – proszą o pomoc. „Dzień w dzień odbieramy kilkadziesiąt połączeń od osób z całego kraju, a we wszystkich wybrzmiewa ta sama prośba: pomocy", mówią aktywistki.

W podobnym tonie wypowiada się Strajk Kobiet: „Ile trumien przygotować? Dziś złożymy rodzinie zmarłej Agnieszki kondolencje.

Julio, Jarosławie, Zbigniewie, zamieniliście Polskę w getto ciąży, porodówki – w sale tortur.

trzebujemy sprawiedliwości i będziemy jej szukać. Złożyliśmy skargę do Rzecznika Praw Pacjenta i zawiadomienie do prokuratury. Chcemy uczcić pamięć mojej ukochanej siostry i ochronić inne kobiety w Polsce od podobnego losu", mówi siostra Agnieszki w oświadczeniu opublikowanym na Facebooku.

Pełnomocniczką bliskich została mecenas Kamila Ferenc z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, opiekuje się nimi także Ogólnopolski Strajk Kobiet. Obie organizacje nie mają wątpliwości, że Agnieszka – podobnie jak Izabela z Pszczyny i Anna ze Świdnicy – padła ofiarą drakońskiego prawa. W rocznicę opublikowania wyroku trybunału Julii Przyłębskiej z 22 października 2020 r. – tego, który, uznając za niezgodną z konstytucją przesłankę embriopatologiczną, zezwalającą na usunięcie ciąży z powodu wad/uszkodzeń płodu, wprowadził *de facto* zakaz aborcji – Federa pisała: „Za nami rok od najbardziej brutalnego ataku na prawa człowieka we współczesnej historii Polski. Rok bólu, przerażenia i cierpienia dziesiątek tysięcy kobiet".

Federa, podobnie jak Strajk Kobiet, który wyprowadził na ulice setki tysięcy protestujących przeciwko barbarzyńskiemu prawu, od początku ostrzegała, że „jego skutkiem będą zgony pacjentek w szpitalach". Te przewidywania się sprawdziły. Wiemy o trzech niepotrzebnych, tragicznych śmierciach, ale – podkreśla

Czy dołączycie, Julio, Jarosławie, Zbigniewie? Chodźcie do nas. Powiemy wam, czym jest zakaz aborcji. Rządzi bezprawie i śmierć. Zamieniliście Polskę w getto ciąży. Porodówki – w sale tortur".

– Wszyscy i wszystkie mamy poczucie klęski – protesty przeciwko zakazowi aborcji w 2020 r. nie dotyczyły abstrakcyjnego kształtu prawa, tylko LUDZKIEGO ŻYCIA – mówią aktywistki. – To były protesty przeciw skazywaniu na śmierć. Tym razem Agnieszka. Zakazem aborcji pisowcy zgotowali jej agonię w męczarniach i śmierć. Kolejny raz mówimy – nie tylko fundamentalistom, nie tylko Kościołowi, nie tylko prawicy – zakaz

Agnieszka – podobnie jak Izabela z Pszczyny i Anna ze Świdnicy – padła ofiarą drakońskiego prawa.

aborcji zabija. Każdy i każda, kto go popiera, ma dziś na rękach krew kolejnej osoby.

Obowiązujące w Polsce po wyroku Trybunału Konstytucyjnego prawo aborcyjne jest najbardziej restrykcyjne w Europie – obok Malty, gdzie obowiązuje bezwzględny zakaz aborcji. W Polsce teoretycznie zostały dwie przesłanki – kiedy zagrożone jest życie i/lub zdrowie kobiety oraz kiedy ciąża jest następstwem czynu zabronionego.

Z danych udostępnionych Federacji na rzecz Kobiet i Planowania

Rodziny przez Ministerstwo Zdrowia wynika, że w roku 2020 przeprowadzono w polskich szpitalach 1074 aborcje. To nieco mniej niż w 2019 r., kiedy wykonano 1110 terminacji ciąży z przesłanek przewidzianych ustawą przed zmianą z 22 października. Jak podkreśla Krystyna Kacpura, szefowa Federy, różnica w porównaniu z rokiem 2019 i latami poprzednimi jest niewielka. Po decyzji TK niektóre szpitale zaczęły jednak odmawiać kobietom przeprowadzenia legalnej aborcji, zabiegu wykonywanego w ramach NFZ. – Szpitale robiły to samowolnie natychmiast po ogłoszeniu tzw. wyroku, gdy nowa wersja ustawy jeszcze nie obowiązywała, bo to nastąpiło później, kiedy ogłoszono ją w Dzienniku Ustaw – zwraca uwagę Krystyna Kacpura.

Organizacja szacuje, że co roku w Polsce przeprowadza się 100-150 tys. aborcji, więc statystyki rządu, który mówi o „ochronie życia" i „prawie do życia" płodów z wrodzonymi, nieuleczalnymi wadami, nijak się mają do rzeczywistości.

To jednak nie wszystko, bo wciąż realne są plany kolejnego zaostrzenia przepisów. W listopadzie marszałkini Sejmu Elżbieta Witek skierowała do pierwszego czytania projekt ustawy autorstwa Fundacji Pro Prawo do Życia – fundamentalistycznej organizacji określającej się jako *pro life*, ale będącej w istocie *anti choice*, czyli za odebraniem kobietom prawa do decydowania o sobie i do wyboru. W tym kuriozalnym projekcie, który na razie znajduje się w sejmowej zamrażarce,

pojawia się zapis, że „dzieckiem jest człowiek w okresie od poczęcia do osiągnięcia pełnoletności", a „dzieckiem poczętym jest dziecko w okresie od rozpoczęcia ciąży do porodu", i „kto nieumyślnie powoduje śmierć człowieka, podlega karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do 5 lat". Kary dla kobiet w ciąży przewidziano także w razie spowodowania „ciężkiego uszczerbku na zdrowiu". Co to oznacza? Zrównanie aborcji z zabójstwem.

Agnieszka zmarła 25 stycznia. Osierociła troje dzieci. ■

Między wiarą i niewiarą społeczności akademickiej

W czasie pandemii wyraźniejsza była bierność niż wzmożone zaangażowanie religijne

Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Przeprowadzone przez panią badania religijności społeczności akademickiej Uniwersytetu Warszawskiego miały znaczący tytuł: „Religia źródłem wsparcia?”. Rozumiem, że było to pod wpływem pandemii – jak twoga, to do Boga.

Co z tych badań wynika?

– Tak. Na te badania można patrzeć z kilku wymiarów. Po pierwsze, z perspektywy religijności całej społeczności UW; po drugie – religijności ludzi młodych (młodzieży studiującej); po trzecie – akademików. Jeśli zatem chodzi o całą społeczność, która wzięła udział w badaniu, widać, że jest ona bardzo niereligijna niż religijna. Dla przykładu: zaledwie co piąty uczestnik badania, subiektywnie oceniając swoją religijność, plasuje się jako wysoce religijny (19,7%). Tych całkowicie niereligijnych lub niemal niereligijnych jest zaś ponad połowa (55,4%). Analizując przekonania, można zauważyć podobną tendencję, gdyż co czwarty badany deklaruje brak wiary w Boga albo inną siłę wyższą (26,1%), dla 16,7% jest to problem nierozstrzygnięty. W istnienie siły nadprzyrodzonej wierzy 14,1% badanych. W Boga bez jakichkolwiek wątpliwości wierzy co piąty badany (20,9%), z pewnymi wątpliwościami wiarę tę wyraziło 22% respondentów. W tym kontekście trzeba zaznaczyć, że duży odsetek badanych jednak wierzy w Boga, gdyż łączne ujęcie wskazań dotyczących braku wątpliwości i istnienia pewnych wątpliwości wynosi prawie 43%.

Religijność to jedno, a akceptacja konkretnych prawd wiary to drugie.

– Wiara w dogmaty i zjawiska religijne również sytuuje badanych bardziej w kontekstach niereligijnych niż religijnych, a tym bardziej



DR HAB. EWA STACHOWSKA

– socjolożka, prodziekan ds. studenckich na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego

wysoce religijnych. Przywołajmy dla zobrazowania kilka przykładów. Wiarę w Tróję Świętą zadeklarowało 38,8% badanych, przeciwnie zidentyfikowało swoje przekonania 52,8%. W dziewictwo Matki Bożej wierzy 33,1% badanych, a ponad połowa nie wierzy (55%). W boskość Jezusa wierzy 41,4% badanych, nie wierzy 49,4%. Podobnie ze zmartwychwstaniem Jezusa (41,3% i 49,4%). W obecność Chrystusa w eucharystii wierzy 36,2%, a nie wierzy ponad połowa badanych – 53,6%. Wiarę w niebo wyraziło 42,9%, a przeciwnego

zdania było 47,6%. W przypadku wiary w piekło odsetki były następujące: 38,7% i 52%. Natomiast badani zasadniczo nie wierzą w horoskopy, wróżby, talizmany, uzdrowicieli – tu odsetki odpowiedzi wyrażających niewiarę wynosiły od 85% do 89%.

Czy przekonania religijne mają przełożenie na praktykę?

– Badana społeczność raczej nie uczestniczy regularnie w praktykach religijnych. 31% nie praktykowało w ogóle przed wprowadzeniem ograniczeń. Przynajmniej cotygodniowe uczestnictwo w mszy (lub wspólnych modlitwach) w tym samym czasie wskazało natomiast 28,9%. Owszem, można powiedzieć, że większość badanych uczestniczy w praktykach z różną częstotliwością, lecz niemal co piąty robi to rzadziej niż kilka razy w roku (20,9%). Prawie połowa badanych w ogóle nie modliła się przed wprowadzeniem ograniczeń (45,7%), codzienną modlitwę podejmowało 26,9%. W odniesieniu do czytania Pisma Świętego albo innych ksiąg świętych wygląda to podobnie, gdyż nigdy nie czytało takich pism przed wprowadzeniem ograniczeń 47,5% badanych, regularnie zaś, np. co tydzień, sięgało po nie 13,1%.

W pandemii coś się zmieniło?

– Gdybyśmy zestawili te formy aktywności z czasem obowiązywania ograniczeń, to okazałoby się, że w okresie obowiązywania restrykcji wyraźniejsza była bierność w odniesieniu i do modlitwy, i do czytania świętych ksiąg niż wzmożone zaangażowanie religijne.

Czy ankietowani potrafili spojrzeć szerzej na problem religijności, także na własne postawy?

– Tak. Świadczą o tym odpowiedzi w ostatniej części badania, dotyczącej oceny sytuacji religii oraz Kościoła w Polsce i na świecie z elementami prognoz. Tu zdecydowanie wyraźniej

rysuje się pesymistyczny obraz przyszłości religii i Kościoła. Zdaniem zdecydowanej większości badanych (prawie 81%) coraz więcej ludzi w Polsce będzie odchodziło od religii, coraz więcej osób nie będzie wierzyło w Boga (89,2%). Tradycyjne Kościoły w ocenie większości badanych tracą na znaczeniu (73,8%). Podobnie widzą oni sytuację Kościoła katolickiego, bo umocnienia się jego pozycji w Polsce nie przewiduje prawie 90% badanych. Z drugiej strony badani nie przewidują też, aby chrześcijaństwo w naszym kraju miało zostać wyparte

Spółeczność akademicka jest bardziej niereligijna niż religijna.

przez religie Wschodu, takie jak hinduizm czy buddyzm (78,8%), bądź nowe religie, sekty (68,1%). Negują również ewentualny projekt uniwersalnej religii bez podziału na Kościoły (96,9%). Zbliżone wyniki uzyskano w odniesieniu do pytań o przyszłość Kościoła i religii w skali świata.

Czy profesorowie, wykładowcy mają podobne postawy jak studenci?

– Badanie objęło osoby z co najmniej stopniem doktora habilitowanego i najogólniej wyniki są zbliżone. W wielu pytaniach różnice są zaledwie kilkupunktowe. Dla przykładu przywołajmy subiektywną ocenę religijności, która pokazuje, że akademicy raczej identyfikują się tu jako całkowicie niereligijni lub niemal niereligijni (50,2%), a w mniejszym zakresie widoczne są postawy związane z subiektywną oceną bardzo wysokiej religijności (26,2%). W odniesieniu do przekonania znaczna część badanych wierzy w Boga (prawie 49%), w tym co czwarty (25,4%) wierzy w Boga bez jakichkolwiek wątpliwości. Wiarę w siłę nadprzyrodzoną wskazało 8,6%, a dla niemal 16% jest to problem nierozstrzygnięty. Jeśli chodzi

o wiarę w dogmaty, dostrzegalne jest pewne zdystansowanie. Na przykład wiarę w Tróję Świętą wskazało 43% badanych akademików, negowało tę wiarę 52%. W dziewięć Matki Bożej wierzy 32,6%, a brak wiary wskazało 56,5%. W boskość Jezusa wierzy 44,1%, nie wierzy zaś 49,1%. W zmartwychwstanie odpowiednio: 43,8% i 50,3%, a w obecność Chrystusa w eucharystii 40,7% i 52,8%. W odniesieniu do parawierzeń, takich jak horoskopy, talizmany, amulety, uzdrowiciele, dostrzegalny jest większy sceptycyzm wśród akademików.

Czyli stereotyp Polak katolik słabnie, ale doniesienia o jego śmierci są przedwczesne?

– Badając postawy religijne, zasadniczo koncentrujemy się na obserwowanych spadkach (np. w praktykach religijnych), a także na opisie wiary, że staje się ona np. selektywna, że konstruujemy system wierzeń bądź poglądów na zasadzie menu czy ustawień w przeglądarkach bądź wskazujemy, że nasza religijność ma charakter reprodukowanego wzorca. Idąc dalej, mówimy o zmianach w religijności pomiędzy generacjami, ale nieco rzadziej analogiczną wagę przykładamy do tych obszarów, które po tych zmianach następują. Mówiąc inaczej, tak bardzo przyzwyczajaliśmy się do stosowania sprawdzonych i „przetestowanych” schematów badawczych, że choć wiemy, że religijność się zmienia, zasadniczo nadal stosujemy dotychczasowe kalki. Przykładem niech będzie nasza rozmowa, w której podałam drobną część wyników, ale ustawiając je w znanych schematach. Mogłabym dołożyć wyniki badań z ośrodków krajowych i zagranicznych, które uwytkowałyby zdystansowanie się społeczności akademickiej od tradycyjnego obszaru religijnego. Nie pokazałam, w co ewentualnie wierzą poszukujący i niezdecydowani, których jest 12,8% w całej społeczności, a 7,2% wśród

akademików, a tym bardziej jak na religie zapatruje się wcale niemata zbiorowość niereligijnych.

Czy można na podstawie tych badań sformułować jakieś zalecenia, apel itd.?

– Na pewno są one zachętą do refleksji. Niech będzie nią przywołane na wstępie pytanie „pilotażowe”, brzmiące: „Ogólnie biorąc, jak określiłby(aby) Pan(i) stopień swojej duchowości?”. Okazuje się, że oceniających swoją duchowość jako bardzo wysoką w badanej społeczności było prawie 31%, a tych na przeciwnym biegunie, wyrażającym brak duchowości lub niewielką duchowość – 28%. Wśród badanych akademików odsetki te były następujące: 39,7% i 20% (brak duchowości).

Duchowość przeważa? A w odniesieniu do tu i teraz?

– Pandemia zasadniczo nie wpłynęła na poprawę parametrów religijnych, takich jak praktyki religijne. Raczej odnotowujemy tu wzmocnienie postaw biernych. Można powiedzieć,

Zdaniem 81% badanych coraz więcej ludzi w Polsce będzie odchodzić od religii.

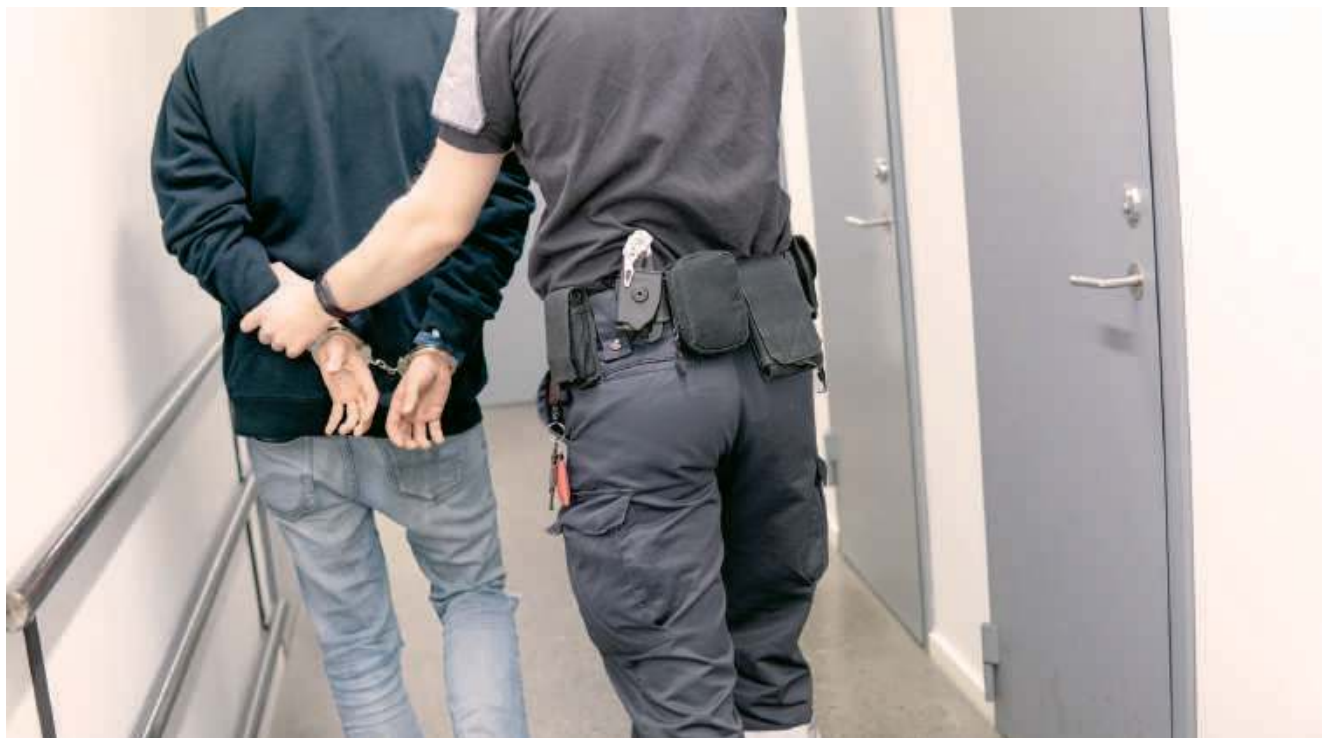
że nastąpiło pewne umocnienie zdystansowania, by nie rzec niereligijności. Niewykluczone, że zarysowany tu trend procesów sekularyzacyjnych i laicyzacyjnych będzie narastał, szczególnie gdy poczyniona przez badanych diagnoza dotycząca przyszłości Kościoła i religii okaże się trafna.

Komentatorzy i publicyści wieszczą gremialne odwrócenie się od Kościoła i religijności w wyniku ujawnionych afer seksualno-pedofilskich. Czy to znalazło odbicie w badaniach?

– Nie, ta kwestia w ogóle nie była poruszana. Natomiast na samą tematykę tego badania wielu respondentów reagowało z dozą irytacji, inni wskazywali brak w nim przestrzeni dla niewierzących, agnostyków i ateistów, jeszcze inni mówili o obojętności bądź radykalnym zdystansowaniu się od problematyki religii i religijności. To chyba można, a nawet należy, uznać za wyłaniający się trend na najbliższe lata.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Badania „Religia źródłem wsparcia? Postawy religijne społeczności akademickiej UW” zostały przeprowadzone w formie ankiety internetowej między początkiem czerwca a połową lipca 2020 r. Obejmowały akademików, doktorantów i studentów. Liczba uczestników badania wyniosła 4,8 tys., z czego 81% stanowili studenci i doktoranci. Zakres tematyczny badania odnosił się przede wszystkim do religijności ujmowanej w takich wskaźnikach jak uczestnictwo w mszy, modlitwa, czytanie świętych ksiąg (pism). Obejmował też subiektywną ocenę religijności i duchowości.



Skrzywdzeni przez system

Nie da się tak po prostu oszacować, ile osób w polskich więzieniach odsiaduje wyroki za nie swoje winy

Ludmiła Anannikova

– A to pani nie zna mojej historii? – Detektyw Marek Bartos dziwi się, kiedy pytam o jego policyjną karierę. Okazuje się, że na początku lat dwutysięcznych sam został niesłusznie oskarżony, o czym było głośno w Polsce Zachodniej i nie tylko. Prokuratura zarzuciła jemu i jego koledze wiele przestępstw, w tym korupcję, czerpanie korzyści z nierządu, obrót fałszywymi pieniędzmi. Groziło im po 10 lat odsiadki.

– Przestępcy tak pana urządzili? – pytam.

– Nie, prawnicy. Zaczęło się od tego, że zgarnęliśmy trzech sędziów za łapówki. Szybko okazało się, że kolejni będą prokuratorzy, którzy zamiast szukać dowodów, umarzali sprawy. Uknuli więc spisek, żeby nas wyeliminować.

W CBS Bartos ścigał gangi za handel narkotykami, porwania i handel ludźmi. Zajmował się również

agencjami towarzyskimi. Odwiedzali je z kolegą często, bo mieli tam swoje źródła informacji. Czasem nawet pili z właścicielem wódkę, żeby wyciągnąć od niego jeszcze więcej.

– Wyszło tak, że kolega w jednej z dziewczyn się zakochał – opowiada detektyw. – Gdy zdecydowali się na ślub, zwolnił się z policji, a ona została w agencji barmanką. On tam cały czas przesiadywał, więc po jakimś czasie szef przybytku zaproponował mu pracę ochroniarza. Na kanwie tej historii zbudowano teorię, że jesteśmy skorumpowani i za darmo korzystamy z usług tych dziewczyn. Znaleźli gangstera, który zeznał, że wzięliśmy z kolegą od właściciela po 40 tys. zł w zamian za ochronę przed odpowiedzialnością karną.

Dzięki swoim informatorom Bartos z rocznym wyprzedzeniem wiedział, że będzie miał sprawę, i kiedy zabrano go na przesłuchanie do Poznania, nie był nawet zdziwiony. Wygarnął prokuratorom, co wiedział. Nikt nie odważył się wsadzić

go do aresztu mimo tak poważnych zarzutów. Jednak kolega trafił za kraty na 20 miesięcy.

Bartosa zawieszono w obowiązkach. Były naciski z góry, żeby go zwolnić z pracy, ale szef Bartosa się nie zgodził. (...) W okresie zawieszenia powinien być dostawać połowę pensji, ale ponieważ wiedział, co się święci, zdążył się ubezpieczyć. Przez kilka lat, aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy w sądzie, ubezpieczalnia wypłacała mu brakującą połowę. Gdyby został skazany, musiałby zwrócić pieniądze, ale nie miał wyboru, musiał zaryzykować.

Bartos przyznaje, że momentami wygrana wydawała mu się niemożliwa.

– Miałem przeciwko sobie prokuraturę, adwokatów, sędziów, Biuro Spraw Wewnętrznych Policji, a nawet Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Przeciwnicy jeździli po moich informatorach, namawiali na złożenie obciążających mnie zeznań – wspomina.

Sprawa trwała cztery lata. Tylko ze wskazania prokuratury w sprawie Bartosa zeznawało 76 osób. Żadna z kobiet pracujących w agencji nie potwierdziła, że świadczyła usługi seksualne detektywowi albo jego koledze.

– Pracowałem dużo, ale uczciwie. Wsadziłem do więzienia setki osób i nigdy nikt nie miał do mnie pretensji

Zdaniem ekspertów przynajmniej dla części osób niesłusznie skazanych w Polsce nie ma dziś żadnej nadziei.

– mówi Bartos. – Co więcej, to przestępcy mnie później wybronił. Był taki Czapa, którego wsadziliśmy z kolegą na sześć i pół roku za narkotyki. Uciekł, więc ścigano go listem gończym. Nagle patrzę, a on wchodzi na moją rozprawę jako świadek. Dzwońnię do kolegów, żeby przyjechali go zgarnąć, a oni, że list został cofnięty. No to pomyślałem, że mu uchyliłi w zamian za to, że mnie obciąży. A gościu staje przy barierce i mówi, że nic nie wie o żadnych łapówkach i nie wierzy, żebyśmy cokolwiek wzięli. I odpowiada, jak pewien pseudodetektyw z Zielonej Góry – nigdy nie miał licencji i koncesji – zorganizował spotkanie z nim i kilkoma gangsterami i namawiał ich na złożenie obciążających nas zeznań. On się na to nie zgodził. Zostałem uniewinniony w Wigilię 2007 r. Prokuratura się nie odwołała, bo sąd nie zostawił na niej suchej nitki, ale odszkodowania żadnego nie dostałem. Uznałem, że nic mi się nie należy, bo jestem policjantem, a policjanta można pomawiać, opluwać i niesłusznie oskarżać.

– A sprawa korupcji wśród prawników?

– Upadła. Przekonali jednego ze świadków, żeby wycofał zeznania. Jedna osoba miała sprawę karną, ale też została uniewinniona. Prokuratorzy się wyslizgnęli.

– Jak pan to wszystko zniósł psychicznie?

– Kończyłem szkołę oficerską, więc mam dobre przygotowanie. Im więcej stresu, tym lepiej działałem. (...) Ale kariera się skończyła, choć wcześniej miałem szanse na awans. Popracowałem jeszcze trzy lata i stwierdziłem, że to już nie jest moja policja. Statystyka wygrywała

z normalną robotą. Już w styczniu było wiadomo, ile w danym roku ma być napadów, rozbojów, gwałtów. Od 10 lat jestem na emeryturze.

– Co pan poradzi tym, którzy zostali niesłusznie oskarżeni?

– Na pewno, jeśli wiedzą, że są niewinni, nie mogą polegać tylko na adwokacie i spokojnie czekać na rozstrzygnięcie. (...)

– Jak pan zatem ocenia dzisiejszą policję?

– (...) Przykro to mówić, ale policjanci są dziś często niedouczeni, nie mają wiedzy praktycznej. Szkolić powinni tacy jak ja, co w drodze na rodzinną imprezę zatrzymywali przestępców na ulicy. A w szkole policyjnej uczą teorii, odfajkowania i zgarnięcia paru złotych nagrody. Nie uczą już logicznego myślenia. Nie wpaja się chęci dojścia do prawdy. Ale też trzeba powiedzieć, że funkcjonariusze są dziś przeładowani, rozlicza ich się ze słupków. I póki tak będzie, nic się nie zmieni.

(...) W Polsce wielu przedstawicieli systemu uważa, że niesłuszne skazania to odosobnione incydenty, wypadki przy pracy. Tymczasem nawet nie wiemy, ile osób spotyka ta tragedia. Już w 2012 r. prawnicy Łukasz Chojniak i Łukasz Wiśniewski,

Niby niewiele, ale ta kwota będzie rosła. Już wiemy, że w lutym 2021 r. sąd zasądził 13 mln odszkodowania i zadośćuczynienia jednej osobie, Tomaszowi Komendzie.

Z kolei z tytułu niesłusznego aresztowania i zatrzymania w ciągu wspomnianych 10 lat odszkodowanie uzyskało ponad 4 tys. osób. Łączna kwota tegoż wynosi 146 mln zł.

Jak łatwo się domyślić, statystyki te nie oddają rzeczywistej skali problemu. Po pierwsze, dlatego że nie każdy niesłusznie skazany czy aresztowany wnosi o odszkodowanie, nie mówiąc już o wygraniu sprawy. Po drugie, nie da się tak po prostu oszacować, ile osób w polskich więzieniach odsiaduje obecnie wyroki za nie swoje winy. Inne kraje dysponują zdecydowanie większą wiedzą zarówno na temat liczb, jak i przyczyn niesłusznych skazań. Według amerykańskich badaczy odsetek niesłusznie skazanych w tamtejszych więzieniach stanowych wynosi 3-6%.

– Naiwnością byłoby myślenie, że u nas jest lepiej – powiedziała mi kiedyś Maria Ejchart-Dubois z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Jeśli ma rację, to w rozsianych po całej Polsce zakładach karnych marny żywot wiedzie kilka tysięcy niewinnych osób. Ile już odsiedziały? Za co? Czy kiedykolwiek odzyskają wolność? (...)

Zdaniem ekspertów, z którymi rozmawiałam, przynajmniej dla części osób niesłusznie skazanych w Polsce nie ma dziś żadnej nadziei. Wedle przepisów prawomocny wyrok może zostać zmieniony jedynie

Kobieta po zdiagnozowaniu COVID-19 zamiast siedzieć w domu, wyszła do sklepu. Przesiedziała w areszcie pięć miesięcy. Po co?

autorzy raportu „Przyczyny niesłusznych skazań w Polsce”, jednego z nielicznych rodzimych opracowań na ten temat, sygnalizowali, że Ministerstwo Sprawiedliwości z niezrozumiałych powodów nie gromadzi tego typu danych. Liczy jedynie, w ilu sprawach wypłacono odszkodowanie i zadośćuczynienie oraz na jaką kwotę. Ostatnie statystyki, do jakich mam dostęp, pochodzą z 2019 r. Prześledziłam więc lata 2009–2019. W tym czasie państwo wypłaciło 445 niesłusznie skazanym osobom 14 mln zł.

w drodze kasacji albo wznowienia postępowania. Jednak zdaniem Marii Ejchart-Dubois w wielu sprawach te sposoby nie działają.

– Żeby wznowić postępowanie, musi pojawić się nowy, istotny dowód, np. ekspertyza DNA albo zeznania, które rzucą nowe światło. A takie sytuacje można uznać za cud – mówi ekspertka. – Przykładem wznowionej sprawy jest sprawa Tomka K., z niepełnosprawnością intelektualną, któremu pomagała nasza fundacja. Został on skazany za zabójstwo 14-letniego chłopca na tle

► seksualnym. Przyznał się, bo policjanci obiecali, że pozwolą mu postrzelać, założyć moro i zapalić. Samooskarżenie było jedynym dowodem w sprawie. Dostał 15 lat, niewiele jak na taką zbrodnię, co samo w sobie mogłoby oznaczać, że sędziowie nie byli pewni jego winy. Po jakimś czasie w okolicy doszło do podobnego zabójstwa jak to, za które K. odsiadywał wyrok. Zatrzymano sprawcę, który przyznał się także do tamtego morderstwa. W pewnym momencie Tomek siedział za zabójstwo, za które równolegle sądzono już rzeczywistego sprawcę, i wina tego drugiego nie budziła wątpliwości. Po trzech latach od skazania Tomka Sąd Najwyższy wznowił jego postępowanie i wydał wyrok uniewinniający. Wielkie *wow*, ale jakim kosztem? W ogóle jeśli chodzi o kasacje, to mało kto w Polsce potrafi ją dobrze napisać. A poza tym przy kasacji Sąd Najwyższy nie zgłębia już faktów, tylko to, czy nie uchybiono procedurom. Skazany może mówić, że jest niewinny, ale na tym etapie to już sądu nie obchodzi.

A przecież Sąd Najwyższy to już koniec bardzo długiej drogi. Dramat zaczyna się dużo wcześniej, już na etapie zabezpieczania miejsca zdarzenia przez policję. Tak przynajmniej twierdzi prof. Ewa Gruza:

Wraz z zakończeniem postępowania sądy często wydają postanowienie o zniszczeniu dowodów.

– To paradoks, bo z jednej strony mamy dostęp do coraz lepszej technologii, możliwość stosowania kamer 3D, a z drugiej oględziny są prowadzone coraz gorzej – mówi ekspertka. – Przychodzi miejscowy policjant i wszystko psuje, bo nie ma pojęcia o zabezpieczeniu śladów. Potem profesjonalna ekipa nie ma czego zbierać.

Zdaniem Ejchart-Dubois mamy również problemy ze zbieraniem dowodów kryminalistycznych.

– Poza badaniami zgodności grup krwi, odciskami palców i ulubionym dowodem zapachowym, który jest kwestionowany przez ekspertów, w ogóle mało co wykorzystujemy. Jeżeli w sprawie zabójstwa gen. Papy, jednej z najważniejszych osób

w państwie, głównym dowodem był niedopałek, który – jak się po latach okazało – został wyrzucony przez policjanta zabezpieczającego miejsce zbrodni, to trudno w ogóle to komentować. Zresztą w Polsce nie umielibyśmy udowodnić niewinności wielu niesłusznie skazanych na podstawie badań DNA, bo u nas w wielu przypadkach dowodów

Polacy są zachłyśnięci przesłuchaniami według wzorców FBI: męcz, wymuszaj, nęčaj psychicznie tak długo, aż podejrzany się przyzna.

DNA po prostu nie ma. A jak już są, to bywają przechowywane w tak złych warunkach, że często w ogóle nie nadają się do identyfikacji. (...) W Polsce wraz z zakończeniem postępowania sądy często wydają postanowienie o zniszczeniu dowodów. Tu kłania się przekonanie o świętości prawomocnego wyroku. Z góry zakłada się, że dowody już nigdy nie będą potrzebne.

Zdaniem prof. Ewy Gruzy kolejnym problemem są stosowane techniki przesłuchania.

– Od 20 lat Polacy są zachłyśnięci przesłuchaniami według wzorców FBI. Czyli męcz, wymuszaj, nęčaj psychicznie tak długo, aż podejrzany się przyzna. Byłam na takim szkoleniu. I powiem szczerze, że też bym

się przyznała. Wiesz, co powtarzają skazani, których tak przesłuchiowano? Że w którymś momencie było im wszystko jedno. Po pięciu, sześciu godzinach bez jedzenia, picia, toalety nawet w pełni sprawny człowiek w końcu pomyśli: „Dobra, powiem, że to zrobiłem, a potem odwołam”. Ale to tak nie działa, bo sąd wierzy w zeznania uzyskane tą metodą.

– Policja i prokuratura również często popełniają błąd tzw. myślenia tunelowego. Zbierają dowody do jednej koncepcji, pod jedną osobę – dodaje prawniczka HFPC. – Nie jest tak, że funkcjonariuszom nie zależy na prawdzie, po prostu działania organów ścigania często są mechaniczne, gubi je rutyna. Spektakularne sprawy zdarzają się naprawdę

rzadko. Najczęstsze polskie zabójstwo wygląda tak, że szwagier dęga teścia nożem kuchennym.

– Przy źle zabezpieczonych śladach trudno znaleźć prawdziwego zabójcę, więc cały proces opiera się na przypuszczeniach i szuka się pierwszego wątku, który pozwoli wyjaśnić sprawę – uważa prof. Gruza. – W większości niesłusznych skazań

jest podobny schemat. Źle wykonane oględziny (...), bezproduktywne śledztwo, a potem tajemnicza notatka wskazująca sprawcę. I wtedy całe śledztwo skupia się tylko na tej jednej osobie. Ogromne znaczenie ma też przywiązanie do statystyk i nastawienie na sukces.

Na jakość postępowania, a także późniejsze błędy – zdaniem ekspertów – wpływają również nie zawsze satysfakcjonujące kompetencje biegłych. (...)

– W sprawach gospodarczych, podatkowych rola biegłego jest ogromna – mówi adwokat Jan Mydlowski. – Jak biegły napisze, że mogło dojść do przestępstwa, to prokurator, choćby nawet miał wątpliwości, skieruje akt oskarżenia. I niech się sąd męczy. A prokurator ma poczucie, że robi dobrze, bo nawet jeśli gościa koniec końców nie skazą, to przynajmniej się nauczy na przyszłość, żeby nie kombinować. Oskarżyciele zawsze znajdą dla siebie usprawiedliwienie.

Mydlowski zwraca również uwagę na problem ze swojego podwórka, czyli trudności w dostępie do adwokata na początkowym etapie postępowania. Upominał się o to również były rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, uważając, że obywatel powinien mieć dostęp do obrońcy od pierwszych chwil po zatrzymaniu. Pozwoliłoby to zapobiec wymuszaniu zeznań i torturom, a jednocześnie nieprawdziwym oskarżeniom kierowanym przez podejrzanych wobec policjantów.

– (...) Choć teoretycznie mam prawo do niezwłocznego kontaktu z zatrzymanym, funkcjonariusze często mi to uniemożliwiają, mówiąc, że decyzję podejmie następnego dnia

prokurator – mówi adwokat. – I klient pozostaje na komendzie przez kilkanaście godzin sam. Wyzwaniem bywa już nawet samo ustalenie, gdzie i przez kogo został zatrzymany. Rodzina często jest w szoku i nawet o to nie zapyta (...). I potem tracę cenne minuty, a czasem godziny na ustalenie tego, gdzie w ogóle mój klient się znajduje.

Zupełnie inaczej jest według Mydłowskiego w Holandii.

– Miałem okazję czytać tamtejsze protokoły. Oni zapisują każde słowo od pierwszej chwili rozmowy, nawet to, jak informują, że ktoś został zatrzymany, i pytanie, czy chce wiedzieć za co. Potem pada pytanie, czy chce adwokata. Jeśli tak, to lepiej, żeby teraz nic nie mówić, a funkcjonariusz pójdzie i zadzwoni po obrońcę. W Holandii policjanci rozumieją, że przepisy nie są po to, żeby utrudnić im życie, tylko żeby zagwarantować obywatelowi sprawiedliwe postępowanie, a im komfort pracy. A u nas, jak przyjeżdża adwokat, to policjanci są rozczarowani. Tak samo prokuratorzy.

Mydłowski wskazuje na jeszcze jeden aspekt: holenderscy policjanci nagrywają swoje przesłuchania.

– U nas rzadko kiedy, chociaż przecież wszyscy mamy telefony i możemy nagrać audio czy wideo. (...) A przepisy są takie, że nagrywać można tylko sprzętem zapewnionym przez ministerstwo, co znacznie utrudnia sprawę. Widać też, że przy obecnej władzy coraz trudniej uzyskać wyrok uniewinniający. Ponad

90% spraw kończy się skazaniem, wzrosła liczba wniosków o areszt, a jednocześnie liczba przestępstw spada. No to za co te areszty? Coś tu się nie zgadza.

Według adwokata zmieniła się wola polityczna.

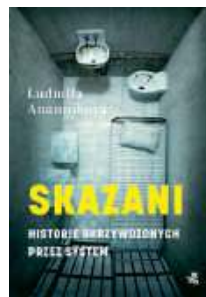
– Od prokuratorów wymaga się, żeby składali wnioski, a od sędziów – żeby je uwzględniali. Często mam poczucie, że łatwiej jest wygrać brak aresztu w sprawie quasi-politycznej niż w przypadku chłopaka, który miał przy sobie trochę marihuany, lub kogoś, kto się nie rozliczył z kontrahentem. Niedawno było głośno o kobiecie, która po zdiagnozowaniu COVID-19, zamiast siedzieć w domu, wyszła do sklepu. Przesiedziała w areszcie pięć miesięcy. Po co? Areszt nie powinien być zastępstwem kary, ma zabezpieczyć śledztwo, żeby nie doszło do ucieczki podejrzanego lub do mataczenia, a tu nie było co badać. Są przypadki, kiedy sędziowie, którzy nie zgodzili się na areszt po głośnych zatrzymaniach, byli przenoszani do innych wydziałów. Po prostu delegowano ich do pracy, której nie chcieli wykonywać. Po odwołaniu się do swoich gremiów byli przywracani, ale przecież chodzi o samą świadomość, że jeśli sędzia zrobi coś wbrew oczekiwaniom władzy, to czeka go kara. Część sędziów dla własnej wygody będzie się dostosowywać do tych oczekiwań.

I nie ma co się dziwić, że potem Holendrzy dyskutują, czy powinni wydawać nam polskich obywateli zatrzymanych na podstawie europejskiego nakazu aresztowania. Widać, że to, co u nas się dzieje, urąga przyzwoitości. Politycy powiedzą, że to kłamstwa totalnej opozycji, ale czy naprawdę holenderscy sędziowie nie mają swojego rozumu? (...)

– Może w Holandii nie ma tak dużego ciśnienia na wynik?

– Też jest, ale tam komendant może oddelegować policjanta do jednego postępowania, a nie dorzucić mu 25. sprawę, żeby w niej ugrzązł, zniszczył sobie zdrowie, relacje rodzinne i przy okazji zastanawiał się, czy zadbać o prawa oskarżonego do obrony i czekać na adwokata, zwłaszcza jeśli musi dojechać z innego miasta. Prokuratorzy też są u nas przeciążeni i nisko opłacani. Muszą pilnować, by wypłynęło tyle samo spraw, ile wpłynęło. W jednej ze spraw powołałem sześciu świadków, którzy mieli potwierdzić alibi oskarżonego. Prokurator odrzucił wniosek na podstawie, której nie ma w kodeksie. Uznał mianowicie, że wniosek zmierza do

ustalenia czegoś innego, niż zostało ustalone w postępowaniu. To prawda, zamierzał wykazać niewinność, a prokurator już ustalił, że klient jest winny. (...)



Fragmenty książki Ludmiły Ananikowej *Skazani. Historie skrzywdzonych przez system*, W.A.B., Warszawa 2021

Zmarł

Ryszard Łukasiewicz

nasz bliski Kolega, dziennikarz i polityk,
działacz organizacji młodzieżowych.

Należał do pokolenia, które wyrosło na ideałach Października 1956 r. W czasie studiów aktywnie działał w Związku Młodzieży Socjalistycznej, pracował w Zarządzie Stołecznym i Zarządzie Głównym ZMS. W latach 1972-1980 był redaktorem naczelnym „Walki Młodych” i „Sztandaru Młodych”. W latach 1980-1982 był zastępcą kierownika Wydziału Organizacyjnego KC PZPR. Od 1982 r. redaktor naczelny „Expressu Wieczornego”. A w latach 1985-1989 poseł na Sejm. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu po stronie partyjno-rządowej. Aktywnie działał w Stowarzyszeniu Ignacego Daszyńskiego, którego był wiceprzewodniczącym, i w Stowarzyszeniu POKOLENIA. Dał się poznać jako znakomity i ceniony fachowiec, człowiek bardzo zaangażowany, powszechnie lubiany i szanowany.

Łączymy się w bólu z Jego rodziną.

Warszawska Organizacja Stowarzyszenia POKOLENIA

Odszedł

Ryszard Łukasiewicz

Dziennikarz (redaktor naczelny „Walki Młodych”, „Sztandaru Młodych” i „Expressu Wieczornego”),
polityk (ZMS, KC PZPR, Okrągły Stół).

Przez całe barwne życie konsekwentnie lewicowy.
Mądry analityk, erudyta i bardzo aktywny społecznik.
Pamiętamy, jak w „Sztandarze Młodych” kształcił
i promował młodych dziennikarzy,
którzy dziś są czołowymi postaciami mediów.

Synom Ryszarda głęboko współczujemy

Jerzy Domański i Paweł Dybicz

Trudno o optymizm, ale nie traćmy nadziei!

W pandemii liczba Polaków żyjących poniżej minimum egzystencji sięgnęła niemal 2 mln, w tym 410 tys. dzieci i 312 tys. seniorów

Andrzej Radzikowski

W nowy rok weszliśmy z piątą falą covidu, a rządzący ciągle z głową w piasku. Polski Ład ładnie się zapowiadał. Na razie jednak mamy polski chaos. Jest Pegasus, a jakoby go nie było. W przestrzeni wirtualnej fruwią „bezańskie” mejle z instrukcjami, jak dyskredytować związkowców... Ale najbardziej frustruje nas inflacja.



oznacza, że realna wartość płacy spadała po raz pierwszy od wielu lat. Ostrzegaliśmy rząd przed takim scenariuszem w trakcie ubiegłorocznych negocjacji płacowych w Radzie Dialogu Społecznego. Zaproponowaliśmy wówczas przyjęcie wyższego wskaźnika inflacji i podwyżkę płacy minimalnej o 10,71%. Gdyby rząd założył inflację wyższą niż 5%, płaca minimalna, zgodnie z ustawą, wzrosłaby w 2022 r. dwukrotnie: od 1 stycznia i 1 lipca. Naprędce improwizowana i mocno spóźniona tarcza antyinflacyjna rządu w bar-

dzo niewielkim stopniu rekompensuje pracownikom wzrost kosztów życia.

Rząd zbagatelizował nasze przestrogi

W grudniu ub.r. inflacja osiągnęła już 8,6%! Tak wysokiego tempa wzrostu cen nie odnotowano od listopada 2000 r. Wbrew przestrogom OPZZ rząd przez wiele miesięcy bagatelizował narastający problem. A prezes Głapiński opowiadał o nieprzebranych ilościach złota i gotówki w skarbcu Narodowego Banku Polskiego oraz kolejce chętnych do pożyczania pieniędzy od Polski. Mało tego, z zaskokiem przewidywał możliwą... deflację. To przeświadczenie spowodowało, że przyjęta przez Sejm ustawa budżetowa na rok 2022 została oparta na założeniu, że średnioroczna inflacja w roku bieżącym wyniesie 3,3%. Już w połowie 2021 r., gdy projektem ustawy budżetowej zajmowała się Rada Dialogu Społecznego, OPZZ wskazywało, że rząd myli się w swoich szacunkach, zaniżając prognozę inflacji, i wystąpiło do rządu o nowelizację budżetu państwa uwzględniającą realną inflację.

Ludzie biednieją

Rachunek za nieprzeciwdziałanie niekorzystnym trendom płacą obecnie pracownicy. Z badań wynika, że pod koniec 2021 r. ponad 56% gospodarstw domowych odczuło spadek siły nabywczej swoich dochodów. W listopadzie minionego roku ceny transportu wzrosły o 24,1%, benzyny o 34,1%, utrzymania mieszkania o 9,5%, wywozu śmieci o 16,7%, a żywności średnio o 6,3%. W pandemii liczba Polaków żyjących poniżej minimum egzystencji sięgnęła niemal 2 mln, w tym 410 tys. dzieci i 312 tys. seniorów. Zasięg skrajnego ubóstwa przekroczył 5%. To alarmujące i niechlubne statystyki. Podwyżki cen towarów i usług konsumpcyjnych uderzają bardzo mocno w pracowników państwowej sfery budżetowej, którym rząd zamroził wynagrodzenia, oraz w gospodarstwa emerytów i rencistów, zwłaszcza jednoosobowe. Ich dochody nie zaspokajają potrzeb na poziomie gwarantującym godne życie. Prawie 23% rencistów żyje ze świadczeń na poziomie 900-1200 zł. Także niemal 19% emerytów otrzymuje świadczenia w przedziale 1800-2200 zł. Inflacja zmniejsza siłę nabywczą płac, a w przypadku minimalnego wynagrodzenia za pracę (3010 zł) praktycznie niweluje cały jego wzrost. Pogłębia problemy ekonomiczne najuboższych i zwiększa rozwarstwienie dochodowe. W styczniu br. inflacja jest wyższa niż nominalny wzrost płacy minimalnej w 2022 r. (7,5%), co

Czas na odważne decyzje!

OPZZ sformułowało konkretne, merytoryczne postulaty. W naszej opinii ich realizacja pozwoli oddalić kryzys i poważne napięcia społeczne. Dlatego oczekujemy od rządu:

- skutecznych, w pełni niwelujących skutki inflacji programów osłonowych dla rodzin pracowniczych;
- zastosowania realnego wskaźnika inflacji do wzrostu płacy minimalnej;
- wycofania się rządu z działań blokujących wzrost wynagrodzeń w sferze budżetowej;
- uwzględnienia wpływu wzrostu stóp procentowych, a w konsekwencji wysokości rat kredytów, na budżety gospodarstw domowych;
- zmiany mechanizmu naliczania wzrostu rent i emerytur – oparcia go na wskaźniku inflacji zwiększonym o co najmniej 50% (a nie tak jak obecnie o co najmniej 20%) realnego wzrostu przeciętnego wynagrodzenia w poprzednim roku kalendarzowym;
- weryfikacji, jeszcze w tym roku, kryteriów dochodowych w pomocy społecznej i świadczeniach rodzinnych;
- weryfikacji co dwa lata, a nie jak obecnie co trzy, kryteriów dochodowych w pomocy społecznej i świadczeniach rodzinnych. Zasadą ich kształtowania powinien być skumulowany wskaźnik inflacji, jak i coroczna analiza wysokości tych świadczeń w odniesieniu do wartości wskaźnika minimum egzystencji;
- ustawowego zagwarantowania, by minimalna emerytura nie była niższa niż minimum socjalne. Obecnie świadczenie minimalne jest niższe o 125 zł od minimum socjalnego w jednoosobowych gospodarstwach emeryckich;
- przyznania wdowie lub wdowcowi pobierającemu świadczenie emerytalne dodatkowo 50% emerytury zmarłego małżonka.

I najważniejsze: bezwzględnie konieczne jest skorygowanie w ustawie budżetowej poziomu prognozowanej inflacji w 2022 r.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, od 2 listopada 2021 r. przewodniczącym Rady Dialogu Społecznego



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Odwracanie Pegasusu piosenką

Niedawnym przebojem polskiego życia politycznego była deklaracja (?), zapowiedź (?), obietnica (?), którą wygłosił specyficznie ważny polityk PiS – poseł Marek Suski. Poseł Suski jest nawet jak na polską dziwaczną klasę polityczną figurą (nie w sensie fizycznym, rzecz jasna, do ataków na fizjonomię „Lewomyślniej” się nie zniża) zjawiskową. Suski jest jak wulkan, wyrzuca z siebie całe pokłady lawy o charakterze gaf politycznych, przejęzyczeń, nieporadności językowych, które przechodzą do annałów lapsusów i meandrów politycznej niezręczności. Chyba że to jest rola, którą mu wybrano, a on, predestynowany do niej nadzwyczaj – odgrywa ją z maestrią, którą inni biorą za charakterologiczno-umysłowe defekty. Różnicę Suskiego jest bowiem nader skuteczną formułą lawirowania medialnego, które – z pewnością równą teorii heliocentrycznej – zaprzątanie za każdym niemal razem uwagę mediów. Z legendarnej roli wiceprzewodniczącego komisji sejmowej do wyjaśnienia afery Amber Gold już na zawsze pozostanie w naszej pamięci dociekanie podczas przesłuchania sędziego Ryszarda Milewskiego, kim była tzw. Caryca. Sędzia odpowiedział: „Nie znam Carycy, jedyna caryca, którą znam, to Katarzyna”. Na co Suski: „Aha, Katarzyna – a może pan podać nazwisko?”. „Katarzyna Wielka”. Kiedy przesłuchiwał Michała Tuska, syna Donalda, dopytywał przenikliwie: „Tu jest mowa o tym, że miał pan dostęp do rachunku”. Na co Tusk: „Ale o jaki rachunek chodzi?”. I Suski rozbrajająco, ale z pełnym przekonaniem co do swojej powagi: „No właśnie nie wiem”. Takich wypowiedzi Suskiego jest multum, w internecie istnieją liczne zestawienia i rankingi, które wyniosły popularność jego bon motów na wyżyny rozpoznawalności.

Ostatnio (czas, cóż to jest czas? Tekst napisany wcześniej wydrukowany jest później i co z tego?) Marek Suski podczas konferencji prasowej w Sejmie zapowiedział nowelizację ustawy o radiofonii i telewizji autorstwa posłów PiS, która przewiduje, że stacje radiowe w godz. 5-24 będą grać 80% polskiej muzyki. Już dzisiaj wedle sprawozdań Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji w rozgłoszeniach radia publicznego ten udział wynosi 77%, więc można zrozumieć, że jest to raczej próba przymuszenia nadawców prywatnych do intensywniejszego emitowania piosenek polskich (nie bardzo wiadomo jednak, co to jest polska piosenka – wykonywana przez polskie piosenkarki/piosenkarzy, śpiewana po polsku, melodia czy tekst muszą być po polsku...?). Marek Suski argumentował z barejowską swadą: „Liczymy na to, że będzie tutaj ogólnonarodowa zgoda. Wydaje mi się, bytoby to dziwne, gdyby

byli sojusznicy albo przeciwnicy naszej muzyki, a sojusznicy muzyki zagranicznej”.

Złośliwi twierdzą, że ta partyzancka inicjatywa jest próbą wywarcia wpływu na postać Kukiza, który jako piosenkarz polski śpiewający piosenki polskie mógłby sam na tym zarobić, a i odzyskać nadwątloną pozycję w środowisku muzycznym (niegdyś muzyk nonkonformista, dzisiaj polityk wspierający autorytarny rząd). Celem tej próby finezyjnego, acz noszącego znamiona korupcji, nacisku miałyby być zablokowanie powstania sejmowej komisji śledczej w sprawie zakupu i korzystania przez Centralne Biuro Antykorupcyjne z izraelskiego programu inwigilacyjnego Pegasus. Kukiz bowiem dogaduje się z opozycją i mimo oporu rządzącej większości parlamentarnej jest na to realna szansa. Pisowscy politycy, obserwując prace mającej dużo mniejsze uprawnienia komisji senackiej, za wszelką cenę nie chcą dopuścić do powstania jej sejmowego odpowied-

Różnicę Suskiego jest nader skuteczną formułą lawirowania medialnego.

nika. Działalność i dociekliwość takiej komisji mogłaby zdemolować polityczne działania formacji rządzącej. Lista tego, czego PiS może się obawiać, jest dość długa: bezprawny zakup ze środków nieprzeznaczonego do takich celów Funduszu Sprawiedliwości, używanie Pegasusu do inwigilacji polityków opozycji, niepokornych prokuratorów, prawników oraz byłych polityków PiS kręcących lody ze względu na koniunkturę i kontakty polityczne dawnego środowiska.

Skalę nadużyć związanych z zakupem przez CBA Pegasusu poznajemy coraz dokładniej niemal każdego dnia, żadna fala polskich piosenek ich już nie zagłuszy. Na dodatek Marek Suski z wrodzoną sobie lekkością słowa, odpowiadając na pytania dziennikarzy o Pegasusu, stwierdził, chcąc zlekceważyć wykorzystanie programu, że „mówienie o jakiejś masowej inwigilacji to jest wymysł z księżycy, bo to były niewielkie ilości, nieprzekraczające kilkuset osób w ciągu roku, a nie milionów”. I dodał: „Pamiętam, że dwóch kelnerów ich ponagrywało, więc po co wydawać pieniądze na takie systemy, jak byle kto ich potrafi nagrać? Oni klepią trzy po trzy przy kotlecie”.

Można zaryzykować tezę, że zadanie zbagatelizowania użycia Pegasusu przez służby PiS wobec polityków opozycji i innych przeciwników politycznych czy merkantylistycznych cwaniaków z własnego obozu Suski wykonuje śpiewająco. I po polsku. To najważniejsze. Dziwi tylko propozycja, żeby dowartościować emisję piosenek debutantów (liczyć je w statystykach potrójnie). Przecież od dawna wiadomo, że Polacy najbardziej lubią te piosenki, które już dobrze znają.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Tomasz Otocki

Antonowicz przez w

Litwa legalizuje polskie nazwiska

Choć obiektywnie dotyczy niewielkiej liczby osób, sprawa ta przez lata zatruwała stosunki między Warszawą a Wilnem. Ostatnia wizyta Lecha Kaczyńskiego na Litwie, dwa dni przed katastrofą smoleńską, została zepsuta głosowaniem Seimasu, który nie zgodził się na oryginalną pisownię nazwisk przedstawicieli mniejszości narodowych. 18 stycznia br. parlament Litwy, tym razem również zdominowany przez centroprawicę, przyjął prawo zezwalające na użycie trzech liter: w, x oraz q w pisowni nazwisk litewskich obywateli. Choć polska partia narzeka, że to „za mało”, należy mówić o przełomie. Chodzi resztą nie tylko o mieszkających na Litwie Polaków, ale także o kobiety, które wyszły za mąż za cudzoziemców, i ich dzieci.

Kiedy Jan stawiał się Iwanem

Zbigniew Balcewicz, jeden z trzech żyjących polskich sygnatariuszy Aktu Niepodległości Litwy z 1990 r., jeszcze nie wie, czy zmieni pisownię nazwiska (na razie w urzędzie zapisany jest jako Zbigneiv Balcevič). Przypomina, że problem nie zaczął się

pracownik dyplomacji. Jednak w gruncie rzeczy przez ostatnie lata zmiany pisowni imion i nazwisk były symboliczne. Można było odrzucić j, czasem Eduard stawał się Edvardem, jak w przypadku jednego z polskich ministrów, ale na użycie znaków niewystępujących w litewskim alfabecie państwo nie zezwalało. Aż do przyjęcia styczniowej ustawy.

Obowiązująca dotychczas regulacja pisowni imion i nazwisk w paszportach litewskich została wprowadzona uchwałą litewskiego Sejmu z 31 stycznia 1991 r. (Litwa ogłosiła już niepodległość, jednak nie była uznawana międzynarodowo). Postanowiono wówczas, że imiona i nazwiska mają być pisane w dokumentach tylko w języku litewskim. Nazwiska mniejszości narodowych również zapisywano znakami litewskimi, ale bez konieczności lituanizacji. W ten sposób litewski poeta i działacz kultury Romuald Miečkovskis stał się

„używania swoich imion i nazwisk w brzmieniu języka mniejszości narodowej”, zaznaczając, że „szczegółowe regulacje dotyczące pisowni imion i nazwisk zostaną określone w odrębnej umowie” (art. 14). Zapis budził później kontrowersję, bo „brzmienie” niekoniecznie oznacza pisownię. Strona litewska w rozmowach z Warszawą powoływała się na to, że Polacy już mogą zapisywać swoje nazwiska „w brzmieniu”, zgodnie z regułami z 1991 r., o ewentualnej pisowni zaś zadecydować musi odrębna umowa. Warszawa uznawała, że jeśli sama zezwoliła mniejszości litewskiej na zmianę imion i nazwisk na litewskie (mój wykładowca dawno zmienił nazwisko z Bronisław Makowski na Bronius Makauskas), to Litwini powinni zrobić to samo. Wpłynęło to na zamrożenie stosunków polsko-litewskich, zwłaszcza w okresie ministrowania Radosława Sikorskiego.

Wydawało się, że przełom nastąpi w czasie rządów centroprawicowej koalicji pod przywództwem Andriusa Kubiliusa. 8 kwietnia 2010 r. Sejm Litwy miał przyjąć, zgodnie z propozycją rządową, ustawę regulującą prawo do oryginalnej pisowni nazwisk przedstawicieli mniejszości narodowych. Niestety, zabrakło głosów. Frakcja konserwatywna głosowała w większości przeciwko propozycji własnego gabinetu, zawiedli nawet opozycyjni socjaldemokraci, tradycyjnie pozbawieni uprzedzeń antypolskich. Jedynym klubem, który w całości poparł zmianę, był Ruch Liberałów. Głosowanie sejmowe nieszcześliwie zbiegło się z ostatnią wizytą Lecha Kaczyńskiego na Litwie. Ówczesny prezydent, próbując włączyć Wilno do grupy państw prowadzących surową politykę wobec Rosji, szczególnie polegał na litewskich elitach politycznych. Do Gruzji w 2008 r. pojechał m.in. z ówczesnym prezydentem Litwy Valdasem Adamkusem. Głosowanie Sejmu z 8 kwietnia musiał odebrać jako policzek. Po katastrofie smoleńskiej

Seimas zdominowany przez centroprawicę przyjął prawo zezwalające na użycie trzech liter: w, x oraz q w pisowni nazwisk litewskich obywateli.

po odzyskaniu niepodległości przez Litwę, bo i wcześniej Polacy mieli zniekształcane nazwiska. – W czasach radzieckich obywatel ZSRR w wieku 16 lat otrzymywał paszport, w którym zapisy były w dwóch językach: po rosyjsku na dwóch pierwszych stronach, z fotografią, i po litewsku na dwóch dalszych. W dokumentach obywateli narodowości polskiej do nazwisk z końcówkami -ski lub -ska dodawano odpowiednie końcówki -ij lub -ja, a imiona nierzadko były tłumaczone – mówi były poseł na Sejm. W ten sposób Jan często stawał się Iwanem, a Zapolski był zapisywany jako Zapolskij.

– Siedem lat temu powiedziałem dość i uciąłem sobie w urzędzie j – mówi Artur Zapolski, młody

Romualdem Miečkovskim, choć w litewskiej Wikipedii wciąż widnieje jako Romualdas Miečkovskis. Władze Litwy mówiły Polakom, że i tak powinni się cieszyć, bo inaczej niż na Łotwie, gdzie obowiązuje całkowita lettonizacja nazwisk Polaków (przewodniczący Związku Polaków na Łotwie to nie Ryszard Stankiewicz, lecz Rišards Stankevičs, gdyby mieszkał na Litwie, mógłby dawno odciąć s), na Litwie nikt nikomu nie każe być Litwinem. Ale jak normalnie funkcjonować w życiu, jeśli z Grzegorza stajesz się Gžegožem (jak pewien radny Wilna), a z Katarzyny Katažiną (jak znana polska piosenkarka)?

W traktacie polsko-litewskim z 1994 r. przyznano mniejszościom po obu stronach granicy prawo do



Litwinom zrobiło się głupio, jednak klasa polityczna nie potrafiła przez dekadę rozwiązać tej, zdawałoby się, dość prostej kwestii. Także dlatego, że bardzo naciskała Warszawa, w czasach Sikorskiego próbująca nauczyć Litwę moresu. Małe państwo alergicznie zareagowało na pouczenia sąsiada. Swoje dorzuciła prezydentka Dalia Grybauskaitė, nieufna wobec Polaków.

Pokonać strach przed literką w

W międzyczasie składano różne propozycje. Najbardziej konserwatywni politycy mówili o możliwości zapisywania nazwisk w oryginalnej pisowni „na dalszej stronie dokumentu”, co nie rodziłoby skutków prawnych. Ku takiemu rozwiązaniu skłaniał się choćby obecny prezydent Gitanas Nausėda. Bardziej centrowi umywali ręce, nazywając to problemem zastępczym. Jedynie liberałowie konsekwentnie od lat opowiadali się za prawem mniejszości narodowych oraz Litwinek mających zagranicznych mężów do oryginalnej pisowni nazwiska.

Później dołączyła Litewska Partia Socjaldemokratyczna pod przywództwem młodego polityka Gintautasa Paluckasa. Jeszcze kilka lat temu nikt jednak nie spodziewał się, że za nowym prawem podniesie rękę większość posłów konserwatywnego Związku Ojczyzny (tworzy on obecnie koalicję rządzącą z dwiema partiami liberalnymi). Zniechęcała zresztą sama polska partia AWPL-ZChR, której

posłanka Wanda Krawczonok jeszcze w 2019 r. mówiła, że nazwiska to „problem pięciorzędny”. Ważniejsze są oświata i zwrot ziemi. Prawdopodobnie dlatego AWPL-ZChR, która w zeszłej kadencji zasiadała w koalicji rządzącej, nie udało się rozwiązać tego problemu. Skądinąd 18 stycznia jej były koalicyjant, Związek Chłopów i Zielonych, zagłosował przeciwko.

Co się stało w Sejmie? Dlaczego przełom był możliwy wtedy, kiedy rządy przejęła centroprawica, której politycy nie stoją przeciw w pierwszym szeregu walki o prawa mniejszości narodowych, a lidera polskiej partii, Waldemara Tomaszewskiego, nie cenią ani nie lubią?

Na Litwie nikt nikomu nie każe być Litwinem. Ale jak normalnie funkcjonować, jeśli z Grzegorza stajesz się Gżegożem?

– Sądzę, że zadecydowały trzy rzeczy, w tym wieloletni wysiłek litewskich autorytetów, takich jak Rimvydas Valatka czy Alvydas Nikžentaitis, udowadniających, że strach przed literką w jest irracjonalny. Ponadto od kilku lat sukcesywnie polepszają się relacje Polski z Litwą, pojawili się nowi polscy politycy spoza AWPL-ZChR, a także politycy litewscy, którzy chcieli ten problem rozwiązać – mówił w audycji „Santara” w litewskim radiu publicysta Aleksander Radczenko, wymieniając szczególnie zasługi przewodniczącej Sejmu

Viktoriji Čmilytė-Nielsen oraz premierki Ingridy Šimonytė.

Wśród „nowych polskich polityków” jest minister sprawiedliwości Ewelina Dobrowolska, której jako liberalnej postacie udało się przekonać kolegów z koalicji, że litera w nie jest zagrożeniem dla Litwy. Przez lata Dobrowolska walczyła w sądach o prawo oryginalnego zapisu nazwisk mieszkańców Litwy. Teraz sprawę ma załatwić ustawa, która po podpisaniu przez prezydenta wejdzie w życie 1 maja.

Zmieniać czy nie zmieniać?

Sam Radczenko jeszcze niedawno nie zamierzał zmieniać nazwiska. Teraz poważnie się nad tym zastanawia. – Generalnie zamierzam zmienić – mówi z kolei wykładowca Uniwersytetu Wileńskiego i były prezes Polskiego Klubu Dyskusyjnego w Wilnie dr Mariusz Antonowicz. – Uważam styczniową ustawę za coś, co od dawna należało się polskiej społeczności – dodaje Romuald Mieczkowski, redaktor naczelny liberalnego kwartalnika „Znad Wili”. – Oczywiście, że zmienię, jeszcze w czasach sowieckich walczyłem o prawidłowy zapis nazwiska – podkreśla Waldemar Tomaszewski, prezes AWPL-ZChR i Związku Polaków na Litwie.

Wymienione osoby mogą sobie na to pozwolić, bo w ich imionach i nazwiskach nie ma polskich

znaków diakrytycznych. Na razie ustawa pozwala na użycie polskiego w, polskich dwuznaków typu cz, sz lub rz, a także podwójnego n w imionach takich jak Anna czy Joanna. Niby to już dużo, ale przedstawiciele AWPL-ZChR są niezadowoleni. W Sejmie składali poprawki, żeby zalegalizować wszystkie polskie literki. Propozycja przepadła. Być może dlatego, że posłowie polskiej partii zasiadają dziś w marginalnej frakcji sejmowej i nie potrafią się dogadać z obecną większością.

Pół wieku szkolnego fenomenu

Dlaczego fiński system edukacyjny jest najskuteczniejszy na świecie

Chrystian Ślusarczyk

W ciągu pół wieku pięciomilionowa Finlandia stworzyła nowoczesny system szkolnictwa, odbiegający nie tylko od naszych standardów, ale i od tych na Zachodzie. Jego innowacyjność, a zarazem skuteczność stanowią wzór do naśladowania i nieustający powód zazdrości. W ostatnich badaniach PISA (Programme for International Student Assessment), koordynowanych przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, fińscy uczniowie we wszystkich dziedzinach poza matematyką zajęli pierwsze miejsce na świecie. Co jest źródłem sukcesów tamtejszego systemu nauczania?

Państwowy znaczy skuteczny

Finowie, podobnie jak inni Skandynawowie, płacą wysokie podatki. Jednocześnie wiedzą, a ich przekonanie potwierdzają działania władz, że środki z budżetu na edukację będą wydatkowane najefektywniej, jak tylko to możliwe. Państwo inwestuje w młodzież, a ona jest jego przyszłością. To nie utopia. To realia fińskiej polityki oświatowej.

Prawie wszystkie szkoły są państwowe. Nieliczne niepaństwowe również są finansowane przez państwo.

Prawie wszystkie szkoły w Finlandii są państwowe. Za te nieliczne niepaństwowe także się nie płaci, bo są finansowane przez państwo. Bezpłatne są też podręczniki i pomoce naukowe.

Tradycja darmowej nauki sięga XIX w., gdy istniały szkoły ludowe, które z kolei zastąpiły szkoły parafialne uczące głównie katechizmu, pisania i czytania. Dziś do bezpłatnych szkół prywatnych uczęszcza ok. 3% młodych ludzi. Dla przeciętnego Finna stwierdzenie „córka/syn chodzi do renomowanej



W nauce języków w szkole w Tampere pomaga robot Elias.

prywatnej szkoły” jest kompletnie niezrozumiałe.

Żadna szkoła nie może pobierać czesnego. Zakazane jest również pobieranie jakichkolwiek opłat od rodziców i... udzielanie korepetycji. Także wszystkie uczelnie są państwowe. I wszystkie cieszą się renomą w kraju oraz za granicą.

Nie istnieje jeden sztywny i szczegółowy program dla całego kraju.

Nie widać jednak najmniejszych symptomów edukacyjnej anarchii. Już od I klasy szkoły podstawowej nauczyciele starają się znaleźć mocne strony ucznia, potencjalne hobby, zainteresowania. Jak trafnie zauważył „National Geographic”, „zainteresowania są ważniejsze od wprowadzanego kanonu”. Nauczyciele współpracują z uczniami na zasadach partnerskich. Doskonalej, bliskiej relacji na linii nauczyciel-uczeń sprzyjają niezbyt liczne klasy – 20 osób to maksimum. Uczniowie nie są zbyt przepracowani. W szkole

spędzają przeciętnie 706 godzin rocznie (w Polsce ok. 746). Wakacje trwają 10-11 tygodni.

W wielu krajach utarło się przekonanie, że rywalizacja i wszelkie rankingi podnoszą poziom wiedzy uczniów. Finowie od lat robią wszystko, by temu zaprzeczyć. Nie ma tam mowy o podziale na szkoły lepsze czy gorsze, o liceach prestiżowych czy niewróżących kariery. Dzięki temu szkoły mogą się skupić na uczniach, a nie na ściganiu się z innymi placówkami. Nacisk jest kładziony na współpracę.

Fiński system edukacyjny chwali sobie coraz liczniejsi imigranci. Ani rodzice, ani ich dzieci pod żadnym względem nie czują się gorsi od rodowitych Finów. – Nauczycielka mojego dziecka kategorycznie zabroniła mi pomagać mu w nauce fińskiego. Powiedziała, że od tego są szkoły i nauczyciele. O jakości fińskiej szkoły przekonałam się, kiedy syn zachorował i był operowany. Gdy zaczął wracać do zdrowia, do szkoły podwoziła go... taksówka. Jak się dowiedziałam później, opłacona ze środków państwowych. Syn miał trochę problemów z nadrobieniem materiału. Nauczyciele stawiali wówczas

na głowie, by dogonił rówieśników. Powiedziano mi, że gdyby z powodu choroby i absencji miał problemy z nauką, winę za to ponieśliby... nauczyciele – opowiada Diana, emigrantka z Bułgarii.

Języki obce na piedestale

Podobnie jak w całej Skandynawii w fińskich szkołach kładzie się olbrzymi nacisk na naukę języków obcych. Pierwszy język obcy pojawia się już w III klasie (fińskie szkolnictwo obejmuje dziewięć obowiązkowych klas). Najczęściej jest to angielski

projektu czy prezentacji albo innowacyjny eksperyment. Ostateczna ocena jest wynikiem kompromisu na linii uczeń-nauczyciel.

Kuratorium? Niepotrzebny balast

Nauczyciel to jeden z najbardziej prestiżowych zawodów w Finlandii. O jedno miejsce na studiach nauczycielskich walczy średnio ośmiu-dziewięciu kandydatów! Dostać się na pedagogikę jest zaś trudniej niż na medycynę czy prawo. Podczas studiów kładzie się olbrzymi nacisk

O jedno miejsce na studiach nauczycielskich walczy średnio ośmiu-dziewięciu kandydatów!

lub niemiecki, ale nierzadkie są przypadki wyboru języka wschodniego sąsiada – rosyjskiego. W klasie VII uczniowie muszą wybrać drugi język. Nauka języka obcego to w dużej mierze szybkie przygotowanie ucznia do praktycznej wymiany zdań zarówno w mowie, jak i na piśmie. W odróżnieniu od polskich szkół nie ma tu niekończących się testów gramatycznych. Nauka pamięciowa i tzw. kucie języka praktycznie nie istnieje – wszystko jest oparte na praktyce i ćwiczeniach. Dlatego wielu młodych Finów biegle posługuje się dwoma językami obcymi.

Tak jak w wypadku innych przedmiotów przy nauce języka obcego pedagodzy nie odpytują uczniów przy tablicy i w zasadzie nie zadają prac domowych. Chyba że będzie to np. wywiad z... własnym dziadkiem. Oceny stawiane są najczęściej za aktywność, samodzielne przygotowanie

na łączenie teorii z praktyką. Po ich zakończeniu fiński nauczyciel musi w dalszym ciągu poszerzać wiedzę i poświęcić dwie godziny w tygodniu na rozwój zawodowy. Wszelkie formy doskonalenia zawodowego są w 100% finansowane przez państwo.

W ciągu 50 lat Finom udało się wypracować coś, o czym my możemy jedynie pomarzyć – etos pracy nauczyciela. Bycie nauczycielem w Finlandii to nie tylko wysoki status społeczny, ale i finansowy. Średnie wynagrodzenie w styczniu 2022 r. wyniosło 3,6 tys. euro, najniższe – 2,7 tys. euro. Z kolei nauczyciel akademicki zarabia średnio ok. 5 tys. euro. Przy czym nauczyciel pracuje cztery godziny dziennie, a 20 tygodniowo. Ma się skupić wyłącznie na nauczaniu i wychowywaniu młodzieży. Pisanie obowiązkowych konspektów lekcji, wypełnianie niezliczonych

arkuszy i raportów o frekwencji oraz inne administracyjne dodatki tak obciążające polskich nauczycieli dawno już zostały w Finlandii zarzucone.

Fińscy nauczyciele nie mają nad głową potężnej maszyny nadzoru, kontroli i oceny, nie muszą się spowiadać z każdej godziny lekcyjnej. Małopolska kurator oświaty wraz z armią jej współpracowników zasiliłby grono bezrobotnych. Nie tylko dlatego, że od wielu już lat nie ma tam inspektoratów szkolnych. Szkoła w Finlandii od dziesięcioleci jest wzorem tolerancji, przykładem symbiozy pedagogów i uczniów różnego koloru skóry, różnych wyznań i preferencji seksualnych. Fińska szkoła ma wspierać słabszych i tych, którym nie z własnej winy w życiu się nie powiodło, robić wszystko, by nie dopuszczać do stygmatyzacji młodych ludzi.

Dziś Finlandia ma twarz młodej, uśmiechniętej kobiety. Dosłownie i w przenośni. Na czele fińskiego rządu stoi bowiem 36-letnia socjaldemokratka Sanna Marin, a 11 z 18 ministerstw kierują kobiety. Resortem edukacji zarządza o dwa lata młodsza posłanka lewicy Li Andersson. Jest przedstawicielką szwedzkiej mniejszości.

Udzielanie korepetycji jest zakazane.

Wiele krajów Zachodu chce dziś czerpać jak najwięcej z fińskiego systemu edukacji, przynosi on bowiem spektakularne sukcesy. Nie sposób jednak nie dostrzec pewnych jego wad czy niedociągnięć. Oponenci zwracają uwagę, że tak podkreślana na każdym kroku równość uczniów i studentów może być czynnikiem hamującym dla szczególnie uzdolnionej młodzieży.

Pandemia nie wpłynęła znacząco na kształt fińskiego systemu nauczania. W różnych momentach pandemii uczniowie klas IV i starszych musieli przemieszczać się po szkole w maszynkach. Fińska młodzież nie ma problemu ze stosowaniem dystansu i częstą dezynfekcją. Nawet w okresie nauczania zdalnego uczniowie mogli dwa razy tygodniowo odwiedzać szkolne stołówki i odbierać posiłki, które im się należą, a ich cena jest symboliczna. Tak było, jest i zapewne będzie w przyszłości.

Nie wiedziałeś że, czyli welcome to Finland

- Nauczyciele i uczniowie zwracają się do siebie po imieniu.
- Uczniowie nie muszą siedzieć w ławkach. Mogą przesiadywać także na podłodze, np. po turecku, na specjalnych, miękkich wykładzinach. Ważne, by pozycja nie wpływała źle na sylwetkę.
- Strój w żaden sposób nie jest narzucany odgórnie. Zdarzało się, że dzieci pojawiały się na lekcjach... w piżamach.
- Gdy dopisuje pogoda, lekcje odbywają się pod gołym niebem. Nierzadko uczniowie siedzą na trawie czy naprędce ustawionych pniach. Uczniowie niższych klas – niezależnie od pogody – w czasie jednej z przerw są wyprowadzani na zewnątrz, nawet przy 30-stopniowym mrozie.

Nazwy własne

Na mapach
świata kolonializm
trzyma się mocno.
Na razie

Mateusz Mazzini

Prawie milion mieszkańców, piękny widok na Ocean Indyjski i ogromne tradycje sportowe, głównie związane z krykietem i rugby – tak można opisać Port Elizabeth, szóste największe miasto w Republice Południowej Afryki. Rozpoznawalnością ustępuje innym metropoliom, ale z Kapsztadem czy Johannesburgiem nikomu nie przychodzi tu do głowy rywalizować. Zwrócone w kierunku oceanu, od zawsze było na mapie RPA punktem przeładunkowym, przystanią dla podróżujących dalej na wschód lub zachód, ale też bramą w głąb lądu. Z tej ostatniej cechy miejscowi czerpią zresztą korzyści do dziś, bo przekształcili ją w koło zamachowe turystyki. To właśnie Port Elizabeth jest jedną z najlepszych baz wypadowych dla uczestników tzw. *Big Five Game Safari*, wycieczki, w czasie której można zobaczyć w środowisku naturalnym słonie, lwy, bawoły afrykańskie, czarne nosorożce i lamparty plamiste.

Z dostaniem się do Port Elizabeth nie ma problemu, bo w mieście jest duże międzynarodowe lotnisko. Najpierw jednak trzeba się upewnić, że podróżuje się do właściwego celu – miast znanych pod tą nazwą jest na świecie co najmniej pięć. Dwa znajdują się w USA, jedno w Kanadzie, jedno na karaibskim archipelagu Saint Vincent i Grenadyny. Różnią się diametralnie, ale łączy je etymologia, zwłaszcza ta polityczna. Ich nazwa jest reliktem, okruczem pamięci po imperium brytyjskim, kartograficznym dowodem, że Londyn był kiedyś stolicą potowy świata. I choć



Pomnik Królowej Wiktorii przed ratuszem w Port Elizabeth, czyli obecnie w Gqeberha.

przestał nią być już kilkadziesiąt lat temu, a samemu słowu imperium bliżej dziś do inwektywy niż gloryfikującego terminu, kolonializm, nie tylko ten brytyjski, na mapach trzyma się mocno.

Victoria, Charleston, Georgetown

Port Elizabeth nie jest przypadkiem odosobnionym, choć akurat szczególnie ciekawym. Dlaczego? O tym dalej. Na razie rzućmy okiem na globus. Miast nazwanych imionami anglosaskich władców jest na nim mnóstwo, również tych duplikujących się. Victoria, Charleston, Georgetown czy przodujące w tym rankingu, literowane na przeróżne sposoby Kingstown. Samo zjawisko nie jest przesadnie oryginalne, tak samo robili Hiszpanie, Francuzi, Portugalczycy. Aleksander Wielki założył

według różnych szacunków od 20 do 25 miast, wszystkie nazwał identycznie, od swojego imienia. W czym więc problem? Fakt nadawania nazwy budowanej osadzie nie wydaje się specjalnie kontrowersyjny. O ile rzeczywiście w tym miejscu nic wcześniej nie było. I tu zaczyna się problem.

Dyskusja o starych kolonialnych nazwach miast ma ten sam refren co tocząca się właśnie debata na temat całej globalnej historii współczesnej i miejsca w niej europejskiego imperializmu. Młoda, niematerialistyczna lewica, skupiona wokół amerykańskich kampusów uniwersyteckich, domaga się całkowitej rewizji historycznej narracji o kolonializmie i jednoznacznego uznania go za zbrodnię przeciwko ludzkości. Z kolei dla prawicy i części konserwatywnych środowisk akademickich historia stała się ostatnim bastionem znanego

świata, którego gotowe są bronić za wszelką cenę. Historia i pamięć zbiorowa od dawna są polem bitwy w wojnie kulturowej. Teraz przyszedł czas na geografii.

Kilka przyczółków już padło. O podróży Kolumba w 1492 r. nie mówi się już dzisiaj jako o „odkryciu Ameryki”, a sam genueński żeglarz utracił status ikonicznego eksploratora, uważa się go raczej za goniącego za zyskiem najemnika, który trochę przez przypadek uruchomił najważniejszy proces społeczno-polityczny w dziejach świata. Coraz mniej osób obchodzi też w obu Amerykach tzw. Dzień Kolumba, umownie wyznaczoną na 10 października rocznicę jego lądowania na dzisiejszych Bahamach.

Większość dawnych imperiów kolonialnych nie stawia w tej kwestii oporu, wręcz przeciwnie, uchyla drzwi do dyskusji o własnej przeszłości. Wyjątek stanowi tu Wielka Brytania, gdzie w ostatnich latach szerzy się epidemia „restoratywnej nostalgii”, jak zjawisko to nazwała Anne Applebaum. Ten sam prawicowy populizm, który nakręcił kampanię zwolenników brexitu, przywrócił do głównego nurtu debaty publicznej tęsknotę za globalnym imperium. Prawicowcy wszelkiej maści, od filozofa Rogera Scrutona po polityków, takich jak Nigel Farage czy obecny przewodniczący Izby Gmin Jacob Rees-Mogg, prześcigali się w płomiennych manifestacjach nacjonalizmu, wymieniając zdobycze cywilizacyjne, które imperium dało

i prześladowanie rdzennych mieszkańców kolonii, od Afganistanu, przez Egipt, po Kenię.

Teraz Gqeberha

Co z tym wszystkim wspólnego ma Port Elizabeth? Wbrew pozorom bardzo dużo. Imperium już nie ma i żadne zaklinanie rzeczywistości, „polityka wiecznego powrotu”, jak pisał David Rieff, tego stanu rzeczy nie zmieni. Dawne kolonie są niezależne, ze swoją przestrzenią publiczną mogą robić, co chcą. I raczej nie mają przed tym oporów.

Port Elizabeth jest tego najlepszym przykładem, bo od ubiegłego roku

O wyprawie Kolumba nie mówi się już jako o „odkryciu Ameryki”, a sam żeglarz utracił status ikonicznego eksploratora.

nazywa się już Gqeberha. Słowo pochodzi z języka ludu Xhosa, zamieszkującego te tereny przed przybyciem europejskich osadników, i pierwotnie określało przepływającą tamtędy rzekę. Potomków Xhosa lub osób identyfikujących się z tą grupą etniczną jest dzisiaj w RPA prawie 8 mln, a ich język jest drugą najbardziej rozpowszechnioną rdzenną mową, po zulu (z którym zresztą xhosa jest blisko spokrewniony). Przez długi czas stawiali Europejczykom skuteczny opór, przez co nadmorska osada nazwana początkowo Kolonią Przylądkową nie rozrastała się prawie w ogóle. Xhosa okazali się za silni dla osadników z Holandii, skapitulowali dopiero

tamtych wojen wymordowani, być może nie miałoby to dziś tak wielkiego znaczenia, bo o pamięć i symbolikę nie byłoby komu walczyć. Ale przy 8 mln osób, których przodkowie przelali krew za ojczyznę, trudno było udawać, że tematu nie ma.

Ruchy społeczne mające na celu dekolonizację południowoafrykańskiej geografii mają tam długą tradycję i dość szybko ich postulaty zostały podchwyczone przez polityków. Już w 1998 r., chwilę po upadku apartheidu, rząd Nelsona Mandeli ustanowił Narodową Radę ds. Nazw Geograficznych, która zastąpiła instytucję o zasadniczo tych samych kompetencjach, ale odwrotnym

nastawieniu ideologicznym. Za czasów segregacji rasowej kolonializm gloryfikowano, a rdzennym grupom etnicznym odmawiano jakichkolwiek praw, w tym roszczeń historycznych i kulturowych. Nowa komisja odbiła wahadło, zaledwie dwa lata od powołania rozpoczynając proces zmieniania nazw. Stare tabliczki odkręcono na lotniskach, przemianowano gminy, prowincje, regiony administracyjne, miasta. Żadna zmiana nie miała jednak aż takiego wydźwięku symbolicznego jak Port Elizabeth. Ostały się Durban, nazwany od brytyjskiego generała i urzędnika kolonialnego, jak również Kapsztad, Pretoria i Johannesburg. Gqeberha jest zatem największym ośrodkiem miejskim, który wrócił do oryginalnej nazwy.

Nowa Zelandia czy Aotearoa

Ale czy na pewno wrócić? No właśnie. Przeciwnicy dekolonizacji nazw uważają, że trudno w przypadku miast w krajach takich jak RPA mówić o jakiegokolwiek lingwistycznej restytucji. Port Elizabeth założyli i rozwinęli przecież Europejczycy, argumentują. Za czasów Xhosa nie było tu żadnego miasta, co najwyżej osada luźno rozrzucona wzdłuż rzeki. To, co dzisiaj jest miastem, od zawsze nosiło więc nazwę nadaną przez kolonialistów. Tę retorykę słyszeć także w innych krajach.

Gqeberha jest największym ośrodkiem miejskim, który wrócił do oryginalnej nazwy.

światu. Rees-Mogg nazwał je wręcz „cudownym”, konstruując apel Partii Pracy o włączenie do programu nauczania historii treści o brytyjskich ludobójstwach w koloniach. Wielka Brytania przed rewizją swojej historii broni się mocno, bo jeśli zostałyby przeprowadzone całościowo, zepchnęłaby z pomnika postacie absolutnie nietykalne, z Winstonelem Churchillem na czele. Czczony jako przeciwnik faszyzmu, miał jednocześnie na koncie dziesiątki decyzji uzasadniających rasizm

przed Brytyjczykami, wzmocnionymi 4 tys. nowych osadników na początku XIX w. Wtedy to, w 1820 r., miasto przestało być wyłącznie ufortyfikowaną kolonią i stało się ważnym ośrodkiem handlowym, z nową nazwą, Port Elizabeth.

Upraszczać więc historię, przez prawie dwa stulecia najważniejszy ośrodek miejski w tej części kraju był upamiętnieniem ostatecznej kapitulacji rdzennych mieszkańców pod butem europejskiego kolonializmu. Gdyby Xhosa zostali przy okazji

► W Kanadzie popularny jest postulat przemianowania Toronto na Tkaronto, pierwotną nazwę tego obszaru w języku plemienia Mohawków. I zaraz pojawia się kontrargument, że przed pojawieniem się Europejczyków było to zakole rzeki, w którym dobrze towiło się ryby, a teraz to metropolia.

Podobne zjawiska zaobserwować można prawie we wszystkich zakątkach dawnego imperium, od Australii (dodawanie aborygeńskich

a kraj ma oficjalnie stać się Aotearoa w międzynarodowej nomenklaturze. Asów w rękawie za bardzo nie mają, bo do parlamentu wprowadzili zaledwie dwóch deputowanych przy 1,77% poparcia, ale po ich stronie stoi spora część Nowozelandczyków. Według sondaży przeprowadzonych jesienią 2020 r. na zlecenie telewizji 1 NEWS za zmianą nazwy kraju opowiada się co trzeci jego mieszkańców.

Postulat stał się na tyle popularny, że musiała odnieść się do niego

wyspy od europejskiej części kraju, dodali Nową do Zelandii.

Nazewnictwo było zatem nie tylko kwestią przypadku czy odzwierciedleniem uwielbienia dla monarchy, ale też znakiem pozycji międzynarodowej. Historia pełna jest przecież przypadków odbijania przez jedno imperium kolonii drugiemu i zaprowadzania od razu nowych porządków – w tym kartograficznych. Nowy Jork Brytyjczycy zabrali Holendrom, dla których był Nowym Amsterdamem. Takie analogie można by mnożyć, czy więc zmiana nazwy Nowej Zelandii byłaby czymś rewolucyjnym? Raczej nie. Zdecydowanie bliżej niż do wydarzenia przełomowego byłoby jej po prostu do kolejnego etapu historii.

Lista nazw, które czekają na dyskusję o kolonializmie, jest długa. W pewnym sensie nawet nieskończona, bo kto miałby decydować o wyznaczeniu granicy? Jak daleko mamy się cofać, skoro nawet w epoce prekolonialnej dokonywano podbojów, aktów ludobójstwa, przejęć miast i królestw, niosących zmiany nazw? Cała debata o historycznej trafności map jest i zawsze będzie *stricte* polityczna. Mapy odzwierciedlają status, wpływy, dominację. Nie tylko militarną, ale też kulturową, co akurat na przykładzie dawnych brytyjskich kolonii widać najlepiej. Negować podlanego krwią rodowodu metropolii Nowego Świata nie można, a mówienie o nim głośno nie jest żadnym aktem historycznego rewizjonizmu. Ten bowiem, jak zauważa harvardzki historyk Aviezer Tucker,

Zdaniem konserwatystów ruchy domagające się przywrócenia rdzennego nazewnictwa tworzą historię sprzeczną z faktami.

nazw do oficjalnych adresów pocztowych), aż po Irlandię Północną (uznanie gaelickiej nazwy Doire dla miasta Londonderry). Dlatego zdaniem konserwatystów ruchy domagające się przywrócenia rdzennego nazewnictwa niczego nie przywracają, ale tworzą historię na nowo, w dodatku w sprzeczności z faktami.

W tym kontekście znacznie bardziej oczywista, choć nie mniej kontrowersyjna, jest inicjatywa przemianowania Nowej Zelandii na Aotearoa. Tutaj nie ma już dyskusji o tym, czy coś istniało przed przybyciem Europejczyków, bo wyspy tworzące nowozelandzkie państwo były zamieszkane przez Maorysów na długo przed kolonizacją. Aotearoa to po prostu ich ziemia, przestrzeń, ojczyzna. I tak chcą ją nazywać, nie tylko w swoim języku, ale też po angielsku, na całym świecie. Głównym adwokatem tej zmiany jest Partia Maorysów, założona w 2004 r. przez przedstawicieli rdzennych mieszkańców, rozczarowanych brakiem progresywnych idei w programie Partii Pracy. Zgodnie z politologiczną terminologią nazwać ich właściwie można partią jednej kwestii – ich głównym celem jest umieszczenie maoryskiej kultury ponad anglosaską, albo przynajmniej na równi z nią. Wokół tego postulatu budują każdą kampanię wyborczą. Z dobrym skutkiem, bo od powstania zawsze, z jednym wyjątkiem, udawało im się wchodzić do parlamentu.

Teraz mówią już konkretnie: do 2026 r. wszystkie angielskie nazwy geograficzne muszą wrócić do swoich maoryskich odpowiedników,

premier Jacinda Ardern. I jak przystało na sprawną polityczkę z mainstreamu, odpowiedziała tak, by nie powiedzieć nic. „Zmiana nazwy państwa nie jest czymś, co braliśmy pod uwagę, ale zachęcamy wszystkich do używania zamiennie nazw Nowa Zelandia i Aotearoa”. Tymi słowami uciekła z kulturowego pola walki, ale nie zaspokoila żadnej ze stron konfliktu.

Mapa historii

Przemianowanie kraju byłoby oczywiście przedsięwzięciem czasochłonnym i kosztownym, zwłaszcza wizerunkowo. Nie jest jednak niemożliwe, zwłaszcza że w historii istnieją precedensy. Jak zauważa prof. Claire Breen z Uniwersytetu Waikato, Nowa Zelandia zmieniała już nazwę kilkakrotnie. Zaczynała od Aotearoa, ale w 1642 r. pojawili się tu Europejczycy. Abel Tasman, myśląc, że dopłynął do okolic dzisiejszej Argentyny, nowo poznany ląd określił mianem Staten Island, angielskim odpowiednikiem Isla de Los Estados, znajdującej się w Ameryce Południowej. Później jednak monopol w światowej kartografii przejęli Holendrzy, od których wywodzi się dzisiejsza nazwa. Zelandia była wówczas wschodnią prowincją Holandii, oznaczającą „ziemię nad morzem”. Było to zresztą dla Holendrów określenie dość uniwersalne, bo tak nazywali na swoich mapach prawie każdy ląd na odległych oceanach, w tym Tajwan i Gujanę. Żeby jednak odróżnić południowe

Lista nazw, które czekają na dyskusję o kolonializmie, jest długa.

cechuje się budowaniem fałszywego obrazu świata w sprzeczności do faktów. Nie można jednocześnie zapominać, że dzisiejsze suwerenne kraje, powstałe w miejscach dawnych kolonii, są już dziełem wspólnym. Dlatego jakiegokolwiek byłyby nowe mapy, muszą odzwierciedlać jak największą część skomplikowanej historii tych narodów. Tak aby umieszczone na nich nazwy mógł za własne uznać każdy.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Przeżyjmy to jeszcze raz

Od czego się zaczęło? Zapewne od wypowiedzi głównego inspektora sanitarnego, profesora (a jakże) Jarosława Pinkasa. 29 lutego 2020 r. powiedział on „Dziennikowi Gazecie Prawnej”: „Wielu polityków, którzy posługują się straszeniem koronawirusem jako elementem gry politycznej, powinno sobie włożyć lód do majtek”. Pomińmy kulturę tej wypowiedzi, charakterystyczną dla obecnej władzy. Ale „element gry politycznej”? W Polsce pisowskiej epidemia nie miała prawa się zdarzyć, a pandemia nie miała prawa nas dotknąć. Władze mówiły nawet, że koronawirus to taka odmiana grypy. Ale i szczepionki na gripę stały się wtedy nieosiągalne.

Te początkowe, bagatelizujące reakcje władz okazały się trwałe. Gdy zaś ujawniły się pierwsze zarażenia, pojawiło się w dodatku szukanie winnych. I winni okazali się... lekarze. Dobrze, że szybko zrezygnowano z tej samobójczej taktyki. Nigdy jednak nie zrezygnowano z propagandy. Oto w obecności kamer, witany przez premiera, ląduje w Warszawie olbrzymi antonow, przywożący maseczki z Chin. Już wkrótce maseczki te okażą się bezużyteczne. Inne maseczki załatwia się po szemranych znajomościach, za wygórowane ceny, bez troski o certyfikaty. Niebawem przekonujemy się, że i one są do wyrzucenia. Ile osób zmarło, zakładając naiwnie te maseczki? Priorytetem rządzących była zawsze nie tyle walka z pandemią, ile wykorzystywanie pandemii do własnych, politycznych celów. Albo nawet – do dorobienia sobie do pensji.

A „wybory kopertowe”? Nie doszło do nich tylko wskutek determinacji wicepremiera Jarosława Gowina. A ile zarażeń by spowodowały? Wszak nie było jeszcze wtedy szczepionek. W lipcu 2020 r., gdy nadal nie było szczepionek, lecz przynajmniej fala zarażeń opadła, wybory już się odbyły. I to w tym czasie Mateusz Morawiecki wypowiedział słynne słowa: „Cieszę się, że coraz mniej obawiamy się tego wirusa (...), on jest w odwrocie. Już nie trzeba się go bać, trzeba pójść na wybory, tłumnie. (...) Wszyscy, zwłaszcza seniorzy, nie obawiamy się. Idźmy na wybory”. Ilu z nas, „zwłaszcza seniorów”, posłuchało tego wezwania? Prezydent usprawiedliwiał potem premiera, mówił, że taka była wtedy opinia lekarzy. Nic podobnego: żaden lekarz niczego takiego nie głosił, przeciwnie,

wszyscy twierdzili, że po wakacjach, po powrocie młodzieży do szkół, wirus zaatakuje ze wzmożoną siłą. Czyli wtedy także – zawsze w imię własnego interesu – władza nas oszukiwała. Czy będzie demagogią stwierdzenie, że ma ona krew na rękach?

Bo przecież Rada Medyczna przy premierze powstała w listopadzie 2020 r. Czyli dopiero wtedy można było powoływać się realnie na opinię świata lekarskiego. Ale żywot rady i tak nie był długi: niewiele ponad rok po jej powstaniu 13 z 17 jej członków zrezygnowało; stwierdzili, że ich opinie są przez rząd lekceważone. Trudno o cięższe oskarżenie. Gdy jednak rzecznik tłumaczył potem, że rząd musi słuchać też innych, nie tylko lekarzy, to oskarżenie musi być jeszcze cięższe. Bo niby kogo trzeba słuchać w pandemii?

Kogo? Ano własnego elektoratu! No i Kościoła. Elektorat PiS jest, jak wiadomo, w znacznej mierze antyszczepionkowy. Co zresztą współbrzmie z nastawieniem części tej władzy – wszak jeszcze niedawno dr Duda wyznawał, że nie lubi, gdy mu ktoś „operuje igłą w okolicach ramion, przedramion czy jakiegokolwiek części ciała”. A Kościół, tak wrażliwy na życie nienarodzone?

Dla Kościoła zgony wiernych nie tak ważne były jak pustoszące świątynie. A i do szczepień mieli biskupi stosunek sceptyczny; kojarzyli je z aborcją, bo im wszystko kojarzy się z aborcją.

Prawda, że to się zmieniło – przynajmniej w części: dziś dr Duda namawia do przyjęcia trzeciej dawki; Prezes-Nic-Nie-Może-Kaczyński stara się przekonywać postów antyszczepionkowców; biskupi powściągnęli najbardziej odlotowe opinie. A przecież nawet teraz walka z pandemią wydaje się grą pozorów: sprowadza się do mało istotnych ograniczeń oraz zwiększania liczby szpitalnych łóżek. No i wciąż nie stała się priorytetem. Gdy małopolska kurator oświaty Barbara Nowak (skądinąd nie lekarz, lecz historyk) uznaje, że szczepienia to tylko eksperyment, zostaje łagodnie skarcona, lecz bynajmniej nie odwołana – zbyt jest dla władzy cenna. Natychmiast też broni jej prawicowy guru, prof. Andrzej Nowak. Też historyk.

Na razie w Polsce na covid umarło ponad 100 tys. ludzi. Ilu z nich można było uratować? Rząd jednak miał zawsze własne priorytety.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Początkowe, bagatelizujące covid reakcje władz okazały się trwałe.

Gry na szczytach władzy

Moskwa próbowała zmieniać I sekretarzy PZPR.
Czasem to jej się udawało, czasem nie

Robert Walenciak

Jednym z defektów Polski Ludowej był nieuregulowany system zmian najwyższych władz. Nigdzie nie było to opisane, ustalone. A że Polska była częścią obozu socjalistycznego, to historia PRL jest również historią dramatycznych zmian na szczytach władzy, na które wpływał, z różnym powodzeniem, chciała mieć Moskwa.

Czym był Październik '56 i niezapowiedziany przylot do Warszawy Nikity Chruszczowa? Z punktu widzenia Moskwy zdarzyła się rzecz nie do zaakceptowania – polscy komuniści samowolnie wybrali Władysława Gomułkę na I sekretarza KC PZPR oraz Biuro Polityczne. Nic dziwnego, że Chruszczow na lotnisku Okęcie beształ Ochabę¹ i ostentacyjnie ignorował Gomułkę. „A to kto?”, pytał. Nocne

Chruszczow na lotnisku Okęcie beształ Ochabę i ostentacyjnie ignorował Gomułkę. „A to kto?”, pytał.

rozmowy w Belwederze skończyły się bez znaczących konkluzji. Chruszczow wracał do Moskwy nieprzekonany do Gomułki i wiele miesięcy musiało upłynąć, nim go zaakceptował.

Zmiana w roku 1970 przebiegała inaczej. Moskwa brała w niej udział, pytanie tylko, w jak dużym stopniu. Piotr Jaroszewicz, w tym czasie wicepremier, przedstawiciel Polski przy Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w Moskwie, wspominał, że 16 grudnia, trzeciego dnia zamieszek na Wybrzeżu, przyszedł do jego gabinetu premier Aleksiej Kosygin i oświadczył, że kierownictwo radzieckie uważa, że konflikt z robotnikami jest szkodliwy, trzeba go zakończyć politycznymi ustępstwami. Wymaga to odwołania Gomułki, a I sekretarzem powinien zostać Edward Gierek.

Innymi słowy, stoczniovcy rozpoczęli strajk w poniedziałek, 14 grudnia,

a już następnego dnia kierownictwo radzieckie przygotowało plan rozwiązania sytuacji w Polsce. W środę plan zaczął być realizowany, w czwartek mieliśmy masakerę w Gdyni.

W czwartek też przekazany został list kierownictwa ZSRR do KC PZPR, z czytelną sugestią, że rozwiązanie kryzysu musi być „polityczne”. Czyli zakończone zmianą na najwyższym szczeblu. Co ważne, list był skierowany do KC, a nie do I sekretarza. Dawał też poczucie bezpieczeństwa – że jeśli ktoś przyłoży rękę do odejścia Gomułki, to nawet gdyby się nie udało, może liczyć na obronę ze strony towarzyszy radzieckich.

Po tym liście Gomułka zwołał na piątek posiedzenie Biura Politycznego. Jeszcze chciał walczyć, ale w nocy z czwartku na piątek doznał lekkiego wylewu i to przesądziło. Zamiast na posiedzenie, pojechał do szpitala.

Dziesięć lat później, w roku 1980, również wydarzenia w Gdańsku wymusiły zmianę. Czy towarzyszyła im intryga na najwyższym szczeblu? W każdym razie w Moskwie wydarzeniom w Polsce przypatrywano się szczególnie uważnie. Już 25 sierpnia Biuro Polityczne KC KPZR powołało zespół pod przewodnictwem Michała Susłowa, który miał monitorować wydarzenia nad Wisłą. Warto pamiętać – podobny zespół, także pod przewodnictwem Susłowa, działał w roku 1968 podczas wydarzeń w Czechosłowacji.

Jedną z pierwszych decyzji zespołu Susłowa było utworzenie zgrupowania wojskowego do interwencji w Polsce. Stało się to 28 sierpnia, czyli jeszcze przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych! Czy już wtedy Moskwa wiedziała, że Edward Gierek straci stanowisko i że Polska

pogrąży się w kryzysie gospodarczym i politycznym?

Tymczasem odchodzenie Edwarda Gierka odbywało się na raty. Najpierw zmieniony został premier i rząd, Edwarda Babiuchę zastąpił Józef Pińkowski. Jak relacjonuje prof. Andrzej Werblan, w tym czasie członek Biura Politycznego KC PZPR, 30 sierpnia, po posiedzeniu Biura Politycznego, już w wąskim gronie, z udziałem Jaruzelskiego, Kania i Olszowskiego, Gierek zadeklarował, że jest gotów odejść. Tylko wpierv trzeba wybrać jego następcę. Czyli kogo? „Sami zdecydуйте, który z was”, miał zadeklarować. Po czym wyszedł i poprosił, by przygotowano mu przemówienie rezygnacyjne. 31 sierpnia to przemówienie leżało na jego biurku, ale ostatecznie Gierek wrzucił je do szafy pancernej, bo pretendenci nie doszli do porozumienia.

Nie zamknęło to dyskusji o sukcesji. Pozycja Gierka słabła, rosło natomiast poparcie dla Stanisława Kania. Popierał go m.in. Wojciech Jaruzelski. Tę grę przerwał zawał Gierka w nocy z 5 na 6 września 1980 r. „Choroba Gierka ułatwiła rozwiązanie – to komentarz prof. Werblana. – Kania chciał zmiany i moim zdaniem już wiedział, że ma radzieckie poparcie. Po krótkich konsultacjach zwołał nadzwyczajne posiedzenie KC”.

Przełom sierpniowy przyniósł nowy układ na szczytach władzy. I sekretarzem KC PZPR został Stanisław Kania, wzrosła też rola Wojciecha Jaruzelskiego, który zimą objął funkcję premiera, zachowując stanowisko szefa MON. Z kolei Stefan Olszowski stał się jednym z liderów, a potem liderem wewnątrzpartyjnej opozycji.

Duet Kania-Jaruzelski szybko rozczarował Moskwę, na Kremlu zarzucano im kunktatorstwo i uległość wobec „kontrrewolucji”. Przystąpiono więc do budowania w Polsce alternatywnej ekipy. Moskwa słała do ambasadora ZSRR w Warszawie Borisa Aristowa i rezydenta KGB

Witalija Pawłowa polecenia, by rozglądali się za nowym I sekretarzem. „Kania i Jaruzelski nie nadają się do skutecznego kierowania partią i rządem. (...) Nie posiadają nawet chęci walki, niezbędnej u przywódców, od których oczekuje się chęci podjęcia zdecydowanych kroków”.

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. 30 maja 1981 r. ambasador Aristow i Witalij Pawłow wystali do Leonida Breżniewa i Biura Politycznego KC KPZR wspólną informację, w której pisali: „Obecna sytuacja wymaga pilnego rozważenia konieczności zdymisjonowania (Kania) ze stanowiska I sekretarza Komitetu Centralnego i wymienienia go na towarzysza zdolnego do zachowania marksistowsko-leninowskiego charakteru państwa polskiego. Analiza nastrojów aktywu partyjnego wskazuje, że najlepszym kandydatem na stanowisko I sekretarza KC PZPR jest towarzysz Tadeusz Grabski”.

Moskwa miała zatem faworyta, trzeba było wprowadzić go na szczyty. Przyjęto plan, który zakładał zmianę podczas czerwcowego plenum. Najpierw nagłośniona została deklaracja Katowickiego Forum Partyjnego. Pisano w niej, że w PZPR narastają tendencje rozbijackie i likwidatorskie; szerzą się w niej poglądy i nastroje antyradzieckie. Podkreślano, że PZPR

ma swój internacjonalistyczny obowiązek. Było to więc niemal otwarte zaproszenie do interwencji.

Kropką nad i był upubliczniony 5 czerwca 1981 r. list KC KPZR skierowany nie do przywództwa PZPR, ale do członków Komitetu Centralnego, jedyne go ciała, które pomiędzy zjazdami mogło zmienić kierownictwo partii. „Nad rewolucyjnymi zdobyczami narodu polskiego zawisła śmiertelna groźba – czytamy w nim. – Niekończące się ustępstwa wobec sił antysocjalistycznych doprowadziły do tego, że PZPR krok za krokiem

Rezydent KGB w grudniu 1981 r. informował, że jeśli Jaruzelski się załame, to Olszowski gotowy jest dokonać zamachu stanu, pod warunkiem że otrzyma poparcie Moskwy.

ustępowała pod naciskiem wewnętrznej kontrrewolucji. (...) Narasta fala antykomunizmu i antyradzieckości”.

Ale w tak trudnej chwili, piszą autorzy listu, „jest jeszcze możliwość powstrzymania najgorszego. W PZPR jest wielu uczciwych i zdecydowanych komunistów, gotowych czynnie walczyć o ideały marksizmu-leninizmu. Czas na mobilizację wszystkich sił do walki z kontrrewolucją”.

List kończyły słowa Breżniewa: „Socjalistycznej Polski, bratniej Polski

nie opuścimy w biedzie i nie damy jej skrzywdzić!”.

XI Plenum KC PZPR zwołane było na 9 czerwca. Rozpoczęło się od ataków na Kanię i Jaruzelskiego, że nie dają rady, ustępują przed kontrrewolucją itd. Atakował Tadeusz Grabski, a także generałowie Włodzimierz Sawczuk i Eugeniusz Molczyk.

W drugiej części obrad sytuacja się odwróciła. Ostatecznie zwycięzcami starcia na plenum, i to z potężną przewagą (89-24), okazali się Kania z Jaruzelskim. Ale to nie znaczy, że Moskwa sprawę Polski sobie odpuściła.

Zwłaszcza że wkrótce przyszło jej przeżyć kolejne rozczarowanie. Otóż na Kremlu wielkie nadzieje wiązano z odsunięciem z funkcji I sekretarza Stanisława Kania i tym, że zastępuje go Wojciech Jaruzelski. Ale i on szybko stracił zaufanie radzieckich.

11 grudnia 1981 r. ambasador Aristow oraz Kulikow² i Pawłow we wspólnym sprawozdaniu dla Biura Politycznego KC KPZR pisali: „W obliczu skłonności W. Jaruzelskiego do wahań i powątpiewania nie możemy wykluczyć możliwości, że ugnie się pod naciskiem episkopatu i innych sił, nie podejmie ostatecznej decyzji i będzie nadal kroczył drogą ustępstw i porozumień”. Tę informację znamy z „Archiwum Mitrochina”. Stamtąd wiemy też, że dzień później Pawłow informował Moskwę, że jeśli Jaruzelski się załame, to Olszowski gotowy jest dokonać zamachu stanu, ale pod warunkiem, że otrzyma poparcie Moskwy.

Stan wojenny został jednak wprowadzony. Wojsko wyszło z koszar i zajęło te miejsca, gdzie według planów inwazyjnych stacjonować miały wojska ZSRR, Czechosłowacji i NRD. Komandosi zablokowali lotniska. W ten sposób Jaruzelski wygrał kolejne starcie.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



KTO SZUKA PRAWDY, ZNAJDZIE JĄ U WALENCIAKA

GAMBIT JARUZELSKIEGO
z autografem i dedykacją autora

Prośby o dedykacje można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111 lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Zamawiając przez sklep internetowy, wpisz treść dedykacji w uwagach

49 zł

Wpłaty 49 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

¹ Edward Ochab – po śmierci Bolesława Bieruta od marca do października 1956 r. I sekretarz KC PZPR.

² Wiktor Kulikow – marszałek ZSRR, był przewidziany na dowódcę wojsk inwazyjnych w Polsce.



Polacy prowadzeni na rozstrzelanie w Węgierskiej Górze, wrzesień 1939 r.

Szwadrony śmierci

Fala niemieckiego terroru przelała się we wrześniu 1939 r. przez Górny Śląsk

Dariusz Zalega

Dwa zdjęcia Katowic z września 1939 r. Na jednym żołnierze Wehrmachtu obsypywani kwiatami przez mieszkańców, na drugim – grupa mężczyzn podążająca na egzekucję główną ulicą miasta. Obydwie fotografie ukazują złożoność śląskich losów.

O tych kwiatkach po 1945 r. starano się zapomnieć. Można jednak je zrozumieć – centra miast polskiego Śląska wciąż miały dużą mniejszość niemiecką, a wielu Ślązaków było rozczarowanych międzywojenną Polską. Aby przyćmić to wspomnienie, przypomniano o obronie regionu – po wycofaniu się polskich wojsk – przez harcerzy i powstańców śląskich. Kazimierz Gołba napisał wówczas słynną

powieść „Wieża spadochronowa” o rzekomych obrońcach wieży – śląskich harcerzach. Prof. Ryszard Kaczmarek i dr Grzegorz Bębniak skutecznie jednak podważyli ten mit, badając niemieckie archiwa.

Opór na Śląsku był jednak faktem. Jeszcze 3 września grupie powstańców i młodzieży udało się na krótko odbić ratusz w Chorzowie. – Postawa obrońców musiała być dla Niemców dokuczliwa, skoro do miasta skierowano też pododdział grupy operacyjnej (Einsatzgruppe I) Brunona Streckenbacha, której zadaniem było „zabezpieczanie” tyłów Wehrmachtu, jak nazywano brutalną pacyfikację opanowanych terenów, m.in. poprzez egzekucje – mówi historyk dr Mirosław Węcki. Do starć dochodziło w wielu miastach regionu.

O oporze świadczą także hitlerowskie represje, które od razu po wkroczeniu Wehrmachtu spadły na propolskich Ślązaków. W sprawozdaniu Einsatzgruppen der Sicherheitspolizei z 15 września 1939 r. Śląsk określono jako „kolebkę grup powstańczych”. Zapowiedziano wprost: „Bezwzględna likwidacja band, partyzantów i sabotażystów doprowadzi do usunięcia czynników niepokoju”. W samym Chorzowie w walkach i egzekucjach zginęło we wrześniu prawie 50 polskich powstańców i harcerzy.

Siewcy przemocy

Pion śledczy IPN w Katowicach prowadzi postępowanie w sprawie zbrodni popełnionych „przez naruszenie prawa międzynarodowego wobec ludności cywilnej obszaru okupowanego”, dokonanych od 2 do 15 września 1939 r. w Katowicach, Chorzowie i Świętochłowicach.

Zbrodni dokonywali żołnierze Wehrmachtu i członkowie odtworzonych freikorpsów, złożonych ze Ślązaków, którzy wcześniej uciekli na

niemiecką stronę granicy, a przede wszystkim policja bezpieczeństwa.

Udział Ślązaków z polskiej strony regionu, zwłaszcza w szeregach słynnej Sonderformation Ebbinghaus, sprzyjał wykrywaniu polskich działaczy – często ich sąsiadów – ale również prowadził do bezpośrednich porachunków. Przemoc polityczna w obu częściach Śląska po dojściu Hitlera do władzy zaczęła bowiem narastać i ta walka stawała się coraz brutalniejsza.

Prawdziwymi siewcami przemocy były jednak specjalne grupy policji bezpieczeństwa, Einsatzgruppen. W sierpniu 1939 r. w ramach akcji „Tannenberg” powstało pięć takich grup specjalnych w sile ok. 2,4 tys. funkcjonariuszy. Ich zadaniem było zwalczanie „potencjalnych przeciwników”, ale we wrześniu wielokrotnie prowadziły one działalność eksterminacyjną.

Na Górnym Śląsku początkowo działała wiedeńska grupa SS Brigadeführera Brunona Streckenbacha. Ten jeszcze jako szef monachijskiego gestapo wsławił się brutalnością wobec więźniów. W rozmowach prywatnych wspominał później, jak to we wrześniu 1939 r. upijano się przed rozstrzeliwaniem zakładników.

Dołączyła do niego specjalna grupa, którą dowodził Udo von Woysch. Powołano ją do życia dopiero 3 września, uznano bowiem, że ze względu na walki z powstańcami śląskimi sytuacja staje się niebezpieczna dla zaplecza niemieckiego frontu. Należy zauważyć, że była to ocena na wyrost – mimo wszystko opór był punktowy – lecz Himmler nakazał powołać tę nową grupę operacyjną, przypominając przy tym, że obowiązuje rozkaz rozstrzeliwania na miejscu powstańców schwytanych z bronią w rękę. Można jedynie przypuszczać, że wyolbrzymianie „działalności terrorystycznej” powstańców śląskich mogło być dobrym pretekstem do zaostrzenia represji wobec polskich działaczy.

Znany z okrucieństwa Udo von Woysch już od 1930 r. stał na czele śląskiej SS. Himmler nakazał mu stłumienie „radikalnymi, będącymi w jego dyspozycji środkami polskiego powstania”, o czym prof. Kaczmarek pisał w monografii Śląska pod rządami nazistów. Wehrmacht w ten sposób nie musiał brudzić sobie rąk,

przekazując siłom bezpieczeństwa „zwalczanie i rozbrajanie polskich band, egzekucje i aresztowania”. Od celu militarnego ważniejszy był jednak cel polityczny – uderzenie w polską część Ślązaków.

Policjanci mieli ułatwione zadanie, gdyż dysponowali specjalną księgą gończą (*Sonderfahndungsbuch Polen*), obejmującą ponad 61 tys. nazwisk Polaków „szczególnie niebezpiecznych dla Rzeszy”. Znaleźli się na niej także, co warto podkreślić, Niemiec socjaliści z polskiego Śląska, tacy jak Johann Kowoll czy Zygmunt Glücksmann. Tę listę proskrypcyjną gestapo przygotowało jeszcze przed wojną, korzystając też z informacji swoich agentów w Polsce (zdigitalizowaną księgę można znaleźć na stronie Śląskiej Biblioteki Cyfrowej). Ponadto w Lublińcu policji bezpieczeństwa udało się przejąć kartotekę Związku Powstańców Śląskich, a w regionie prowadzono kolejne „akcje oczyszczające” (*Säuberungsaktion*). Zarząd wojskowy nakazał zgłaszanie kryjówek powstańców i miejsc przechowywania przez nich broni. Za udzielenie schronienia groziła kara śmierci.

Himmler wydał rozkaz rozstrzeliwania na miejscu powstańców śląskich schwytanych z bronią w rękę.

Śledztwa w sprawie byłych powstańców śląskich ciągnęły się przez całą jesień 1939 r. Najczęściej trafiali oni do więzienia w Katowicach, tymczasowego obozu koło Gliwic (Neubersdorf – Nieborowice) i obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Według obliczeń badacza historii Górnego Śląska prof. Andrzeja Szefera do końca 1939 r. zginęło ok. 900 byłych powstańców.

Czas apokalipsy

Od początku września trwały masowe egzekucje dokonywane przez policję bezpieczeństwa, zarządzającą katowickim więzieniem sądowym. Więźniów wyprowadzano w grupach i rozstrzeliwano w różnych punktach miasta: na ulicach, w parkach, na boisku sportowym. Zwłoki przewożono do krematorium w Gliwicach i mogił zbiorowych w Lesie Panewnickim, na obecnym południu Katowic. Gajowy Franciszek Kuźnik już po

zakończeniu wojny wskazał miejsce pochówku polskim śledczym, dzięki czemu przeprowadzono tam ekshumację. Niestety, odsłonięto wówczas tylko trzy duże groby, zawierające łącznie zwłoki 46 osób, z których zidentyfikowano zaledwie cztery.

Na podstawie ankiet Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach i śledztw przeprowadzonych przez komisję ustalono, że w Katowicach we wrześniu 1939 r. rozstrzelano ok. 750 osób. Udało się ustalić nazwiska jedynie 100 ofiar, co może wskazywać, że liczba ta jest przeszacowana – co oczywiście nie umniejsza skali zbrodni.

Krew połała się nie tylko w Katowicach. Znamy nazwiska większości ofiar, często pochodzących z niewielkich miejscowości, zwłaszcza z terenu na południe od Katowic – uznawanego przez hitlerowców za centrum polskiej irredenty. 3 września w Orzeszu aresztowano 29 Polaków wskazanych przez członków freikorpsu. Następnego dnia zostali rozstrzelani. Już 2 września w Łaziskach Dolnych rozstrzelano 17 osób. W ciągu dwóch dni w pobliskich Łaziskach Górnych

zamordowano 26 osób. Łaziska Średnie – 19 ofiar, w tym czterech członków rodziny Bajdołów i dwie kobiety. Tychy – co najmniej 13 ofiar. Pszczyna – rozstrzelano 13 harcerzy. Jankowice niedaleko Pszczyny – 13 osób, w tym sześciopięcioro rodzina Gazdów (wśród ofiar czwórka ich dzieci w wieku 8-14 lat). Ta lista jest długa...

Historyk prof. Czesław Madajczyk oceniał, że liczba ofiar egzekucji na Górnym Śląsku sięgnęła we wrześniu ok. 1,4 tys.; mordowano głównie byłych powstańców, propolskich działaczy i harcerzy. O wiele więcej niż na innych ziemiach ówczesnej Polski było wśród ofiar robotników – dawnych powstańców. Fala terroru miała bowiem zastraszyć środowiska propolskie. „Po zakończeniu działań wojennych zapobiegnie się powrotowi zdecydowanych na wszystko polskich elementów”, czytamy w cytowanym już sprawozdaniu Einsatzgruppe z 15 września 1939 r. Tak jednak się nie stało. ■

Cieszymy się, gdy pacjenci wracają do normalnego życia

Pionierzy rehabilitacji postcovidowej z Głuchołaz

Beata Dżon-Ozimek

Szpital Specjalistyczny MSWiA w Głuchołazach jako pierwszy w Europie stworzył centrum rehabilitacji po przebyciu COVID-19 i pilotażowy program leczenia postcovidowego. Jest doceniany i rozpoznawany, zwłaszcza za granicą.

– Pandemia to jest wojna, na wojnie trzeba działać szybko albo się przegrywa. Nasz pilotażowy program rehabilitacji postcovidowej był odpowiedzią na potrzebę, która się pojawiła. Ktoś próbuje wynaleźć szczepionki, ktoś ratuje, ktoś leczy, no i przychodzi moment, że trzeba pracować dalej z tymi pacjentami – mówi dyrektor szpitala MSWiA w Głuchołazach Mariusz Grochowski.

Święta wielkanocne 2020 r., szpital jako jeden z pierwszych w województwie opolskim przyjmuje pacjentów covidowych, nie bez oporów ludności. – Zaczęły padać domy pomocy społecznej, w Wielki Piątek telefon od wojewody, że nazajutrz zacząć nam zwozić pacjentów z tych ośrodków. Słyszeliśmy, że w szpitalach różnie bywało, lekarze nie chcieli mieć kontaktu z tymi pacjentami. U nas lekarze, pielęgniarki i administracja pracowali wtedy całą noc, żeby przygotować szpital na przyjęcia. Nie dość, że pielęgniarki i lekarze, którzy nie mieli dyżuru, przyszli do pracy, to jeszcze inni dzwonili, że jeśli trzeba, też są gotowi przyjść. Nikt nie pytał o pieniądze. Ci ludzie po to wybrali taki zawód, żeby ratować życie i zdrowie. Byłem zbudowany postawą całego zespołu – wspomina dyrektor szpitala.

A miejscowi się bali. – Jak zaczęli nam przywozić chorych z DPS, zaczęto mnie z wielką agresją jako lekarza i radnego: „Po co przywozicie to świństwo tutaj?”. „Po to, żebyśmy,

jak, nie daj Boże, zachoruje ten człowiek, potrafili pomóc na miejscu, a nie wozili go na drugi koniec województwa”. Przekonywałem, że skoro sobie poradziłem z gruźlicą i nie rozlała się nam na miasto 100 lat temu, to mam nadzieję, że i z tym sobie poradzimy. I tak było – podkreśla dr hab. Mariusz Migala, szef oddziału rehabilitacji ambulatoryjnej przy szpitalu, zajmujący się też historią leczenia gruźlicy w Głuchołazach.

W maju czy czerwcu dotarły do szpitala materiały tłumaczone z języka chińskiego. – Prof. Jan Szczegielniak, kierownik Działu Usprawniania Leczniczego, znalazł rekomendacje, że po tej chorobie potrzebna byłaby rehabilitacja. Mamy rehabilitację pulmonologiczną, a to jest choroba płuc, więc może byśmy uruchomili taki program. Pojeździliśmy po ministerstwach, porozmawialiśmy, przyznano nam na dwa lata ten program,

na rehabilitacji w tym szpitalu – znaczący lekarze.

To jest straszna choroba

Nie ma pacjentów tylko z jednym schorzeniem. Na skutek covidu mają schorzenia kardiologiczne, pulmonologiczne, neurologiczne, skórne, wypadają im włosy, zdarzają się nawet amputacje kończyn. – Nasi fizjoterapeuci z lekarzami szybko doszli do wniosku, że powinno się rozszerzyć diagnostykę. I określić, czy pacjent powinien mieć główną rehabilitację nastawioną na pulmonologiczną, kardiologiczną jako jedno, czy neurologiczną, psychiczno-psychiatryczną albo związaną z bólami mięśniowymi, stawów itd. – wyjaśnia dyrektor Grochowski. Okazało się, że oprócz tego ponad 90% ludzi miało depresję. – Jako jedni z pierwszych na świecie zaczęliśmy stosować

Po covidzie pacjenci mają schorzenia kardiologiczne, pulmonologiczne, neurologiczne, skórne, wypadają im włosy, zdarzają się nawet amputacje kończyn.

kończy się w tym roku w sierpniu. Na początku było stosunkowo mało pacjentów, ale bodajże w październiku, kiedy premier z mównicy sejmowej powiedział, że jest taki program w Głuchołazach, zaczęły się działać sceny dantejskie. Codziennie po kilkadziesiąt skierowań – opowiada dyrektor Grochowski. Autorami programu są prof. Jan Szczegielniak, dr Katarzyna Bogacz, dr hab. Edyta Majorczyk, dr Anna Szczegielniak oraz dr Jacek Łuniewski.

Szpital rehabilituje 120 pacjentów podczas 21-dniowych pobytów. Najstarsi są grubo po osiemdziesiątce, a najmłodszy miał 27 lat. – Tak młodych pacjentów nie mieliśmy nigdy

w rehabilitacji wirtualną rzeczywistość. Zakupiliśmy filmy kręcone kamerą 360 st. i jeżeli pacjent nie może wychodzić, a potrzebuje relaksu, sadzamy go w goglach wirtualnych na plaży w Australii albo w rajskim ogrodzie, pośród barwnych kwiatów i ptaków, albo w górach, w lesie i on sobie tam odpoczywa, prowadzony przez terapeutę – mówi Mariusz Grochowski.

Pacjenci, którzy przyjeżdżają na rehabilitację po covidzie, równolegle potrzebują leczenia, mają stany zapalne, zalegającą wydzielinę w płucach. Pomaga się im za pomocą ćwiczeń, masażu czy specjalnego sprzętu, który jedna z francuskich



System rehabilitacji do terapii funkcji poznawczych i ruchowych.



Wirtualna rzeczywistość w rehabilitacji zaburzeń związanych z łękiem i depresją.

firm użyczyła szpitalowi, kiedy dowiedziała się o programie rehabilitacji po COVID-19. – My widzimy, że to jest straszna choroba, trzeba do niej podchodzić holistycznie. Pacjenci, osoby na wysokich stanowiskach, po covidzie mieli problem z wystąpieniem się, z wypowiedzeniem zdania po polsku. Zaraz na początku prof. Szczegielniak powiedział: „Kupmy krzyżówki, niech oni rozwiązują krzyżówki, będą w ten sposób się pobudzać”. Po kilku dniach mówi: „Gdzie krzyżówki! Kolorowanki, takie jak dla dzieci w przedszkolu”. Problem jest ogromny – przyznaje dyrektor szpitala MSWiA w Głucholazach. Widoczne są też pewne luki. – Jest sporo pacjentów, którzy powinni być rehabilitowani na OIOM. Trzeba nad tym w skali kraju pracować, bo wyzwania związane z tą chorobą są gigantyczne – dodaje szef szpitala.

Znani od Oksfordu po Tajwan

Głucholazy na Opolszczyźnie, do 1945 r. niemieckie Bad Ziegenhals, dawniej były ważnym ośrodkiem leczenia gruźlicy, również po wojnie. – To było jedno z najbardziej



nałonecznionych miejsc na terenach niemieckich, sanatoria z pacjentami na tarasach przypominały te z „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna – mówi dr hab. Mariusz Migąła.

Miasto obchodzi 800-lecie. Świątuje też przyznanie szpitalowi MSWiA przez The Academic Union z Oksfordu, organizację wspierającą

Dyr. Mariusz Grochowski: Wiele schorzeń wymaga przygotowania programów rehabilitacji. My mamy zespół, który potrafi i chce to robić.

postęp w nauce i edukacji, wyróżnienia Top 100. Achievements 2021 za program rehabilitacji postcovidowej.

Po wprowadzeniu nowatorskiego programu szpital przeżywał najazd mediów. – Najpierw telewizje z Polski, wszystkie gazety, w pewnym momencie przyjechała AFP z Francji i zrobiła reportaż. Jednocześnie prowadziliśmy rozmowy z placówką WHO o tym, co tutaj chcemy robić. I to rozprzestrzeniło się na cały świat. Reportaż o naszym szpitalu zrobił dziennikarz z Tajwanu, mówiło się już o nas w Azji. Pewnie stąd także to wyróżnienie z Oksfordu – tłumaczy dyrektor Grochowski. Do stał gratulacje od ministra, wojewody, z NFZ, z wielu instytucji. – Bardzo z tego się cieszymy, to buduje klimat, jeżeli później występuję np. o rozszerzenie naszego programu, to pokazuję: patrzcie, widzą nas w świecie, ▶



Treningi na rowerach stacjonarnych umila film.

► mamy efekty pracy. I liczę, że łatwiej mi będzie pozyskać finansowanie na kolejne programy, pomysły, bo jesteśmy skuteczni. A że mamy na tyle wykształconą, ciekawą i innowacyjną kadrę, to wszystko, co zostało tutaj zrobione, jest nowością na skalę światową – bez fałszywej skromności mówi szef szpitala.

Od A do E

Pierwsze piętro, tu przychodzą pacjenci ze skierowaniem na rehabilitację postcovidową. Najpierw test sześciominutowego marszu. Potem test sprawności, „wstań i usiądź”, test Fullerton i inne. – Do tego badamy oczywiście ciśnienie, saturację,

Najstarsi pacjenci są grubo po osiemdziesiątce, najmłodszy miał 27 lat.

są specjalne ankiety, które stwierdzą, jakie pacjent ma dodatkowe objawy po covidzie, w jaki sposób go przeszedł, czy może ma depresję, stany lękowe. To wszystko koleżanki analizują i kwalifikują pacjenta do jednego z pięciu modeli, od A do E. A to jest grupa najmocniejsza, E – najłabsza. Potem rozpisanie programu rehabilitacji i pacjent zaczyna ćwiczyć – wyjaśnia dr Katarzyna Bogacz, zastępczyni prof. Szczegielniaka.

Dwie sale z rowerkami, w każdej inny filmik dla umilenia treningu. – Pacjent jest podłączony do pulsoimetru, czyli monitorujemy tętno, pacjent również je widzi, może sam kontrolować, żeby go nie przekroczyć.

Pacjenci ciężko pracują, od godz. 8 do 15; właściwie co godzinę mają jakiś zabieg, sześć procedur, bo pięć mają zgodnie z NFZ, a dodatkowo indywidualne „od dyrekcji”. – Jeżeli ktoś miał problemy związane z zatorowością, to ma zabieg mikrokążeń, jeśli problemy z pamięcią, tzw. mgłę pocovidową, jeśli nie może nawet trafić tutaj do pokoju, zapomina, co zrobił, też mamy specjalne ćwiczenia – zapewnia dr Bogacz.

Psycholog prowadzi sesje terapeutyczne. Jest osiem sesji multimedialnych. – Tu natomiast pani ma dwa pasy z czujnikami i uczy się prawidłowo oddychać. Można to kontrolować wzrokiem, tu jest wykres, który pokazuje, jak to robić. I pani sobie oddycha, przede wszystkim przeponą. A to stanowisko dla pacjentów, którzy mają zaburzenia funkcji poznawczych. Są różne programy: na pamięć, na funkcje wykonawcze, na pole widzenia, na koordynację wzrokowo-ruchową – wylicza w kolejnej sali dr Bogacz. Sesje trwają zwykle przynajmniej 20 minut, to zależy od pacjenta.

Jest urządzenie do terapii mikrokążeń. – Takie pole magnetyczne, które poprawia mikrokążenie, czyli przepływy w najdrobniejszych

naszych naczyniach. Pacjent leży, pole magnetyczne jest włączone, mikrokążenie się poprawia i pozwala na lepsze funkcjonowanie wszystkich organów, nie tylko układu krążenia i oddechowego, ale także mózgu i innych narządów, w których jest zaburzone. Tu jest waga do analizy masy i składu ciała. Jeżeli pacjent ma zaniki mięśniowe, ona nam pokaże, w jakiej części ciała, i możemy na tych partiach się skupić.

Pandemia to wojna, na wojnie trzeba działać szybko albo się przegrywa.

Pytam o kamizelkę, niby nic spektakularnego. Stosuje się ją np. u dzieci przy mukowiscydozie. Pacjent zakłada taką kamizelkę, ona wibruje i ułatwia odkasztuszanie gęstej, lepkiej wydzieliny. – A tu jest jeszcze rezonans stochastyczny, czyli wibracja, pobudza nasze receptory czucia głębokiego. Ma różne programy neurologiczne, głównie ortopedyczne, czyli dla pacjentów z osłabieniem siły mięśniowej, zaburzeniami koordynacji, równowagi. Taką osobę stawiamy boso i pobudzamy system odpornościowy do pracy – wyjaśnia cierpliwie lekarka. – Porusza się w różnych kierunkach, bardzo chaotycznie, bez żadnego planu, żeby organizm mógł reagować i łąpać

równowagę i żeby te mięśnie zaczęły pracować jak trzeba. Takie małe trzęsienia ziemi.

Z tyłu szpitala, na dworze, jest siłownia z 18 stanowiskami. – Są zestawy trudniejsze, łatwiejsze, nawet bardzo leciutkie, osłabiony pacjent również może sobie podejść. Ale jest i coś dla tych, co muszą popakować – wskazuje jeden z terapeutów.

– Tam jest SIS, system indukcyjnej stymulacji, to jest też pole magnetyczne, stosowane w chorobach narządu ruchu, układu nerwowego, ale jest także specjalny program do rehabilitacji pulmonologicznej, który będzie regenerował tkankę płucną, stymulował przeponę, poprawiał mikrokrążenie w obrębie klatki piersiowej. A tu neuroforma, system rehabilitacji do terapii funkcji poznawczych i ruchowych, czyli taka mieszanek: najpierw trzeba wykonać jakieś zadanie, policzyć albo znaleźć odpowiedni kolor, i dopiero wykonać ćwiczenie. Dla nas to proste, ale pacjentom nie zawsze wychodzi – zaznacza Katarzyna Bogacz. Czasami pacjenci są niecierpliwi, nerwowi. – To już takie czasy, że nie trzeba mieć covidu, żeby być nerwowym. Bierzemy to na klatę – uśmiechają się fizjoterapeuci.

Plany dalszego rozwoju rehabilitacji? – Są choroby, po których nie ma żadnych programów rehabilitacyjnych. Mamy w tej chwili w szpitalu 20 gruźlików prątkujących, na gruźlicę leży się w zamknięciu po kilka miesięcy, do pół roku. Potem trzeba czasu, żeby powrócić do normalnego funkcjonowania, do sprawności organizmu. Pacjenci potrzebują jakiegoś nadzoru, rehabilitacji, fizjoterapii. To trzeba zacząć opracowywać. Zresztą wiele schorzeń wymaga przygotowania programów rehabilitacji. Ich w ogóle nie ma, nikt o tym nie pomyślał. Chcemy tutaj nad tym pracować, mamy przede wszystkim zespół ludzi, który potrafi i chce to robić – mówi dyrektor Grochowski. Przyznaje, że to sukces zespołu jego szpitala, jeżeli przyjmują człowieka w złej kondycji psychicznej i fizycznej, który nie jest w stanie wejść na trzy stopnie schodów, a żegnają takiego, który wchodzi samodzielnie na czwarte piętro.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Ta choroba pozostawia ślady

Na razie doliczono się około setki objawów zaburzeń po COVID-19

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Szpital MSWiA w Głucholazach znany jest z rehabilitacji pacjentów z chorobami płuc. 100 lat temu leczyło się tutaj gruźlików. Teraz pomagacie po covidzie.

– Program rehabilitacji pocovidowej uruchomiliśmy w 2020 r. na bazie doświadczeń rehabilitacji pulmonologicznej, ponieważ spodziewaliśmy się, że większość zaburzeń będzie związana z układem oddechowym i układem krążenia. Czyli przede wszystkim dusznością, zaburzeniami czynności wentylacyjnej i związanym z tym ograniczeniem możliwości wysiłkowych. Oczywiście wiedzieliśmy, że części chorych, z mniejszym nasileniem objawów, wystarczy rehabilitacja ambulatoryjna, ale część wymaga kompleksowej rehabilitacji stacjonarnej. Identyfikowaliśmy te objawy i staraliśmy się dostosować program rehabilitacji do potrzeb i możliwości pacjenta. Celem było z jednej strony sprawdzenie, czy metoda, którą stosujemy, jest efektywna, z drugiej zaś – zebranie doświadczeń i określenie potrzeb rehabilitacji po zakażeniu koronawirusem, w tym dodatkowych objawów, o których dowiadzyaliśmy się w trakcie programu. A było ich coraz więcej. Obecnie wydaje się, że jest ich ponad setka.

To bardzo dużo, czego dotyczą?

– Mogą to być objawy związane z narządem ruchu, bóle mięśniowe, stawowe, ale też bóle głowy i klatki



PROF. JAN SZCZEGIELNIAK

– od 10 stycznia br. pełnomocnik ds. rehabilitacji leczniczej po COVID-19 przy Ministerstwie Zdrowia

piersiowej, obserwujemy również występowanie objawów neurologicznych związanych z zaburzeniami równowagi i koordynacji oraz psychologiczno-psychiatrycznych związanych z zaburzeniami funkcji poznawczych, pamięci i koncentracji, a także lęk i depresję. W trakcie trwania programu pilotażowego musieliśmy go dostosować także do tych dodatkowych objawów. Stał się on jednym z pierwszych programów kompleksowej rehabilitacji stacjonarnej po przebyciu COVID-19 nie tylko w Polsce, ale wydaje się, że również w Europie i na świecie.

Prof. Jan Szczegielniak – doradca w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP. Od lat kieruje Działem Usprawniania Leczniczego w SP ZOZ Szpitalu Specjalistycznym MSWiA w Głucholazach, jest szefem interdyscyplinarnego zespołu, który stworzył pierwszy w Europie autorski program pilotażowy rehabilitacji leczniczej po zakażeniu SARS-CoV-2.

► **Czy coś zaskoczyło pana i pański zespół doświadczonych lekarzy i fizjoterapeutów?**

– Pewne trudności z programem rehabilitacji wynikają z tego, że po pierwsze, obejmuje on zarówno osoby młode, sprawne i aktywne zawodowo, jak i starsze, z chorobami współistniejącymi, a nawet dzieci. Po drugie, wiemy, że te objawy mogą się pojawić u osób, które ciężko przeszły covid, przebywały w szpitalu, często na oddziale intensywnej terapii, ale i u takich, które przeszły covid skąpoobjawowo. Po trzecie, te

po zastosowaniu których obserwujemy określone efekty, o tyle u tych pacjentów jest to dosyć trudne i wymaga wprowadzenia form usprawniania z różnych zakresów. Rehabilitacja postcovidowa obejmuje różne dziedziny, dotyczy objawów o różnym stopniu i natężeniu, występujących i ustępujących w różnym czasie. Dlatego poważnym problemem jest bagatelizowanie objawów, często takich, które w ogóle nie są kojarzone z zakażeniem koronawirusem, występujących w dłuższym czasie po zakażeniu, takich jak wypadanie włosów,

mniejsze objawy po zachorowaniu; wiadomo, że mniejsze jest prawdopodobieństwo ciężkiego przebiegu choroby, co wiąże się oczywiście z mniejszym niebezpieczeństwem objawów dodatkowych. Ale nie jest tak, i to należy podkreślić, że u wszystkich ta choroba nie pozostawia żadnych śladów. Pozostawia. O niektórych śladach wiemy, z niektórymi potrafimy walczyć, niektóre potrafimy niwelować, ale o innych pewnie jeszcze nie wiemy. Na to potrzeba czasu, ponieważ mówimy również o takiej grupie, która po przebyciu zakażenia wymaga dodatkowej diagnostyki i leczenia, a potem dopiero rehabilitacji. Ta grupa znacznie się poszerza. Cieszymy się, jeżeli osoby, które przybywają do nas, po zakończeniu usprawniania mogą wrócić, bardzo często używamy tego sformułowania, do „normalnego życia”. To daje nam satysfakcję z pracy. **Gratuluję wyróżnienia Top 100. Achievements, domyślam się, że przyjął pan wiele gratulacji dla waszego ośrodka?**

Niektóre objawy w ogóle nie są kojarzone z zakażeniem koronawirusem, np. wypadanie włosów, trudności z zasypianiem czy utrzymujące się zaburzenia wzroku lub słuchu.

objawy występują w różnym czasie i z różnym natężeniem. Mogą się utrzymywać ponad pół roku, a nawet rok. Mogą ustępować, ale mogą także się pojawić i zaostrić w trakcie rekonwalescencji. Na samym początku programu pilotażowego, kiedy zaczęliśmy identyfikować objawy dodatkowe, w tym te dotyczące zaburzeń pamięci i koncentracji, nasze doświadczenia były tak małe, że określaliśmy cele, które niestety dla tych pacjentów były jeszcze nieosiągalne. Bardzo często musieliśmy zacząć od przypominania i nauki podstawowych czynności. Mieliśmy bowiem do czynienia ze zmianami, które można porównać do zmian demencyjnych znanych w geriatric, i nie braliśmy pod uwagę, że mogą one występować u osób w pełni czynnych zawodowo, które przeszły zakażenie koronawirusem. Wprowadziliśmy też do rehabilitacji wirtualną rzeczywistość jako pewne novum stosowane w zaburzeniach związanych z lękiem i depresją.

Czyli praca u podstaw, poszukiwanie rozwiązań.

– Mówimy tu o trudnym zadaniu, ponieważ nie potrafiliśmy występujących objawów w żaden sposób pogrupować, biorąc pod uwagę np. ich natężenie i liczbę. O ile rehabilitacja w określonych dziedzinach, np. ortopedii, neurologii czy pulmonologii, jest oparta na stosowaniu określonych środków w pewnych schematach i standardach postępowania,



Ćwiczenia dla pacjentów, którzy mają problem z pamięcią.

trudności z zasypianiem czy utrzymywanie się zaburzenia wzroku lub słuchu. Pacjenci uczestniczący w programie rehabilitacji charakteryzują się różnym stopniem upośledzenia sprawności i ograniczenia możliwości wysiłkowych. Niemniej jednak stopień ten uniemożliwia normalną pracę i związany jest z niepełnosprawnością. Mam nadzieję, że ten program czyni możliwym powrót do pracy. To jest naszym celem.

Czy dziś można powiedzieć coś pewnego o covidzie?

– Są pytania, na które nie potrafimy dotąd odpowiedzieć. Oczywiście można na podstawie dotychczasowych doświadczeń klinicznych przyjąć, że szczepionka daje większe bezpieczeństwo dotyczące zachorowania,

– Tak, oczywiście. Powinniśmy zacząć od tego, że odbyło się kilka spotkań i konferencji Światowej Organizacji Zdrowia, w których miałem przyjemność uczestniczyć z ramienia Polski i przedstawiać program rehabilitacji postcovidowej, uwzględniony w publikacjach WHO. Mamy też bliskie kontakty z krajami sąsiednimi, np. z Ukrainą czy Czechami, które są zainteresowane naszym programem, współpracujemy z uniwersytetami, instytucjami naukowymi, firmami medycznymi z Polski i zagranicą, np. z Francji, Włoch. Nasz program wzbudził zainteresowanie telewizji z Tajwanu, w Singapurze był reklamowany na miejskich telebimach. Goście nie tylko chcieli poznać szczegóły programu rehabilitacji, ale także, co było dla nas zaskoczeniem, poprzeć program szczepień, opierając się na autorytetach z Polski, co świadczy chyba o trochę innym stosunku mieszkańców Azji do nauki. Ujmuję to w cudzysłowie, ale było mi bardzo przyjemnie, że również poprzez azjatyckie telewizje mogliśmy się pochwalić jednym z pierwszych na świecie programów stacjonarnej rehabilitacji postcovidowej.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Atomowe problemy

Dzwonią do mnie nasi gospodarze z nadmorskiej wsi Słajszewo, między Łebą a Dębkami. Byliśmy tam siedem razy na wakacjach. Magiczne miejsce, w gniazdach na dachach i na latarniach klekoczą bociany, długie spacerzy do morza lasem pełnym jagód, ogromna, niemal pusta, złota plaża. I właśnie na tej plaży ma powstać elektrownia atomowa, a piękny las wokół zostanie wycięty. Bardzo smutna wiadomość, jakby ktoś bliski dostał wyrok śmierci. Ludzie protestują, tworzą się grupy w internecie, zapraszają mnie. Nie mogę, bo odkrywam, że oni idą pod fanatycznym sztandarem, „nie” dla atomu w ogóle. A ja jestem gorącym zwolennikiem elektrowni atomowych, tylko dlaczego w takim pięknym, nieskażonym miejscu? Ciekawe i znamienne, że antyatomowi są niemal zawsze zarazem antyszczepionkowi, to magiczne myślenie o świecie i brak zaufania do nauki. A na wakacje zdążymy tam pewnie jeszcze pojechać, ale trochę jak na pogrzeb.

„Proponujemy, by stacje radiowe w godz. 5-24 grały 80% polskiej muzyki – powiedział w trakcie konferencji w Sejmie Marek Suski. – Mam podpisy posłów, głównie PiS, ale inni parlamentarzyści też się zgadzają z tym projektem. Liczymy na to, że będzie ogólnonarodowa zgoda. Zdziwiłbym się, jeśli byłiby przeciwnicy polskiej muzyki, a zwolennicy zagranicznej”. I dodał: „Uważam, że będzie to miało zbawienny wpływ na polską muzykę”. No to mamy zbawców. To jest bodaj pomysł Pawła Kukiza (Kukiz się wypiera, ale jakoś słabo zaprzecza). Suski i Kukiz, dwóch naczelných idiotów w polskiej polityce. Ciekawe, co oni jeszcze wymyślą, zanim wiatr historii zdmuchnie ich ze sceny. A co do Kukiza, było jasne, że się zbiesi rządzącym ze swoim rozchwianiem emocjonalnym i poczuciem misji. Pegasus dał mu kopa i teraz, kiedy wbrew PiS chce komisji w tej sprawie, trochę odzyskuje twarz.

Pamiętam, było to w pokoiku, gdzie pudruje się gości, w TVP Info, w czasach, gdy ta telewizja nie była reżimowa. Stałem obok Sasina, oglądaliśmy na ekranie, jak Kukiz coś bredził. Sasin kręcił z politowaniem głową, a ja burknąłem: „To będzie wasz przyszły sojusznik, serdecznie współpracuję”. Nic nie powiedział. I dygresja: to znamienne, że często bywałem gościem mediów publicznych za ich normalnych czasów, a od epoki PiS ani razu mnie nie zaproszono. Nie przyszedłbym oczywiście, ale mogą tego nie wiedzieć. Wiedzą tylko, że jestem na czarnej liście, nie ma jej na papierze, ona mieszka w głowach skurwionych wyrobników propagandy. A przecież za komuny telewizja

czasami mnie zapraszała do programów, chociaż byłem już związany z opozycją. Czyżby obecnie stan moralny publicznych mediów był gorszy?

Wernisaż w domu aukcyjnym Polswiss Art na Wiejskiej, tytuł i klucz to akademicy współczesności, mistrz-uczeń. Ponad 70 obrazów, po jednym każdego artysty, jest obraz Piotra Krosnego, mojego przyjaciela ze Sztokholmu. Ściągnąłem jego obrazy do Polski; klepie biedę w Szwecji, a jest moim zdaniem wybitny. Ale szalony z niego artysta, więc nie daje sobie rady i brakuje mu pieniędzy nawet na farby. Za kilka dni aukcja, liczę na to, że ktoś wylicytuje jego obraz. Obecni malarze proszeni są kolejno, by coś powiedzieli o swoim dziele, okazuje się to trudne i właściwie nikt nie mówi wprost o obrazie. Sztuka nowoczesna musi zatem mówić sama za siebie, bardziej niż sztuka dawna.

Wiktor Dłuski przesyła mi wiadomość, że niewielki obraz Erny Rosenstein poszedł za 190 tys. Pisz: „Szaleństwo! Obraz zresztą dobry, ale zdaje się, że to najmniej się liczy”. Tak, teraz jest moda na malarstwo nowoczesne, a piękne obrazy naszych kolorystów można kupić nawet za 20 tys.

Byłem blisko z Erną, lubiła mnie, kiedyś spodobał mi się jakiś jej rysunek, który wisiał na ścianie w jej mieszkaniu, zdjęła go i dała mi bez wahania. Podobnie dałaby mi pewnie jakiś większy obraz, zresztą ceny wtedy były śmieszne. Wielka teraz kariera Erny, a jej mąż Artur Sandauer, w końcu geniusz, zapomniany. Ogromnie by się zdziwił, że żona, która była zawsze w jego cieniu, po mniej niż pół wieku będzie bardziej niż on pamiętana.

I już po aukcji, byłem na niej, Piotr sprzedany, ale słabutko. Gdybym był zamożny, ja, wolny od nałogów, nałogowo licytowałbym obrazy, marzenia, marzenia, łatwo się zakochuję w obrazach, z trudem w kobietach.

Tak się przejmuję sytuacją na granicy ukraińsko-rosyjskiej, że na chwilę zapominam o rodzimych dramatach. Czy Zachód nie popełni błędu z 1938 r., gdy pozwolił Hitlerowi zająć Czechosłowację? Oczywiście są wielkie różnice, Putin to jednak nie Hitler, nie chce eksterminacji ani zawładnąć światem, tylko Wschodem. I jest broń termojądrowa, co bardzo komplikuje obraz na tej szachownicy.

Nowe odsłony afery podsłuchowej. I PiS jest nagi. Straszny widok.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

**Nowe odsłony afery podsłuchowej.
I PiS jest nagi. Straszny widok.**

Dość powieści z happy endem

Chciałem pokazać, jak bardzo bieda jest marginalizowana, spychana, niezauważana

Rozmawia Rafał Piłkuła

Jesteś najmłodszym po Dorocie Masłowskiej laureatem Paszportu „Polityki” w dziedzinie literatury, twoja debiutancka powieść zbiera rewelacyjne recenzje.

Spodziewałeś się takiego sukcesu?

– Oczywiście miałem nadzieję, że otrzymam nagrodę, ale, szczerze mówiąc, spodziewałem się, że trafi ona albo do Grzegorza Uzdzińskiego, albo do Elżbiety Łapczyńskiej, autorów starszych i z większym dorobkiem. Byłem zaskoczony nie tylko ze względu na swój wiek, ale także dlatego, że moja książka to powieść eksperymentalna i śmiała pod względem formy i treści, nie zawsze łatwa w odbiorze. Od razu pojawiły się porównania do Doroty Masłowskiej, nie tylko z powodu wieku, w którym debiutuję, ale również za sprawą charakteru mojej prozy. Takie porównanie to wyróżnienie, ale i wysoko zawieszona poprzeczka.

To jest z czego się cieszyć!

– Tak, ale muszę też przyznać, że z powodu nagrody jestem nieźle zestresowany, czuję presję, bo wiem, że teraz „Kości...” będą czytane nie tylko przez miłośników literatury niszowej, ale również szerzej. Moja książka wchodzi do mainstreamu, choć z założenia nie jest mainstreamowa. Liczyłem, że przeczyta ją około tysiąca osób, a jest już trzeci dodruk.

(W tym momencie dzwoni rekruterka z banku zapraszająca Łukasza na rozmowę kwalifikacyjną).

Słyszę, że wybierasz się do pracy. Myślałem, że po tym wyróżnieniu skupisz się na pisaniu?

– Mam presję, żeby zająć się czymś poważnym (śmiech). CV zacząłem rozsyłać jeszcze przed nagrodą i nie wiem, jak pogodzę staż

złudne poczucie sukcesu – bo wiesz, mówi się, że tę książkę czytają teraz wszyscy, ale ci wszyscy to raptem kilka tysięcy osób, w Polsce bardzo mało się czyta. To z kolei sprawia, że duże wydawnictwa wolą nie ryzykować i nie wydają debiutantów, ale na szczęście są takie oficyny jak Cyranka, która bierze pod swoje skrzydła początkujących twórców i, jak widać, to ryzyko się opłaca.

Mimo wszystko zgadzamy się, że pisanie raczej nie jest sposobem na wzbogacenie się.

– „Kości...” pisałem dla siebie, trochę w trakcie zajęć online, trochę po zajęciach, bez jakiegoś przymusu. Nie wiem, czy potrafię się zmusić, aby codziennie usiąść i pisać. Jeśli wpadnie mi coś do głowy, to piszę. Poza tym miałem z moją książką sporo szczęścia, została zauważona, kilkoro dziennikarzy dobrze o niej napisało. Nie wiem, jak będzie z kolejną. Może ja będę z niej zadowolony, ale nie przypadnie do gustu krytykom albo czytelnikom? Po Paszportach dostałem wiele pytań o następną książkę, więc już czuję, że poprzeczka jest naprawdę wysoko. Chciałbym żyć z pisania, ale musiałbym pisać jakieś felietony, może eseje.

Nie myślałeś o pracy na uczelni, o zajęciu się literaturą naukowo?

– W zeszłym roku obroniłem pracę magisterską na polonistyce – dodam

tylko, że tytułem pracy była przyroda w twórczości Justyny Bargielskiej – i moja promotorka namawiała mnie na zostanie na uczelni i doktorat. Jeszcze o tym myślę, bo naprawdę lubię interpretować wiersze, pisać o polskich autorach, z drugiej strony nie wiem, czy faktycznie do tego



ŁUKASZ BARYS

– ur. 1997, autor książki „Kości, które nosisz w kieszeni”, laureat Paszportu „Polityki” w kategorii literatura

ze spotkaniami autorskimi. Nie chcę traktować pisania jako głównego zajęcia, wiem, że trudno na tym zarobić, a nie chcę pisać książek na siłę. Trudno mi wymienić jakiegoś autora, który pisze ambitne powieści i z tego żyje na przyzwoitym poziomie. Paszport „Polityki” może dawać

się nadaję. W prozie mam pełną wolność, a w artykułach naukowych przestrzega się pewnych ogólnie narzuconych zasad, wymagań. To oczywiście nie jest zarzut, trudno wyobrazić sobie uprawianie nauki bez jakichś ram. Po prostu sądzę, że jestem lepszym pisarzem niż naukowcem.

Książkę czytają teraz wszyscy, ale ci wszyscy to raptem kilka tysięcy osób, w Polsce bardzo mało się czyta.

W jednym z wywiadów powiedziałaś, że „miałaś wielki kompleks bycia humanistą”, w liceum zaś bałaś się, że jako humanista skończysz w McDonald’s. Skąd taki brak wiary?

– Teraz już nie myślę, że praca w McDonald’s jest czymś gorszym, każda praca jest ważna i powinna być odpowiednio wynagradzana. Mam poczucie, że w świecie komputerów, algorytmów humaniści i słowo pisane są na samym końcu, muszą się dostosować, grać na zasadach, które są im narzucone, przyjąć warunki oferowane przez system. Tak to wygląda niestety. Nie mam już kompleksu bycia humanistą, ale w liceum uczyłem się w klasie matematyczno-fizycznej i nie miałem wówczas odwagi mówić o swoich zainteresowaniach, nawet gdy wygrywałem jakieś konkursy literackie, nie chwaliłem się tym, po prostu się wstydzilem. „Kości...” to opowieść o kobietach, mężczyźni występują tutaj jedynie w tle. To rzadki przypadek,

W świecie algorytmów humaniści i słowo pisane są na samym końcu.

by autor mężczyzna tak wiele miejsca w powieści poświęcił kobietom. O dziewczynkach w małym mieście, na prowincji, pisały dotąd głównie kobiety, np. Wioletta Grzegorzewska w „Gugułach” czy Anna Cieplak w „Latach powyżej zera”. Skąd ten zabieg?

– Zawsze wydawało mi się, że dziewczyny mają gorzej, szczególnie w małych miastach i na wsi. Facet, nawet jeśli nie ma talentu ani wykształcenia, może się zatrudnić

jako pomoc na budowie i jakoś sobie radzi. Kobiety skazane są na najgorsze, najgorzej płatne zajęcia albo na zależność ekonomiczną od męża. Wydawało mi się, że moja bohaterka Ula, dorastająca dziewczyna, będzie miała dużo trudniej niż chłopak w jej wieku. Analizowałem sobie

historie moich kuzynek i młodszych znajomych dziewczyn, zawsze poczucie smutku było u nich większe. Poza tym Ulę można utożsamiać z innymi bohaterkami książki, wykorzystwanymi włókniami, brzydką księżniczką Pabianką.

A czy nie jest tak, że pisząc historię chłopaka, siłą rzeczy piszesz o sobie?

– Faktycznie tak mogło być. Jeszcze gdy pisałem pierwszą wersję

Dziewczyny mają gorzej, szczególnie w małych miastach i na wsi. Skazane są na najgorzej płatne zajęcia albo na zależność ekonomiczną od męża.

książki i bohaterem był chłopak, zauważyłem, że buduję postacie matki czy babci na podstawie obrazów własnej rodziny. Nie chciałem, by ktoś znajomy czy z rodziny w trakcie lektury utożsamiał bohatera ze mną, choć oczywiście w Uli jest trochę moich cech, patrzy na świat tak jak

ja, a niektóre historie, które ją spotykają, zdarzyły się mnie. Na przykład wspólna jest historia nutrii – zarówno dziadek książkowej Uli, jak i mój hodowali nutrie na futro i mięso. **Bardzo ważnym tematem twojej powieści jest bieda. Ula i jej bliscy należą do grona rodzin wykluczonych – raz, że niepełnych, dwa, że biednych. Nawet jeśli Ula ma jakieś talenty i potrzeby, raczej nie będzie miała szans przedstawić ich światu, podobnie jak uczuć i emocji.**

– Chciałem pokazać, jak bardzo bieda jest marginalizowana, spychana, niezauważana. Ula jest przezroczysta, koledzy i koleżanki w szkole jej nie zauważają, a jeśli już, to tylko po to, by wyśmiewać jej biedę. Ula oczywiście chciałaby być inna, chciałaby się zmienić, przebrać, ale nie ma nawet ubrania na sylwestra, więc w końcu nie idzie na imprezę. Słyszysz w telewizji, że bieda równa się patologii, i sama w to wierzy – że jest patologią.

A patola nie interesuje się literaturą ani sztuką.

– Taki jest stereotyp i chcę go przełamać, choć trochę. Uważam, że literatura najbardziej do takich ćwiczeń z wyobraźni się nadaje. Ula czyta książki, stara Wacia bardzo chce poznać historię Dory Diamant i Franza Kafki. Nie chciałem wprowadzać jakiejś specjalnej stylizacji językowej, dlatego Ula mówi normalnie. Co ciekawe, niektórzy zarzucali mi, że jak to, Ula jest z takich nizin społecznych i mówi takim językiem

literackim, używa metafor. Nie wiem, skąd w ludziach przeświadczenie, że wiedzą lepiej, jak inna osoba widzi świat i co czuje, jakim językiem „powinna” mówić.

Bohaterem są też Pabianice. Czy tworząc tę książkę, oprowadzałeś czytelników po swoich Pabianicach, po miejscach, które lubisz, które są dla ciebie ważne?

– Sądziłem, że nikt nie będzie patrzył na tę książkę przez pryzmat Pabianic. Miały być tłem dla wydarzeń i bohaterki i dziwiło mnie, że miasto w powieści było tak analizowane. Niektórzy zarzucali mi, że przedstawiłem Pabianice jako brzydkie miejsce, ale tak to wygląda w rzeczywistości. Jedziesz autobusem, wysiadasz pod pawilonem Trzy Korony, tam obok są budy z jedzeniem, park, odrapane stare miasto, dawna manufaktura, zamek. Sami mieszkańcy Pabianic w większości przyznają, że ich miasto nie jest ładne ani dobrze zarządzane. Tylko trzeba też pamiętać, że Pabianice

► wyglądają jak wiele innych podobnych średnich i małych miast w Polsce. Zaniebane centrum z mieszkaniami komunalnymi i kilka ładnych nowoczesnych bloków.

Każdy rozdział to osobna opowieść, w której biorą udział pabianickie postacie, takie jak Tereska z filmu „Cześć, Tereska”. To bardzo ciekawy wątek.

– Wszystkie postacie mają jakieś odbicie w głównej bohaterce. Ula jest w pewien sposób także Olą,

Duże wydawnictwa wolą nie ryzykować i nie wydają debiutantów.

aktorką amatorką z filmu „Cześć, Tereska”. Po roli w głośnym filmie dziewczyna miała szansę wyrwać się z Pabianic, z biedy, miała zaproszenie do Hollywood, gdzie mogła poznać reżyserów, aktorów, ale wybrała dotychczasowe życie. Historia Oli to opowieść o tym, jak nasze pochodzenie wpływa na nas, jak nas determinuje.

Oli się nie udało, po sukcesie filmu dosięgła dna. Nie udaje się też Uli. Książka nie kończy się happy endem, nie ma wielkiej przemiany, morału.

– Mnóstwo jest opowieści o jednostce, która się wyrwała, zmieniła, ale ja napisałem o osobie, która się nie wyrwała, nie miała wielkiego talentu czy szczęścia. Ula jest przeciętna, bywa pyskata, czasem ucieknie na łękę, by poczytać „Kamienie na szaniec”, ale ostatecznie zostaje w miejscu, w którym jest.

Miałem już dość tych opowieści, które kończą się happy endem, tym, że główny bohater przełamuje swój los i osiąga sukces. Mam wrażenie, że humaniści bardzo często mocniej odczuwają kompleksy klasowe, a one mają na ich życie dużo większy wpływ. W przypadku zawodów technicznych to, skąd pochodzisz, nie ma takiego znaczenia, ale dla humanistów ważne jest to, co wynieśli z domu. Na ich karierę

i rozwój duży wpływ ma to, jak się zachowują, jakimi kodami kulturowymi się posługują. Bardzo ciekawie pokazał to Didier Eribon w eseju „Powrót do Reims” – jego sukces okazał się połowiczny. Wyrwał się z robotniczej rodziny, ale nie udało mu się zostać zawodowym filozofem, nie zdobył profesury.

Tytułowe kości to ważny artefakt, pojawiają się na początku i na końcu, gotuje się na nich zupę i wkłada się je pod poduszkę, są refrenem całej opowieści.

– Jako pierwszy napisałem rozdział o cmentarzu. Potem przypominała mi się historia, gdy jako dziecko znalazłem w ogrodzie kości i dziadek powiedział mi, że to kości nutrii, które kiedyś hodował. Znajdowałem potem wiele kości tych zwierząt, choć nigdy nie widziałem żywej nutrii. I tak jakoś te kości wplotłem w powieść. Niekiedy pojawiają się nieco nieświadomie, czasami są sygnałem śmierci, a najczęściej symbolizują przeszłość, która dosięga Uli i jej towarzyszy.

Rafał Pikuta

Zapraszamy na Rodzinną Niedzielę w Muzeum Niepodległości



temat przewodni:
Karnawał!

 MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI

20 lutego 2022
godz. 11.00

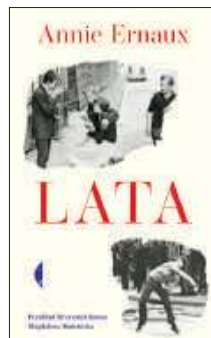
Mazowsze.
region Polski

Zapisy: edukacja@muzeumniepodleglosci.art.pl,
tel. 22 827 96 43

MIĘDZY OKŁADKAMI

NA EKRANACH

Annie Ernaux

Latatłum. Magdalena Budzińska, Krzysztof Jarosz
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022

„Czy byłabym szczęśliwsza, mając inne życie?“, zdaje się stale pytać Ernaux. Nie znam odpowiedzi, ale na pewno ja

czułbym się lepiej, gdyby szum towarzyszący premierze „Lat” nie był tylko pustym krzykiem. Dostajemy dosyć chaotyczny zbiór wspomnień, kalendarium wydarzeń, wypis rzeczy i postaci. Ten portret powojennej Francji

jest raczej pośpiesznym szkicem niż wielobarwną panoramą. Wyzwolenie polityczne, seksualne, z ograniczeń klasowych – wszystkie kluczowe przemiany są opisane hasłowo. Ernaux nie próbuje zagłębiać się w temat, przeskakuje z jednego powidoku do kolejnego. Z założenia miała być biografia całego pokolenia, wyszło streszczenie francuskich dzienników ostatnich dekad. Szkoda, bo taka perspektywa opowiadania i historii jest niezwykle atrakcyjna. Pokazał to m.in. Didier Eribon w „Powrocie do Reims”, a miał być inspirowany „Latami” Ernaux.

Rafał Piłkuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Bruce Liu

Chopin, Concerto

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina



Pierwsza polska płyta zwycięzcy XVIII Konkursu Chopinowskiego przynosi cztery najważniejsze utwory, które stanęły u podstaw jego niezwykle pozycji. Zaczyna się bardzo popularną „Balladą F-dur”, potem jest mało

znane, ale trudne technicznie „Rondo à la mazur”, dalej jedna z dwóch sonat fortepianowych, w tonacji b-moll, i wreszcie solidny, najbardziej znany „Koncert e-moll” na fortepian z orkiestrą. Dostępna jest też płyta światowej wytwórni Deutsche Grammophon.

(bt)

Titanereż. Julia Ducournau,
prod. Francja, już w kinach

Na pokazie prasowym w Cannes część oburzonej publiczności wychodziła już przy pierwszych scenach. Na innych festiwalach filmowych niektórzy widzowie mieli nawet mdleć. Czy naprawdę w 2022 r. jeszcze coś jest w stanie nas zszokować? Jak się okazuje, tak – i jest to temat kobiecości. Reżyserka Julia Ducournau („Mięso”) portretuje bohaterkę, która w wyniku wypadku ląduje z tytanową płytką w głowie. Wiecie już, skąd wziął się tytuł, ale nie wiecie, że zwiastuje ciężę z samochodem, krwawienie smarem, korektę nosa z użyciem umywalki czy trepanację czaszki nogą od krzesła. Francuska reżyserka nie zna granic okrucieństwa, ale jej film to coś znacznie więcej niż popis estetyki szoku. To bezkompromisowa próba przekroczenia granic płci i seksualności. A przy tym odważny i radykalny głos na temat patriarchy, który zasłużył na przyniesienie Ducournau Złotą Palmę. Jeśli kochacie w kinie odwagę i wyrazistość, biegnijcie po bilet.

Artur Zaborski

KURTyna W GÓRĘ

**Zawiazane języki**

Nie po raz pierwszy teatr pokazuje języki zawiązane w supeł, które uniemożliwiają porozumienie między generacjami. Ojciec i syn nie potrafią rozmawiać, właściwie w ogóle nie rozmawiają. Tymczasem synowi wali się cały świat: jest na rozdrożu, traci pracę, odchodzi od niego żona. I w takiej sytuacji pojawia się u niego ojciec. Z walizką. Nie widzieli się i nie rozmawiali od roku. Ojciec zamierza u syna zamieszkać, bo u niego w domu jest zimno. A ponieważ jako aktor dostał kolejną szansę i przygotowuje się do roli Leara, ciepło być musi.

Taki jest punkt wyjścia tej komedii.

Beznadziejny, nierokujący nic dobrego. A jednak Daniel Olbrychski i Tomasz Karolak krok po kroku odzyskują teren – języki się rozwiązują. Najpierw muszą sobie wygarnąć, a wtedy okaże się, że obaj boją się siebie nawzajem.

Rzecz została inteligentnie napisana, dając aktorom szansę na niebanalne role. I choć na pierwszy rzut oka bohaterowie zupełnie do siebie nie pasują, potrafią pokazać więź, której na początku byśmy się nie domyślali. Olbrychski gra tę sztukę na swój jubileusz – debiutował już 60 lat temu – i wciąż potrafi trzymać publiczność w szachu. Karolak okazał się wytrawnym partnerem i razem tworzą duet idealny.

Tomasz Miłkowski

Serge Kribus, „Niespodziewany powrót”, tłumaczenie Bożena Puchalska,
reżyseria Magdalena Łazarkiewicz, Teatr Gudejko i Teatr IMKA, premiera 29 grudnia 2021

Kastrujemy bezdomność

Jak naprawdę pomóc zwierzętom

Rozmawia Paula Leśniewska

Na czym polega program „Kastrujemy Bezdomność”?

– Między innymi na edukacji mieszkańców oraz szkoleniu urzędników i osób, które chcą coś działać na rzecz bezdomnych zwierząt w swoich gminach. Uczymy ludzi, jak skutecznie rozmawiać z urzędnikami. To wcale nie jest takie proste. Z gminami nie można rozmawiać o zwierzętach. Lepiej powiedzieć coś o pieniądzach, które pojawiłyby się w budżecie, gdyby zmniejszyła się liczba bezdomnych zwierząt. „Kastrujemy Bezdomność” to jedyny tak kompleksowy program przeciwdziałania bezdomności zwierząt w Polsce. Staramy się poprawiać błędy zawarte w uchwalanych przez gminy programach opieki nad zwierzętami i zapobiegania bezdomności, a także w miarę naszych bardzo skromnych zasobów finansować zabiegi kastracji oraz czipowania zwierząt właścicielskich. Prawda jest taka, że ani okienka życia, ani nowe schroniska nie rozwiążą problemu bezdomności zwierząt, a kastracja i czipowanie już tak.

Dlaczego?

– Z wielu powodów. Nowelizacja ustawy z 2016 r. umożliwiła gminom finansowanie zabiegów kastracji i czipowania zwierząt, które mają właścicieli. Dzięki gminom, w których przeprowadzano taką akcję, wiadomo, że 50% zwierząt zgłaszanych jako bezdomne tak naprawdę ma właściciela. Poza tym w schroniska pompuje się gigantyczne pieniądze. Gdybyśmy odwrócili sytuację i zaczęli inwestować w obligatoryjne czipowanie i kastrację, to w Polsce w ciągu trzech lat bezdomność zwierząt zmniejszyłaby się o 50%.

Jaka jest geneza programu?

– Pomagając codziennie zwierzętom, doszłam do wniosku, że na skalę Polski niczego nie zmieniam, a już na pewno nie zmniejszam bezdomności. Ta po dziś dzień rośnie, a jeszcze szybciej rosną wydatki



BEATA KRUPIANIK

– prezeska Fundacji Karuna, twórczyni programu „Kastrujemy Bezdomność”

ponoszone przez gminy. Ponieważ z raportów Najwyższej Izby Kontroli dotyczących zwierząt wynikały same złe rzeczy, w 2014 r. wspólnie z Krzysztofem Kwiatkowskim, ówczesnym prezesem NIK, rozpoczęliśmy szkolenia dla samorządowców. Niestety, nie wszyscy chcieli zmian. Chociaż teraz niby mamy w Polsce obligatoryjne kastracje zwierząt w schroniskach, to według raportów NIK niezależnie od tego, kto prowadzi schronisko – organizacja, podmiot prywatny czy gmina – średnio tylko 30% zwierząt wydawanych do adopcji zostało wykastrowanych. W umowie, którą schronisko zawiera z nowym właścicielem, jest wprawdzie zapis, że zwierzę musi zostać wykastrowane na koszt nabywcy, ale nikt tego nie sprawdza i nie ma żadnych konsekwencji niedotrzymania umowy.

Dlaczego w schroniskach nie kastruje się tylu zwierząt?

– Bo nie ma kar, bo można. Znam zaledwie kilka dobrych schronisk. Jedno z nich to schronisko Fundacji Medor w Zgierzu. Niestety, wiele innych schronisk, zwłaszcza prywatnych, nie chce przeznaczać pieniędzy na kastrację. Schroniska masowo zawierają z gminami umowy na tzw. opłatę jednorazową, która wprawdzie jest niezgodna z prawem, ale w Polsce urzędnicy są bezkarni i nie odpowiadają za swoje decyzje. Umowa jednorazowa tworzy taką patologię, że jeśli do schroniska trafia pies, gmina jednorazowo wypłaca na niego określoną kwotę, np. 2 tys. zł – im dłużej więc to zwierzę żyje, tym mniejszy zarobek schroniska, bo pies generuje koszty. To może prowadzić do tzw. adopcji donikąd i uśmiercania zwierząt. Drugi system również jest patologiczny, bo jeżeli mamy „dniówkę”, czyli dzienną kwotę wydawaną przez gminę na zwierzę w schronisku,

i żadnych zapisów o adopcjach czy wypuszczeniu wolontariatu, to im dłużej zwierzę żyje, tym więcej zarabia na nim schronisko – po co więc je wypuszczać?

Jak wygląda sytuacja zwierząt w schroniskach?

– W Polsce mamy 227 schronisk, z czego 144 przyjmuje tylko koty, i 2478 gmin. To oznacza, że na jedno schronisko, które przyjmuje tylko psy, przypada 10 gmin, a na kocie schronisko – aż 17. Nie jestem za tym, żeby rozbudowywać schroniska, chociaż są one potrzebne, bo ludzie umierają, trafiają do aresztu itd. Jedynym słusznym rozwiązaniem w walce z bezdomnością zwierząt jest wprowadzenie do Polski obowiązku czipowania i kastracji. Nie ma bardziej humanitarnej metody. W wielu krajach Unii Europejskiej przy okazji wprowadzenia ogólnego obowiązku kastracji i czipowania po prostu zabijano zwierzęta w schroniskach, by zmniejszyć ich liczbę. W niektórych stanach USA ciągle się to robi. My chcemy tego uniknąć.

Można powiedzieć, że schronisko to niewłaściwe miejsce dla zwierząt.

– Trzeba przyznać, że w Polsce bardzo się zmniejszyła umieralność psów w schroniskach. Teraz wynosi ok. 6%. Natomiast o ciarki przyprawia sytuacja kotów. Do niedawna umieralność kotów w schroniskach wynosiła ok. 26%. Teraz mówi się, że spadła do 18%. Tak czy inaczej, co piąty kot umiera w schronisku. Koty po prostu nie powinny tam trafiać. A już na pewno nie do schronisk, gdzie są psy. Do niedawna w jednym schronisku w Polsce klatki z psami były naprzeciwko klatek z kotami. Zwierzęta były narażone na ogromny stres.

Skoro 50% psów w schroniskach to zwierzęta właścicielskie, dlaczego nikt ich nie szuka?

– Ważna jest odległość schroniska od gminy. Teoretycznie opieka nad bezdomnymi zwierzętami to zadanie lokalne. Krótko mówiąc, gmina nie ma prawa wywozić znalezionych zwierząt poza powiat. Tymczasem do niedawna gmina Rogów w województwie łódzkim wysyłała bezdomne zwierzęta do schroniska w Białogardzie w Zachodniopomorskiem, czyli 450 km dalej. W jaki sposób właściciel ma znaleźć swoje zwierzę, skoro nie zostało zaczipowane?

Dlaczego przy tak mocnych argumentach ludzie są przeciwni?

– Szczerze mówiąc, widzę coraz mniej oporów. Ogólnie świadomość społeczna dotycząca zwierząt bardzo się zmienia. Gdy organizujemy akcje bezpłatnej kastracji i czipowania, zazwyczaj bywa więcej chętnych niż pieniędzy. Jest tylko jeden warunek: trzeba akcję dobrze sprzedać mieszkańcom. Niestety, są w Polsce rejon, gdzie wielu ludzi nadal źle traktuje zwierzęta, np. na Podlasiu, Suwalszczyźnie czy Podkarpaciu. Jeżeli tam zrobi się materiał promocyjny w stylu „zaczipuj i wykastruj swojego zwierzątko, będzie żył dłużej”, to jego przesłanie nie trafi do ludzi. Natomiast gdy się przedstawi argument, że jeśli w danej gminie zaczipowane zostaną wszystkie zwierzęta, to w budżecie znajdą się środki na świetlice

Jedynym słusznym rozwiązaniem w walce z bezdomnością zwierząt jest wprowadzenie obowiązku czipowania i kastracji.

dla dzieci, wówczas dla tych ludzi wygląda to zupełnie inaczej. W rejonach wiejskich bardzo dobrze sprawdził się też nasz plakat z hasłem „Nie daj zarobić hycłowi”, bo ludzie nie wiedzą, ile naprawdę kosztuje odłowienie zwierzęcia, które się zgubi.

A ile to kosztuje?

– Nawet 10 tys. zł. Zgodnie z jednym z ostatnich raportów NIK o zwierzętach 96% pieniędzy przeznaczonych w Polsce na tzw. opiekę nad zwierzętami i zapobieganie bezdomności idzie właśnie na opłacenie hycła i schroniska, czyli leczenia skutki, a nie przyczyny. Na całą resztę zostaje 4%, więc nie może być dobrze.

Skoro ludzie są za, to dlaczego rząd nie chce wprowadzić obowiązkowego czipowania zwierząt?

– Wszelkie propozycje zmian zawierały po prostu za dużo kwestii. Jeżeli zawsze w proponowanych nowelizacjach ustawy o ochronie zwierząt będziemy umieszczać zwierzęta hodowlane, futerkowe, bezdomne i ubój rytualny, nigdy nie zrobimy najmniejszego kroku, żeby pomóc którejkolwiek grupie. Za duże jest lobby, które będzie walczyło przeciwko. Natomiast gdyby zmiany następowały pojedynczo, szanse na powodzenie są dużo większe. Znacznie łatwiej byłoby przekonać większość

postów do rejestrowania wszystkich zwierząt, tym bardziej że mamy w Polsce obowiązek szczepień przeciwko wściekliznie czy obowiązek rejestracji zwierząt gospodarskich.

Prawo nie nadąża za potrzebami.

– Już dzisiaj każda gmina w Polsce mogłaby uchwalić przepisy o obowiązkowym czipowaniu zwierząt. Oczywiście, jeżeli urzędnicy wprowadziliby taki obowiązek, gmina musiałaby pokryć koszty. Ale czy bardziej opłaca się wydać nawet 100 zł na najdroższy czip i, powiedzmy, 500 zł na kastrację suczki średniej wielkości, czy 10 tys. zł jednorazówki schronisku za przyjęcie czterech szczeniąt? Matematyka miażdży bezsensowne postępowanie urzędników. Weźmy takiego psa z Rawy Mazowieckiej. Przez 13 lat jedna suczka w schronisku w Wojtyszkach, w którym nie ma

wolontariatu, wygenerowała koszty przekraczające 40 tys. zł. To co bardziej się opłaca? Wydać 600 zł na czipowanie i kastrację czy też 40 tys. na życie psa w klatce?

Jak wygląda czipowanie?

– Dezynfekuje się miejsce, odgarnia sierść i robi zastrzyk. Najważniejsza w całym procesie jest rejestracja czipa w systemie. W Polsce istnieją dwie bazy, które należą do Europetnetu, czyli dużej bazy zwierząt w Unii Europejskiej – największa to Safe Animal, a mniejsza Identyfikacja. Proces rejestracji czipa w jednym z tych systemów trwa może trzy minuty. Na tę chwilę w bazach zarejestrowanych jest ok. 4,5 mln zwierząt. Uprzedzam pytanie – nie mamy pojęcia, ile jest bezdomnych psów i kotów. Nie wiemy nawet, ile jest zwierząt właścicielskich. Nikt tego nie wie.

A co z projektem czipobusa?

– To nasze marzenie – w Polsce jest wiele rejonów, w których naprawdę daleko do najbliższego lekarza weterynarii. Dlatego można by było urządzić czipowanie w busie, przy okazji szczepień przeciwko wściekliznie. Ale to zależy od darczyńców, których nie jest wielu. Dopóki na bezdomnych zwierzętach będzie można sporo zarobić, tak jak teraz, niewiele osób będzie

► zainteresowanych wspieraniem naszej sprawy.

Co można zrobić, żeby pomóc bezdomnym zwierzętom?

– Na naszej stronie internetowej kastrujemybezdমনosc.pl jest dostępna petycja do prezesa Rady Ministrów. Zawiera sześć postulatów, które doprowadziłyby do skutecznego i humanitarnego zmniejszenia zjawiska bezdomności psów i kotów. Warto ją przeczytać i podpisać.

W petycji znajduje się postulat zakazu trzymania psów na ulicy. To zjawisko nadal powszechne?

– Jest tego coraz mniej, chociaż w niektórych miejscach wciąż widuje się zwierzęta przywiązane do szafek, starych lodówek czy beczek. Muszę przyznać, że czasem łatwiej przekonać do zrezygnowania z łańcucha człowieka bez wyższego wykształcenia niż takiego, który ma ogromne poczucie własności w stosunku do swojego zwierzęcia. Na zasadzie „ja go kupiłem i mogę z nim zrobić wszystko”.

Nie bez powodu organizuje się tyle zbiórek na poszkodowane zwierzęta.

– Tak, chociaż organizacje popłynęły w konkursie na najdrastyczniejszy opis. A sam fakt porzucenia zwierzęcia jest wystarczającym powodem, aby mu pomóc. Dzisiaj ludzie są tak przyzwyczajeni do rozlewu krwi, że niemal oczekują ostrych opisów. Wzrusza krew i kliwa historia. Okienka życia chwalą się

sukcesami, a ja pytam, jaki to sukces, że ludzie porzucają swoje zwierzęta. To świadczy o patologii. Problem okienek życia polega na tym, że legalizuje się przestępstwo. Lepiej byłoby, gdyby właściciel mógł legalnie oddać zwierzę do schroniska, ale niech podpisze papier, że przez najbliższe pięć lat nie będzie miał innego. A ludzie wyrzucają stare i chore psy i koty, później zaś pędzą wybrać na OLX nowego szczeniaka.

Nie mamy pojęcia, ile jest bezdomnych psów i kotów.

Nie wiemy nawet, ile jest zwierząt właścicielskich.

Nikt tego nie wie.

To okropne, że ktoś jest w stanie coś takiego zrobić.

– Tadeusz Wypych z Biura Ochrony Zwierząt, który ma ogromny wkład w ujawnianie wad obecnego patologicznego systemu ochrony zwierząt, powiedział kiedyś, że jest przeciwny obowiązkowemu czipowaniu, bo ludzie zaczęli masowo wyrzucać zwierzęta. Po pierwsze, myślę, że w Polsce nie ma aż takiej patologii, żeby to się działo na ogromną skalę. Po drugie, nawet jeżeli część ludzi rzeczywiście wyrzuci psy i koty, zrobi to tylko jeden raz, bo później nie weźmie kolejnego „kłopotu”. Owszem, liczba bezdomnych zwierząt może się zwiększyć w pierwszym

momencie, ale przynajmniej zwierzęta staną się wreszcie policzalne.

W państwa petycji mowa jest o „podatku od zwierząt rozrodczych”.

O co chodzi?

– Przede wszystkim o to, aby w końcu za rozdawnictwo i rozmnażanie swoich zwierząt zaczęli być odpowiedzialni ich opiekunowie. Wystarczy wejść na portale społecznościowe, żeby zobaczyć, jak kosztownie dużo zwierząt jest do wzięcia

za darmo. Ogromna część urodzi kolejne niechciane psy i koty, które też trafią na ulice, do rowów, lasów, a w najlepszym wypadku do schronisk. Dlatego jestem zatem za wprowadzeniem metody kija i marchewki. Zobowiązać gminy do finansowania programów kastracji i czipowania zwierząt właścicielskich, co umożliwi mieszkańcom bezpłatne ubezwłasnowolnienie swoich zwierząt, i po np. dwuletnim okresie *vacatio legis* nałożyć na opiekunów zwierząt zdolnych do rozrodu podatek. Opiekun zwierzęcia będzie miał wybór: albo skorzysta z bezpłatnego zabiegu, albo zapłaci odpowiednio dużo. Ponieważ ze względu na stan zdrowia niektóre zwierzęta nie będą mogły zostać poddane kastracji, opiekun musiałby przedstawić zaświadczenie od lekarza weterynarii poparte badaniami – to zwalniałoby z obowiązku podatkowego. Dodam, że nie zwalniałoby to opiekuna z obowiązku zaczipowania. Do tego nie istnieją żadne przeciwwskazania medyczne.

Jak działać?

– Na stronie kastrujemybezdমনosc.pl są gotowe pisma, które można przekopiować i działać w swojej gminie. Z doświadczenia wiem, że największą skuteczność mają nie organizacje czy odgórne przepisy, ale mieszkańcy. To z ich głosem najbardziej liczą się samorządowcy, zwłaszcza przed wyborami. Zawsze można też wspierać finansowo organizacje, które tak jak my walczą z przyczynami bezdomności zwierząt, a nie wyłącznie leczą jej skutki.

Paula Leśniewska



Julia patrzy w obiektyw i kradnie cały show. Nie jestem w stanie spojrzeć nigdzie indziej. Ona doskonale wie, że to jej dzień. Ten i żaden inny. Bo innego zwycięzcy nie będzie. Fakt, że zobaczysz to zdjęcie dopiero za kilka dni, niczego nie zmienia. Jakby wiedziała, że jeśli nie poruszy Cię wystarczająco właśnie teraz, to drugiej szansy nie będzie. Ona wie, że to Ty decydujesz. I jej własne spojrzenie może być dla niej ratunkiem. Lub ją zabić. Bo obojętność zabija. Innych. Stodoła, w jakiej teraz czeka na wypełnienie wyroku, jest całkiem zwyczajna. Czyli ciemna, duża i pamięta odległy PRL i pewexy. Wokoło pachnie śmiercią, amoniakiem i jakąś rozpaczą, o ile

rozpacz może mieć swój zapach. Przez ciemne okna wpada niewiele światła, jakby każdy promień omijał to miejsce. Bo tu nikt nie przybywa z własnej woli. Głoszę Julię po ciepłych chrapach, a ona zerka na mnie niepewnie. Jakby chciała zapytać, czy jej wolno. Bo tu, gdzie dziś mieszka, karana jest za wszystko. Bat przecina jej zad za nie takie spojrzenie, za rozrzucone siano. Powód się zawsze znajdzie. Handlarz sobie nie żaluje.

Bo życie w takim skupie koni to nie bajka. Więc Julia nie ma o co mieć żalu. Po prostu źle się urodziła. Zresztą, dla takich jak ona nie buduje się pięknych stajni, takie jak ona nie mogą mieć oczekiwań. Bo oczekiwania zastąpi rozczarowanie, gdy życie zastąpi huk trapi, wąski korytarz i śmierć.

Handlarz za życie Julii chce więcej niż zazwyczaj. Bo podobno jest brudna. A to „robi” wagę. I oczywiście, tak nie wolno. To wbrew etyce. I wbrew prawu. Nie wolno zabijać żebrych. Ale prawda jest taka, że nikt kłaczom USG w rzeźni nie robi. Nie to, że nie wolno. Po prostu może wtedy się okazać, że ubić nie można. A to w niczym interesie nie jest.

Julia prostuje się jak struna, gdy handlarz stuka batem o beton. Wytrzeszcza ciemne oczy i zaczyna trząść się na wątych nogach. Lepiej niż ktokolwiek wie, jak bat tnę skórę. Lepiej niż ktokolwiek inny wie, że na bat łatwo zasłużyć.

Zamyka więc oczy, i modli się. Aby już nic nie bolało. Aby to wszystko się skończyło. Aby ktoś ją już stąd zabrał. Ją i jej nienarodzone jeszcze dziecko. Oboje kto. Czy ktoś tam wyżej do siebie. Czy może my do stada ocalonych. Wszystko jest lepsze od świata bata.

Błagamy Was o pomoc dla Julii. Błagamy Was o litość. Błagamy, abyście ją z nami stamtąd zabrali. Handlarz dał nam czas do 4 lutego, by zebrać 11 200 zł. Tyle potrzeba, aby opłacić życie i transport Julii.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem JULIA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350. Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści JULIA na numer 7412 (koszt SMS 4,92 zł z VAT), 7910 (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub 91950 (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

ul. Walborska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487; tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Macjcie
Regulamin: <http://centraur.org.pl/kam>

Najgorszy z 27

Kilkanaście dni temu media obiegrała wiadomość, że Andrzej Sadoś, ambasador RP w Unii Europejskiej, zgłosił swoją kandydaturę na stanowisko dyrektora generalnego DG NEAR, czyli Dyrekcji Generalnej ds. Polityki Sąsiedztwa i Negocjacji w sprawie Rozszerzenia. Trochę szumu przy tym było i w Brukseli, i w Warszawie.

Zacznijmy od Brukseli. Unijnych urzędników zaskoczył tupet Sadosia. Jest bowiem zasadą, że do instytucji unijnych, na wyższe stanowiska, aplikują ci lepsi dyplomaci, z dobrą opinią. A Sadoś? W połowie czerwca 2021 r. brukselskie „Politico” opublikowało raport na temat roli ambasadorów państw członkowskich w Unii Europejskiej, napisany m.in. na podstawie rozmów z dyplomatami pracującymi w Unii.

Zaprezentowano w nim główne postacie Komitetu Stałych Przedstawicieli. Nieco miejsca poświęcono też przedstawicielom tzw. nowych krajów. Za gwiazdę w tej grupie uznano ambasadora Rumunii Lilię Matei. Pochwalono również ambasadora Węgier Tibora Stelbaczkę. „Chociaż rząd Węgier ściera się z instytucjami unijnymi i blokuje unijne decyzje, zdobył uznanie kolegów jako osoba dobrze przygotowana profesjonalnie”, zapisano przy jego nazwisku. Innymi słowy, politykę Węgier oceniono źle, ale jej wykonawcę – bardzo dobrze.

A Sadoś? Umieszczono go na samym końcu listy, z notką: „Sadoś jest uważany za mało kompetentnego w radzeniu sobie m.in. podczas starć w kwestiach takich jak zmiany klimatu i praworządność”. Jak mówią w Brukseli, to i tak była wyjątkowo delikatna ocena jego zawodowych umiejętności.

A drugie zdumienie? Otóż Sadoś zaskoczył wszystkich, aspirując akurat do tego stanowiska. DG NEAR jest bowiem ciałem, które zajmuje się kontrolą przestrzegania zasad demokracji i rządów prawa w krajach kandydujących do członkostwa w Unii. Przedstawiciel kraju mającego kłopoty z rządami prawa

nie wyglądałby na takim stanowisku zbyt poważnie. Dodajmy jeszcze jeden argument – komisarzem odpowiedzialnym za DG NEAR jest Olivér Várhelyi z Węgier. Dlatego w Brukseli natychmiast pojawiły się obawy, że taki duet mógłby prowadzić zupełnie inną niż Unia politykę.

Poza tym jest w Unii zasada, że przedstawiciele jednego regionu nie powinni monopolizować danej tematyki. Ze spojrzenie musi być szersze. Stąd także znieśmaczenie w Brukseli, bo Sadoś swoją kandydaturą postawił wszystkich w trudnej sytuacji.

A w Warszawie? Nie ma co ukrywać – Sadosiowi w tym roku kończy się czteroletni okres ambasadorowania w Unii i raczej trudno znaleźć zwolenników przedłużenia mu tego czasu. Regularne porażki, które Sadoś ponosi w Brukseli, nie wzmacniają jego pozycji. Zresztą nigdy nie była ona zbyt mocna. Sadoś był podrzędnym urzędnikiem MSZ i wybił się, gdy stanął u boku Anny Fotygi, najpierw jako rzecznik MSZ, a potem podsekretarz stanu.

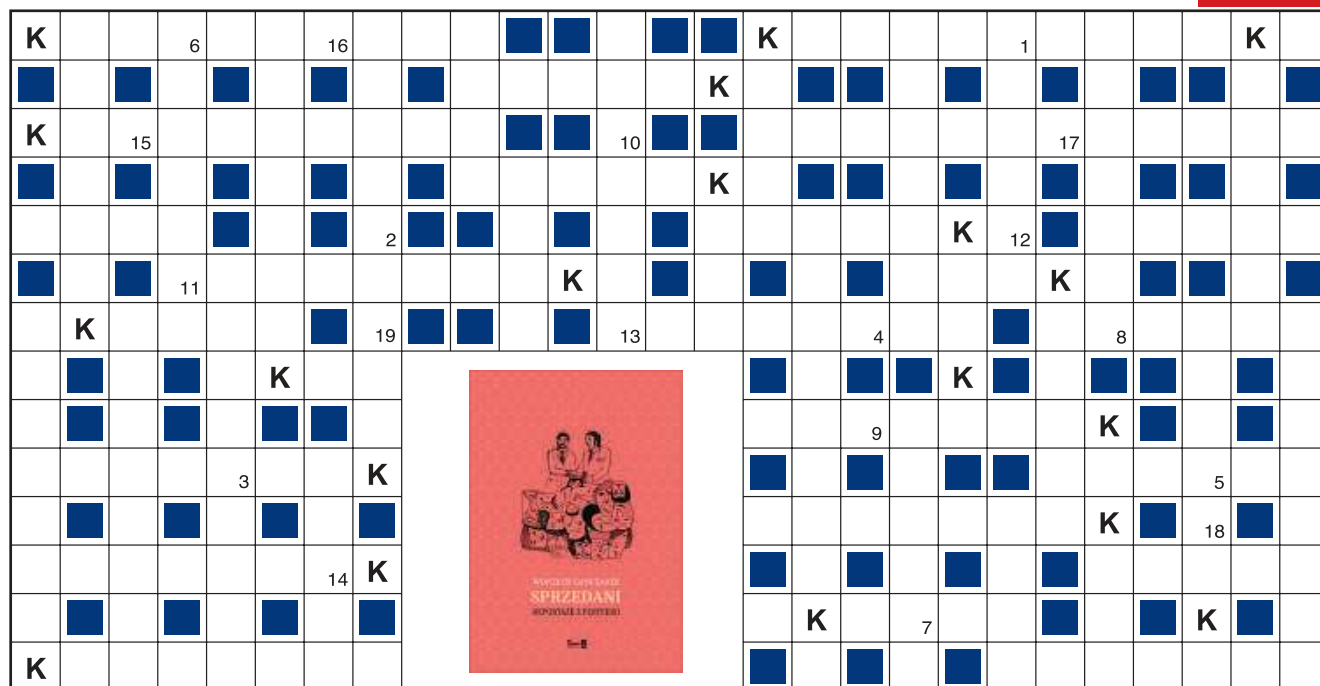
Gdy w 2018 r. został ambasadorem przy UE, zasłynął z tego, że własnoręcznie odkręcił przytwierdzoną do budynku ambasady tabliczkę pamiątkową. Nie mógł znieść napisu, że tę ambasadę otwierał w 2011 r. premier Donald Tusk.

Tak czy inaczej, Sadoś w MSZ jest postrzegany jako ten na wylocie. Jego ruch oceniono więc jako znakomitą zagrywkę PR-ową. Po prostu jeśli jakimś cudem uda mu się zostać dyrektorem w Unii, to będzie miał świetną robotę na następne lata. Jeśli zostanie odrzucony – będzie rozgłaszał, jak jest przez Unię prześladowany, i to dlatego, że zawsze bronił PiS. Będą więc musieli zaproponować mu jakąś atrakcyjną funkcję. Oto win-win. Dla Sadosia. Bo nie dla Polski.

Attaché



Boski znak?
Śnieg pod Ścianą
Płaczu. Jerozolima,
27 stycznia 2022 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- imię trenera Nawalki
- ćwiczenia Jane Fondy
- narciarka jak Corinne Suter
- pogoda albo panujący nastrój
- ...mózgów – o ściąganiu cudzych specjalistów
- grubosz drzewiasty to ...szczęścia

- cedzak
- towarzyszo, kompania, gang
- z nim dama na obrazie da Vinciego
- członek Kościoła ewangelicko-reformowanego
- ryba na szaro lub w galarecie

- ...ma mały bok (palindrom)
- kabina pilotów samolotu
- nastawniczy lub zawiadowca
- obszyta barankiem miękka rogatywka
- Cygan Tumry był nim w Stawisku
- graniaste albo teatralne
- w niej tory do toczenia kul
- 100 kg żyta
- pora mini i bikini
- czule o młodym leśnego przechery
- zarośla wierzbowe

- mała dźwignia ręczna do sterowania urządzeniami
- i protektor sztuki, i adwokat
- biedaczysko, nieszczęśnik
- siarka, selen albo fosfor
- w sztywnej oprawie, na zapiski
- skrzydełko czy ona w tytule komedii
- przestarzałe do kelnera
- wybór, elekcja, ustanowienie
- ...zdrowia – niemal nie choruje
- ociężałość i apatyczność, powolność
- wzroku, obrazu, noża
- oktagon, ośmiokąt
- Jago podsycał w nim zazdrość
- niewielki dziedziniec wewnątrz domu

- zemsta, waśnie, też przestępcze
- pierwsza, prawa strona zapisanej karty
- brać go z kimś to rozstawać się
- mały, składany nożyk
- skąpiec, dusigrosz
- studencki podręcznik
- opowiada się za kimś, zwolennik
- ścieg hafciarski lub strużka, rząddek
- stare papierzysko, świstek
- na trzeciego – niebezpieczne
- Wawel, Akropol albo Kapitol
- czysty lub w kratkę do szkoły
- urządzenie do trwałego łączenia folii

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1050”. Do rozlosowania książki „Sprzedani. Reportaże z peryferii” ufundowane przez E-bookowo. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 lutego 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1047” z nr. 3: *Chciwemu zawsze mało.*

Nagrody otrzymują: Mieczysław Małecki z Warszawy, Grażyna Nowosielska z Wałbrzycha, Jan Rusin z Przelewic.

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Tyle razy wydawało się, że już gorzej być nie może, że władza dalej się nie posunie. Wciąż jednak wierzymy – raczej naiwnie – że ktoś nad nami czuwa, nie pozwoli nas skrzywdzić, a nasza demokracja w końcu się obroni. Czyżby? Musimy bronić się sami, a na innych nie powinniśmy liczyć. Dobrze, że Polacy jeszcze wychodzą na ulice i że 2,5 mln osób podpisało apel w obronie TVN. Tylko sami możemy uratować wolne media.

ZDANIE

BARBARA LABUDA,
DZIAŁACZKA OPOZYCJI

W CZASACH PRL, B. POSŁANKA, B. MINISTER
W KANCELARII PREZYDENTA

Zbieranie podpisów pod referendum w sprawie aborcji przegraliśmy. Siedmiu czy ośmiu facetów z Prezydium Sejmu – sami faceci o prawicowych lub skrajnie prawicowych poglądach – wyrzuciło ten głos ludzi do śmieci. To było dla ludzi jak obcięcie skrzydeł, całkowicie. Tego samego dnia, gdy wyrzucono ten nasz projekt z 1,7 mln podpisów do kosza, to było w 1992 r., przegłosowano tę „kompromisową” nową ustawę. Chwaliła to m.in. Dominika Wielowieyska na łamach „Gazety Wyborczej”. Widzę, że dzisiaj zaczyna się tego nieco wypierać. Raptem zrobiła się bardzo krytyczna wobec ustawy w tamtym kształcie. Ja w latach 1992-1993 byłam w Unii Demokratycznej w wielkim sporze

z Andrzejem Wielowieyskim, ojcem Dominiki. Obydwoje mnie wtedy pouczali, że „kompromis” to najsmądzejsze rozwiązanie.

charaktery

magazyn psychologiczny

NATALIA DE BARBARO,
PSYCHOLOŻKA

„Nie wierzę w siebie, to jest mój największy problem”, słyszałam z tak wielu ust, głównie kobiecych, chociaż obawiam, że i mężczyźni ten rodzaj autoateizmu dotyka w znacznym stopniu. Wygłaszane jak najskrytszy sekret przez prezeski, celebrytki, samodzielne matki, doktorantki nauk, których nazw nie rozumiem i nie potrafię zapamiętać, to zdanie głęboko mnie zdumiewa, kiedy przyglądam mu się z bliska. Nie wierzyć w siebie, czyli że co? Jakby nie wierzyć w swoje własne istnienie? Czy też przyjąć, że aby w siebie uwierzyć, musiałabym spełnić wcześniej jakieś warunki? Innymi słowy – nie mniej absurdałne wyrażenie – zaistnieć?

LISTY

EWA WIŚNIEWSKA,
AKTORKA

Przez długie lata czerwieniłam się, kiedy zadano mi zaskakujące pytanie. Dziś potrafię to okiełznać i dlatego jestem nazywana silną. Jednak nie wszystkie moje emocje da się ukryć. Agnieszka Osiecka powiedziała mi: „Nigdy nie patrz w oczy osobie, której nie lubisz czy uważasz za głupią. Patrz pod stół, na dłoń, gdzieś daleko, ale nie na nią. Bo w twoich oczach ta osoba będzie widziała wyrok”.

Aby język giętki...

ANDRZEJ STASIUK O OBSESJI

Polski Kościół kręci się wokół kobiecego tyłka i kobiecego brzucha.

**PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ
O DONALDZIE TUSKU**

Główny problem gdańskiego liberała to mentalna, programowa i ideologiczna niezdolność dotarcia do prowincjonalnego ludu.

HENRYK MARTENKA O WŁADZY

Władza jest tak wytrzymała, jak wytrzymały jest najsłabszy polityk. Nikt nie będzie pamiętał Legutki, wszyscy zapamiętają Mejsę.

**JUREK OWSIAK
O GRANIU WOŚP W STYCZNIU**

W 1993 r. telewizja nie bardzo chciała to robić. Tylko początek stycznia wchodził w grę, więc wzięliśmy.

DANUTA STENKA O PRZYSZŁOŚCI

Już nie chcę biec. Chcę spokoju i równowagi.

MICHAŁ SZPAK O ZAKŁAMANIU

Połowa rozrywkowego świata to osoby homoseksualne, które pracują również w TVP, a które przychodziły do mnie i mówiły, że nie można wspierać LGBT.

ARTUR DZIAMBOR O SZCZEPNIENIU

Zaszczepiłem się. Ciężko być na tyle głupim, żeby się nie zabezpieczyć na wszelkie możliwe sposoby.

**PAULINA KRUPIŃSKA-KARPIEL
O ZNAKU BYKA**

W moim domu są dwaj faceci spod tego znaku: mąż jest z 14 maja, a syn Jędrzek z 15 maja. To przykłady, że jak się nie ma racji, to się ma rację. Jakoś muszę im dać radę.

**ARTUR BARCIŚ O KLAPSIE,
KTÓRY DOSTAŁ SYN FRANEK**

Dostał raz w życiu, lekko, jak był maluchem i podpalił w ubikacji górę papieru toaletowego.

KUBA WOJEWÓDZKI O ROXIE WĘGIEL

Jej 17. urodziny zostały dostrzeżone i polubione przez Andrzeja Dudę. To kolejny dowód, że prezydent potrafi być samodzielny.



To nie skutek huraganu. W kolumbijskiej miejscowości Guatavita w „odwróconym domu” zwiedzający mogą też popробować chodzenia po suficie.



AAAauta nie sprzedam

We Francji przyjęto przepisy, zgodnie z którymi wszelkie reklamy samochodów mają zniechęcać do ich używania. Mowa o obowiązkowym uwzględnianiu w treści jednego z następujących zwrotów: „Krótkie podróże – pieszo lub na rowerze”, „Pomyśl o wspólnym korzystaniu z samochodu” lub „Na co dzień używaj transportu publicznego”. W niektórych przypadkach reklamy muszą ponadto zawierać hasztag #SeDéplacerMoinsPolluer, a więc „ruch bez zanieczyszczeń”. Namawianie do rzadszego przemieszczania się autami ma na celu m.in. ograniczenie emisji gazów cieplarnianych. Taki mamy klimat!

Kotek i psina – normalna rodzina

Nowe hiszpańskie przepisy nakazują, by w razie rozwodu lub rozstania opiekunów zwierzęta domowe były traktowane podobnie jak dzieci. Sędziowie zostali zobowiązani do postępowania z nimi jak z istotami czującymi, a nie przedmiotami będącymi czyjąś własnością. Teraz sędzia musi określać, z kim zwierzakowi będzie lepiej, biorąc pod uwagę sytuację finansową stron czy to, z kim mieszkają dzieci (wcześniej przewagę miał ten partner, który zarejestrował pupila przy adopcji lub zakupie). Możliwe jest także orzekanie opieki naprzemiennej. Bo przecież nie można zmuszać Azorka, by decydował, kogo bardziej kocha.

Durnie/idiotki kochają plotki?

Osoby, które fascynują się celebrytami, osiągają gorsze wyniki w testach zdolności poznawczych – wynika z publikacji w czasopiśmie naukowym „BMC Psychology”. Badanie, w którym wzięło udział 1763 dorosłych Węgrów, wykazało korelację między niższą inteligencją a niezdrowym zainteresowaniem szczegółami egzystencji sław. Nie jest jednak pewne, czy śledzący życie gwiazd są tym tak zajęci, że nie mają czasu na rozwój, czy raczej brak im potencjału, by zająć się bardziej złożonymi kwestiami. Tak czy inaczej, Pudelek rozumu ci nie Doda.

A to feler...

Brytyjska jasnowidząca, która wróży ze szparagów, ma dla świata kolejne złe wiadomości. Jemima Packington zyskała renomę w związku z przepowiedzeniem choćby brexitu. Niedawno ogłosiła m.in., że wirusa SARS-CoV-2 nie uda się całkowicie wyeliminować. Jak zawsze jej metodą prognozowania było podrzucenie w powietrze łodyg odpowiedniej odmiany szparagów, a następnie zinterpretowanie tego, jak się ułożyły na ziemi. Ciekawe, jaki układ zwiastuje przedterminowe wybory w Polsce.

Nie bądź pan rura i nie pękaj!

Niejaki Nicro przeprowadził w internecie wielodniową transmisję, podczas której milion razy wypowiedział imię najstynniejszego hydraulika świata. Początkowy plan był taki, że liczba powtórzeń „Mario” będzie zależała od reakcji widzów, m.in. każdy dolar darowizny to kolejne 100 przywołań bohatera serii japońskich gier wideo. Koniec końców Nicro zdecydował się ograniczyć do miliona inwokacji, gdyż liczba „zleceń” go przytłoczyła. Gdybyśmy przy tym byli, usłyszaliby od nas nieśmiertelne Dudkowe: „Nie bądź pan rura i nie pękaj!”.

Folder Spam, a tam...

55-letnia Amerykanka o mało nie przeoczyła wiadomości wartę 3 mln dol. Laura Spears powiadomienie o wygranej na loterii otrzymała za pośrednictwem poczty elektronicznej. Mejl z dobrymi wieściami trafił jednak do spamu, gdzie szczęśliwym zarządzaniem losu adresatka natknęła się na niego kilka dni później.



Transport rzeczny widziany z wysoka. Łodzie wypełnione arbuzami i melonami niedaleko stolicy Bangladeszu.

– Nie mogłam uwierzyć w to, co czytam. Zalogowałam się więc na swoje konto loteryjne, aby to potwierdzić – relacjonowała farciara, nadal w szoku. Spears, która już odebrała nagrodę, poinformowała m.in. o przejściu na emeryturę oraz dodaniu loterii stanowej do grona zaufanych nadawców. Na wszelki wypadek...

Pięś? Nie siadaj za... klawiaturą

Kolejnym argumentem za abstynencją jest historia chińskiego handlarza bronią do gry komputerowej Counter-Strike: Global Offensive. Mężczyzna sprzedaje tzw. skórki, pozwalające indywidualizować wygląd dostępnego arsenału. W zeszłym roku w jego ofercie pojawiła się skórka do kataszynikowa z licznikiem zastrzelonych przeciwników oraz cennymi naklejkami drużyn e-sportowych. Podczas publikowania anonisu sprzedawca był „pod wpływem”, w związku z czym wycofał wspomniany rarytas na 1,7 tys. zamiast 17 tys. dol. Szczęśliwy nabywca nie był zainteresowany odkręceniem sprawy, która w związku z tym trafiła do sądu. Ostatecznie skórka została zwrócona w zamian za ekwiwalent niemal 9 tys. dol. O takich mówimy: zdecydowanie warta wyprawki!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz
e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,
Jan Ordynski, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





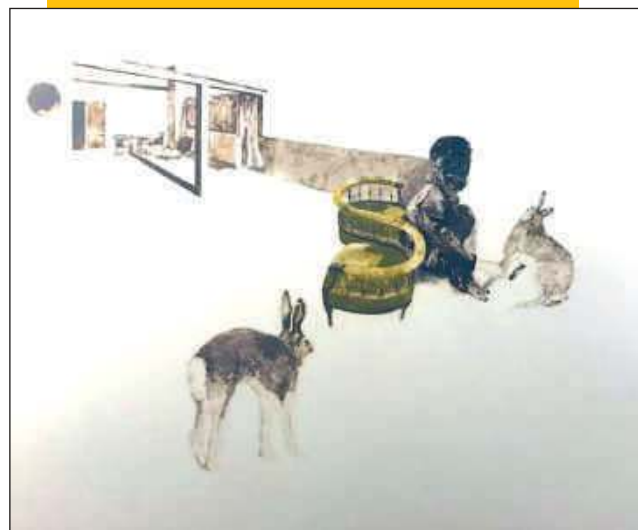
Monika Szwed

Prace z lat 2005-2021

Artystka z wirtuozerią stosuje technikę pastelii olejnych. Tworzy wielowarstwowe opowieści, w których często pojawiają się zwierzęta, dziecięce zabawki, elementy architektury, a także „raniące agawy i leczące aloesy”. Rysuje dopracowane w najdrobniejszych szczegółach scenki, które nie do końca pochodzą z realnego świata. Kompozycje są pełne niepokoju, tajemnicy, melancholii, nawet okrucieństwa. Monika Szwed czasem odnosi się do konkretnych wydarzeń – pokazuje dwa światy równoległe funkcjonujące w czasach okrutnej wojny – życie codzienne, normalne oraz traumatyczne obozowe.

**Galeria (-1),
Centrum Olimpijskie – PKOl
Warszawa, Wybrzeże Gdynskie 4
do 13 lutego**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE





MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
W ZURYCHU



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
W SAN SEBASTIAN



FESTIWAL
NOWE
HORYZONTY



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
W ADANA
GOLDEN BOLL
TURCJA



MIEDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
W BUSAN,
KOREA
POŁUDNIOWA

SOPHIE
MARCEAU

ANDRÉ
DUSSOLLIER

GÉRALDINE
PAILHAS

CHARLOTTE
RAMPLING



KONKURS GŁÓWNY
CANNES

Film inspirowany
prawdziwymi wydarzeniami

WSZYSTKO POSZŁO DOBRZE

Nowy film
FRANÇOIS OZONA

/ „8 kobiet”

„Frantz”

„Podwójny kochanek”/

w kinach od 28 stycznia



Kreatywna
Europa
MEDIA

AURORA

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI



Walentynki

14 lutego 2022



Warszawa, Duża Scena - g.19:00



Warszawa, Scena Mniejsza - g.19:30



Warszawa, Teatr Capitol

• KUP BILET

• www.teatrcapitol.pl



Gdańsk, 12 lutego - g.16:00 i 19:00



Gdańsk, 13 lutego - g.16:00 i 19:00



Gdańsk, Scena Teatralna NOT

• KUP BILET

• www.teatrcapitol.pl/wyjazdy

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru

